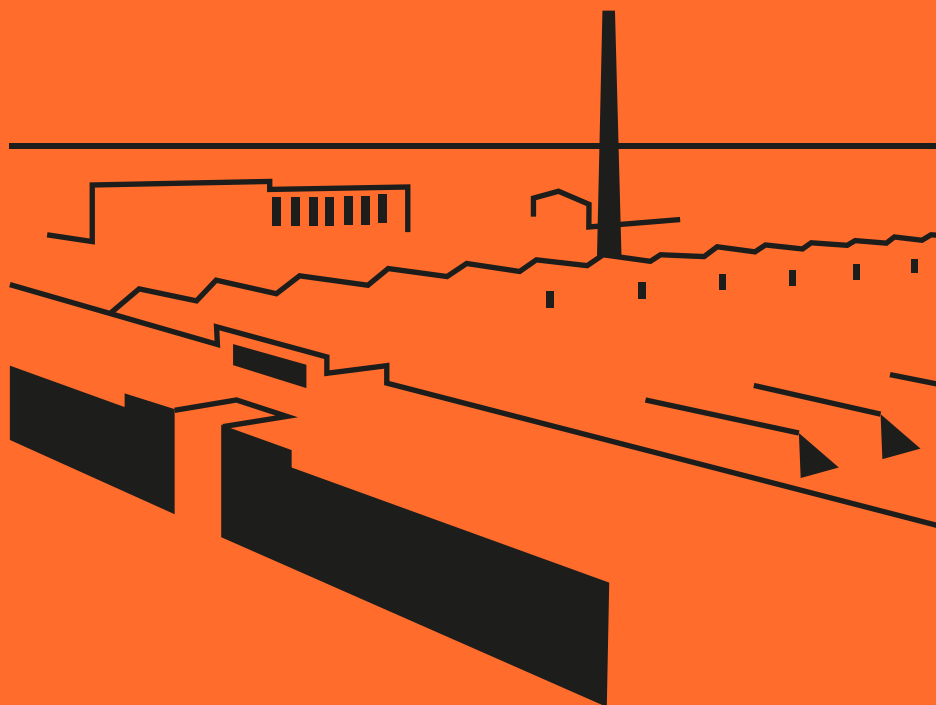


# ***Ursus***

to tutaj  
wszystko  
się zaczęło



***Ursus***

# ***Ursus***

**to tutaj  
wszystko  
się zaczęło**

studium historii żywej

książka pod redakcją  
Jaśminy Wójcik



Ursus. To tutaj wszystko się zaczęło  
Warszawa Ursus 2016, Wydanie I

ISBN 978-83-941307-4-9  
ISBN 978-83-944683-0-9

<b>redakcja merytoryczna</b>	<b>wydawcy</b>
Jaśmina Wójcik	Ośrodek Kultury „ARSUS”
<b>współpraca redakcyjna</b>	ul. Traktorzystów 14
Agnieszka Gorzkowska	02-495 Warszawa
Mikołaj Bendyk	Urząd Dzielnicy Ursus
<b>transkrypcja, redakcja</b>	m.st. Warszawy
<b>i korekta tekstów</b>	plac Czerwca 1976 Roku 1
Agnieszka Ziobro	02-495 Warszawa
<b>wywiady przeprowadzili</b>	
Jaśmina Wójcik	
Agnieszka Gorzkowska	
Mikołaj Bendyk	
<b>opracowanie graficzne,</b>	
<b>skład i łamanie</b>	
zespół współ (zespolfwspol.org)	
<b>druk i oprawa</b>	
Drukarnia Archidiecezjalna	
ul. Wita Stwosza 11	
40-042 Katowice	

Złożono krojami Servus Slab (Black Italic 26 pt, Regular 11 pt)  
i Lelum Sans (Bold 9 pt, 11 pt) projektu Dada Studio.  
Wydrukowano na papierze Munken Lynx Rough 100 g/m<sup>2</sup>.

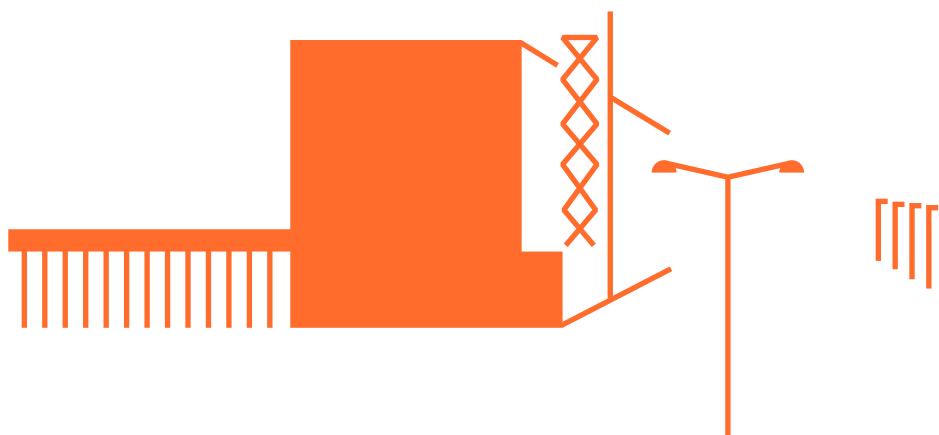
Publikacja „Ursus. To tutaj wszystko się zaczęło” została  
wydana przy udziale Urzędu Dzielnicy Ursus m.st. War-  
szawy z okazji 40. rocznicy wydarzeń Czerwca 1976 roku.

## Spis treści

<b>Wstęp</b>	<b>6</b>
Urszula Kierzkowska	
<b>Ursus rodzinie</b>	<b>8</b>
Jaśmina Wójcik	
<b>Ursus – słoje wokół fabryki</b>	<b>11</b>
Jerzy Domżański	
<b>Strajki 1976 – rys historyczny</b>	<b>22</b>
Bożenna Szmagał	
<b>Rocznice czerwcowe</b>	<b>30</b>
Henryk Linowski	
<b>Konsekwencje strajków (lata 70. i 80.)</b>	<b>34</b>
Henryk, Zbigniew, Paweł	
<b>Pracownicy zakładów mechanicznych</b>	<b>80</b>
wspomnienia byłych pracowników fabryki	
<b>Dzieci fabrycznej dzielnicy</b>	<b>152</b>
Antek, Grzegorz, Mikołaj, Roman, Agata	
<b>Murale jako jedno z popularnych narzędzi</b>	<b>186</b>
<b>w upamiętnianiu historii</b>	<b>186</b>
Agnieszka Gorzkowska	
<b>Ursus – „krajobrazy pamięci”</b>	<b>202</b>
Karolina Izdebska	
<b>Spis ilustracji</b>	<b>224</b>
<b>Podziękowania</b>	<b>228</b>

# Wstęp

Urszula Kierzkowska



Szanowni Państwo,

Wydarzenia Czerwca 1976 roku zajmują szczególne miejsce w najnowszej historii Polski. Był to pierwszy protest robotników, który zakończył się ich zwycięstwem, a władza komunistyczna wycofała się z pomysłu drastycznych podwyżek cen żywności i skrajnie niesprawiedliwych rekompensat. Były to również pierwsze strajki, podczas których robotników poparła inteligencja. Narodziła się wówczas społeczna solidarność, która w rezultacie pozwoliła zapisać jedną z najpiękniejszych kart naszej historii.

W 2016 roku przypada 40. rocznica wydarzeń Czerwca '76. Wydarzeń, które przyczyniły się do zmian ustrojowych w Polsce, ale i zmieniły historię wielu ursuskich rodzin.

Publikacja, którą oddajemy w Państwa ręce nie jest wydawnictwem naukowym. Naszym celem było zaprezentowanie tego, jak po latach mieszkańcy Ursusa, uczestnicy i świadkowie wydarzeń pamiętają Czerwiec '76, a także jaką rolę dla nich i ich rodzin pełniły zakłady Ursus. Tak powstała nasza opowieść. Czasem piękna, a czasem pełna tęsknoty za tym, co przeminęło.

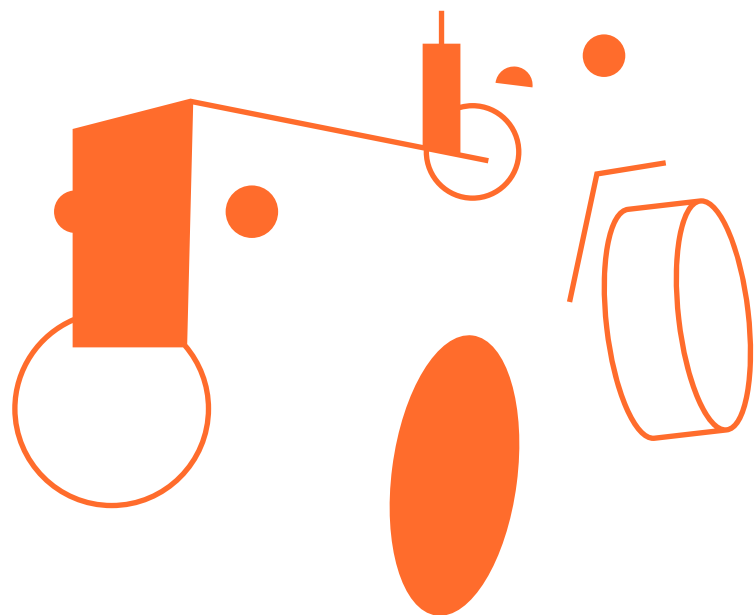
Dziękuję wszystkim osobom, które podzieliły się z nami swoimi wspomnieniami, zdjęciami i zapiskami rodzinnymi. Dla nas to także dowód zaufania, jakim Państwo nas obdarzyli, chcąc zachować pamięć o Czerwcu 1976 roku dla kolejnych pokoleń.

Z wyrazami szacunku,

Urszula Kierzkowska  
Burmistrz Dzielnicy Ursus  
m.st. Warszawy

# Ursus Rodzinnie

Jaśmina Wójcik



Nazywam się Jaśmina Wójcik. Mój ojciec urodził się i wychował w Ursusie. To od niego wszystko się zaczęło. Hale fabryczne po raz pierwszy zobaczyłam w 2011 roku, kiedy byłam na spacerze ze znajomymi. Stwierdziłam, że są to piękne obiekty fotograficzne i zrobiłam zdjęcia, które potem wysłałam tacie. On zaczął mi opowiadać o tysiącach ludzi, którzy pracowali w zakładach Ursus. Wzbudził we mnie ogromne zainteresowanie historią tego miejsca. Dzięki jego opowieściom pokochałam tę dzielnicę i uznałam ją za swoje rodzinne miejsce.

Okazją do oddania w państwa ręce tej publikacji stała się czterdziesta rocznica strajków Czerwca 1976 roku w Ursusie. Historyczne wydarzenia są dla nas punktem wyjścia do szerszego i głębszego zastanowienia się nad spuścizną i tożsamością samej dzielnicy. Jakie miejsce zajmowały w tej historii Zakłady Mechaniczne Ursus? Czemu dzielnica zawdzięcza swój obecny kształt i charakter? Kto ją tworzy? Jaką wrażliwością? Czym ukształtowaną?

Książka ma charakter strumienia świadomości bezpośrednich uczestników strajków 1976 roku w Ursusie, działaczy ruchów opozycyjnych, byłych pracowników Zrzeszenia Przemysłu Ciągnikowego Ursus i mieszkańców dzielnicy. Oddaliśmy głos społeczności Ursusa, ponieważ uważamy, że historia powstaje i wybrzmiewa z wielogłosu, a nie z jednej monumentalnej, obiektywnej prawdy, która zresztą nigdy nie istnieje.

Książka podzielona jest na kilka części: rys historyczny i geneza strajku, opozycjoniści (Komitet Obrony Robotników i „Solidarność” w Ursusie), byli pracownicy ZPC Ursus

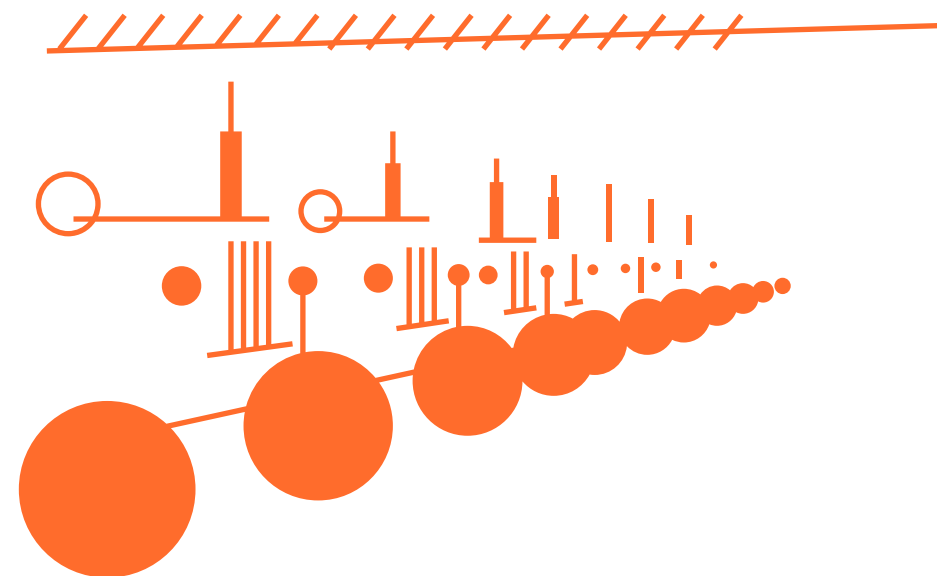
i uczestnicy strajku, współczesna młodzież z dzielnicy i ich utożsamienie się z miejscem i jego dziedzictwem.

Nie byłoby tej publikacji, gdyby nie inicjatywa Urzędu Dzielnicy, a także współpraca ze społecznością Ursusa, która jest jak rodzina, z całym wachlarzem poglądów, sympatii i antypatii.

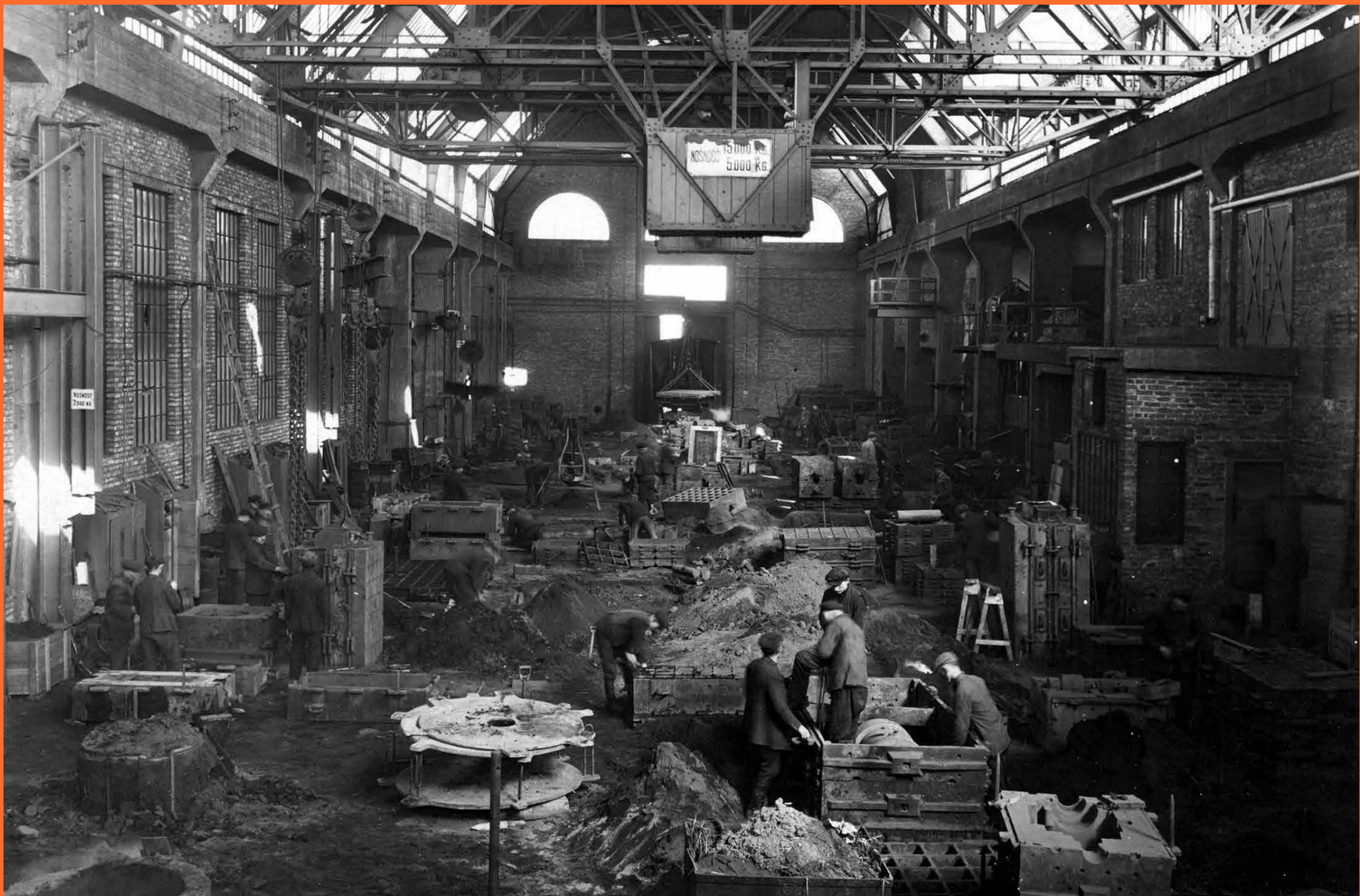
Chcę szczególnie podziękować wszystkim tym, którzy zechcieli podzielić się z nami swoim wspomnieniem, a także tym, którzy wysłuchiwali opowieści i je spisywali. To dzięki Państwu powstała ta publikacja.

## ***Ursus – stoje wokół fabryki***

**Jerzy Domżański**







НОСНИЦА 15000 кг  
5000 КГ

НОСНИЦА  
2000 кг





Fabryka Ursusa powstawała w trzech etapach. Początkowo mieściła się przy ulicy Siennej w Warszawie – w tym miejscu w tej chwili stoi Pałac Kultury – to był rok 1893. Na początku XX wieku, w roku 1908, likwidowano Fabrykę Machczyńskiego na Skierniewickiej i wtedy ulokowano tam produkcję dużych silników, a przy Siennej pozostały już tylko biura. Po wojnie, kiedy Polska odzyskała niepodległość, Ursus wziął udział w przetargu na dostawy samochodów ciężarowych i półciężarowych dla wojska i wygrał ten przetarg. W 1924 roku rozpoczęto budowę fabryki na terenie Czechowic pod Warszawą. Tę najstarszą część można łatwo poznać, gdyż te budynki są zbudowane z czerwonej cegły i wiadomo – budynki z czerwonej cegły to budynki z lat dwudziestych.

Fabryka odegrała rolę miastotwórczą. Tutaj, na terenie dzisiejszego Ursusa, były cztery wsie – Czechowice, Skorosze, Szamoty i Gołąbki – i jeszcze na początku lat dwudziestych w tych czterech miejscowościach mieszkało niewiele ponad tysiąc osób. Rozwój osiedla, najpierw osiedla robotniczego, zainicjowano na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych. Zaczęto budować domy i rozpoczęła się parcelacja. Powstała fabryka w Ursusie i zaczęło się tworzyć osiedle, ale osiedle zabudowane domami prywatnymi. Natomiast po wojnie fabryka została upaństwowiona i rozpoczął się drugi okres, kiedy to jej rozbudowie towarzyszyło powstawanie zespołu osiedli robotniczych – to są te pierwsze bloki z cegły w pobliżu placu Tysiąclecia. Oczywiście, taka polityka, że państwo budowało mieszkania dla ludzi i rozdawało je nie wytrzymała



ekonomicznie i po 1956 roku nastąpił trzeci okres rozwoju Ursusa – powstały spółdzielnie mieszkaniowe, które zajęły się budownictwem wielorodzinnym. Taką najświetniejszą spółdzielnią jest Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa. To ona wybudowała znaczną część Ursusa – od dzisiejszej ulicy Sławka w kierunku południowym. Spółdzielnia postawiła również osiedle Niedźwiadek, na którym mieszka teraz osiemnaście tysięcy osób. I wreszcie, na początku lat dziewięćdziesiątych rozpoczęła się kolejna epoka w budownictwie Ursusa. Na odrolnionych gruntach – bo jeszcze do lat dziewięćdziesiątych część gruntów w Warszawie miała charakter rolny – zaczęli budować deweloperzy.

**Ursus powstawał więc jak słoje wokół fabryki, każdy etap rozwoju fabryki dodawał nowe elementy w budownictwie tego osiedla.**











# Strajki 1976 – rys historyczny

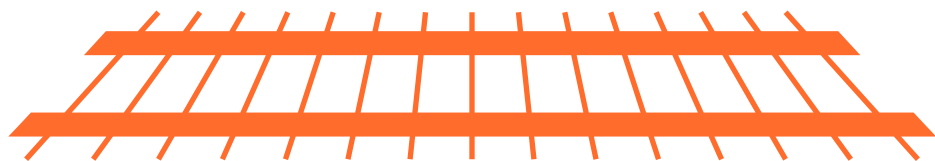
Bożenna Szmagaj

Czerwiec '76 – to określenie kryje wydarzenia, które rozpoczęły się 25 czerwca 1976 roku w Ursusie, Radomiu i Płocku jako protest przeciw podwyżce cen żywności ogłoszonej poprzedniego dnia przez premiera Piotra Jaroszewicza. Wydarzenia te doprowadziły do konsolidacji społeczeństwa i nasilenia się działań opozycyjnych wobec władzy ludowej.

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z 1952 roku głosiła, że „władza należy do ludu pracującego miast i wsi”, któremu to ludowi obiecywano budowanie państwa opartego na zasadach sprawiedliwości społecznej. Tymczasem to właśnie „lud pracujący miast”, czyli klasa robotnicza, kilkakrotnie występował przeciwko swojej ludowej władzy. Tak było w roku 1956 w Poznaniu, w 1970 na Wybrzeżu, w 1976 w Ursusie, Radomiu i Płocku, a w roku 1980 ponownie na Wybrzeżu. Wszystkie wspomniane wystąpienia robotnicze powodowały zmiany w systemie władzy i ostatecznie doprowadziły do obalenia w 1989 roku systemu komunistycznego w Polsce.

Polityka gospodarcza PRL opierała się na założeniach narzuconych wszystkim państwom bloku wschodniego przez Związek Radziecki. Cechy charakteryzujące model gospodarki socjalistycznej to nacjonalizacja przemysłu, kolektywizacja rolnictwa, upaństwowienie handlu, centralne planowanie, system nakazowo-rozdzielczy. W Polsce model ten nie został w pełni zrealizowany – rolnictwo i częściowo handel pozostały w rękach prywatnych.

Głównym celem kolejnych planów gospodarczych była industrializacja kraju, czyli przede wszystkim rozwój przemysłu ciężkiego, co wiązało się z zimną wojną i z wyścigiem



zbrojeń. Industrializacja spowodowała falę migracji do miast ludności wiejskiej, skuszona perspektywą awansu społecznego. Efektem tego stał się rozwój klasy robotniczej, budującej wielkie ośrodki przemysłowe. Rozbudowa przemysłu ciężkiego odsunęła na dalszy plan przemysł lekki, spożywczy oraz rolnictwo, co przyczyniło się do odczuwalnego obniżenia poziomu życia obywateli.

Pierwsze wystąpienie robotników przeciw władzy miało miejsce w Poznaniu 28 czerwca 1956 roku. Robotnicy z Zakładu Przemysłu Metalowego H. Cegielski domagali się między innymi obniżenia wygórowanych norm produkcyjnych i podwyżek płac. Przeciwko demonstrantom skierowano jednostki pancerne, padli zabici i ranni. Premier Józef Cyrankiewicz w przemówieniu radiowym zagroził, że ręka podniesiona na władzę ludową zostanie, w interesie klasy robotniczej, przez tę władzę odrąbana.

W efekcie Poznańskiego Czerwca władzę w Polsce przejął Władysław Gomułka, z którym początkowo wiązano wielkie nadzieje. Odwilż w dziedzinie kultury i życia politycznego, jak również wsparcie lekceważonych dotychczas dziedzin gospodarki, przyniosły poprawę poziomu życia Polaków (tak zwana mała stabilizacja). Jednak stopniowe odchodzenie od obietnic politycznych i kulturalnych a także pogarszająca się sytuacja gospodarcza w kraju, doprowadziły najpierw do tworzenia się opozycji politycznej („List 34”, działalność Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, wydarzenia marcowe 1968 roku), a następnie do kolejnych wystąpień robotniczych.

13 grudnia 1970 roku władze ogłosiły podwyżki cen, które miały zacząć obowiązywać tuż przed świętami Bożego

Narodzenia. Następnego dnia w Stoczni Gdańskiej rozpoczął się strajk stoczniowców domagających się cofnięcia podwyżek i wprowadzenia nowych norm pracy. Przeciwko strajkującym skierowano wojsko, które 17 grudnia otworzyło ogień do robotników Stoczni Gdyńskiej. Tę sytuację wykorzystali rywale partyni Władysława Gomułki i został on odsunięty od władzy. Pierwszym sekretarzem KC PZPR został Edward Gierek, a na czele Rady Ministrów stanął Piotr Jaroszewicz.

Podobnie jak z Gomułką po wydarzeniach poznańskich, również z Gierkiem wiązano nadzieje na poprawę warunków życia. Jednym z haseł propagujących rządu nowej ekipy było: „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Wyrażało ono ambitne plany przyspieszenia rozwoju gospodarczego oraz podniesienia standardów życia Polaków. Wyższe płace, tworzenie miejsc pracy dla roczników wyżu demograficznego i poprawa zaopatrzenia odzwierciedlały strategię „wielkiego skoku”.

Wzrost gospodarczy i modernizacja przemysłu miały być realizowane ze środków uzyskanych z kredytów. Odczuwalna poprawa życia rozbudziła nadzieje na przyszłość, ale sukcesy gospodarcze wiązały się z istotnym zadłużeniem Polski. Spłaty kredytów stawały się coraz większym obciążeniem dla gospodarki, gdyż niewłaściwie realizowano politykę inwestycyjną. Większość nabytych licencji była przestarzała, część kredytów przeznaczono na szeroko rozumianą konsumpcję, import wzrastał przy malejącym eksporcie, faktyczne nakłady były wyższe od planowanych, wydłużał się cykl realizacji inwestycji, a to opóźniało efekty produkcyjne i podnosiło koszty produkcji.



Z powodu załamania produkcji rolnej pogłębiały się trudności w zaopatrzeniu rynku w żywność.

Obiecane w 1971 roku utrzymywanie cen artykułów żywnościowych na niezmiennym poziomie wymagało dopłat z budżetu państwa, dlatego władze uznały, że podwyżka stała się koniecznością ekonomiczną. 24 czerwca 1976 roku premier Jaroszewicz przedstawił „propozycję” podwyżki cen żywności (na przykład ceny mięsa i wędlin miały wzrosnąć średnio o 69%, cukru o 90%). Proponowane dla zrównoważenia skutków podwyżki rekompensaty jednie zwiększały dysproporcje płacowe.

Drastyczna podwyżka cen żywności stała się bezpośrednią przyczyną robotniczych protestów rozpoczętych 25 czerwca 1976 roku w Ursusie, Radomiu i Płocku. Tego dnia w Zakładach Mechanicznych w Ursusie o godzinie szóstej rano robotnicy dwóch wydziałów ogłosili strajk. Kilka minut później wyszli przed hale produkcyjne, zachęcając pracowników innych wydziałów do przyłączenia się do protestu. Między godziną szóstą trzydzieści a siódmą pracę porzucili robotnicy kolejnych trzech wydziałów. W ciągu całego dnia strajkowało trzydzieści wydziałów. Według danych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o ósmej nie pracowało już 90% załogi, a wkrótce strajk objął cały zespół. Około godziny ósmej trzydzieści robotnicy udali się pod gmach władz administracyjnych, partyjnych i związkowych. Tam usłyszeli jedynie wezwanie do powrotu do pracy.

Obawa, że pozostanie przy maszynach w zamkniętych zakładach ułatwi władzy likwidację strajku spowodowała decyzję o wyjściu na, przebiegające w bezpośrednim sąsiedztwie

fabryki, tory kolejowe (linia kolejowa łącząca Warszawę z Łodzią i Katowicami, a także linia Warszawa-Berlin). Wobec odcięcia łączności telefonicznej była to jedyna możliwość poinformowania społeczeństwa o strajku. Robotnicy, siedząc na torach, tworzyli zapórę zatrzymującą nadjeżdżające pociągi. Około godziny szesnastej na torach pojawili się przedstawiciele regionalnej dyrekcji PKP, którzy polecieli maszyniście jednego z zatrzymanych pociągów ruszyć w stronę demonstrantów. Próba nie powiodła się, a zdarzenie to skłoniło robotników do trwałego zablokowania torów. Rozkręcono szyny, a w powstałą wyrwę zepchnięto lokomotywę, aby utrudnić przywrócenie normalnego ruchu pociągów.

W wieczornym przemówieniu telewizyjnym premier Jaroszewicz odwołał podwyżkę, uzasadniając tę decyzję przeprowadzonymi konsultacjami. Wówczas strajkujący zaczęli się rozchodzić – pozostało jedynie kilkaset osób przed bramą zakładów. Przeciwko nim skierowano oddziały ZOMO.

O godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści na teren zakładów dotarły trzy kompanie ZOMO. Demonstranci zostali wezwani do rozejścia się, a następnie obrzuceni granatami z gazem łzawiącym. W starciach uczestniczyło około 320 zomowców i kilkudziesięciu cywilnych funkcjonariuszy. Bezpośrednie starcie trwało kilkanaście minut – do godziny dwudziestej drugiej. Zatrzymano 76 osób, a kolejne aresztowano w czasie pacyfikacji miasta.

W następnych dniach w środkach masowego przekazu próbowano zdyskredytować zajścia w Ursusie i w Radomiu. Przedstawiano strajkujących jako warcholów, wichrzycieli i chuliganów, którzy zakłócali konsultacje z aktywnym partyjnym.

Na uczestników protestu, a czasem też na przypadkowych obserwatorów, spadły okrutne represje. Aresztowanych przepuszczano przez szpalery bijących i kopiących milicjantów („ścieżki zdrowia”), a podczas przesłuchań bito do utraty przytomności. Wytaczano procesy, w których oskarżenia opierano na fałszywych zeznaniach funkcjonariuszy MO, a wyroki skazywały na pięć lat więzienia. Ponadto zwalniano dyscyplinarnie ludzi z pracy z tak zwanym wilczym biletem, co utrudniało im znalezienie pracy.

Brutalność i represje władz wobec uczestników czerwcowego buntu wywołały powszechne oburzenie w środowiskach opozycyjnych. Ich przedstawiciele zaczęli występować w obronie prześladowanych robotników i, tworząc drugi obieg informacji, przedstawiali opinii publicznej fakty ukrywane przez władze. Zbierano pieniądze dla rodzin aresztowanych, pobitym udzielano pomocy medycznej, grupa warszawskich adwokatów udzielała bezpłatnej pomocy prawnej, do władz kierowano zbiorowe i indywidualne listy protestacyjne. Działania te zaowocowały powstaniem we wrześniu 1976 roku Komitetu Obrony Robotników, którego członkowie, mimo prześladowań ze strony służby bezpieczeństwa, domagali się amnestii i przywrócenia represjonowanych do pracy. Naciski ze strony społeczeństwa i wzrastająca aktywność opozycji skłoniły władze do stopniowego łagodzenia represji. 19 lipca 1977 roku Rada Państwa wydała dekret o amnestii. Wtedy wyszli na wolność ostatni skazani za udział w demonstracjach robotniczych 1976 roku.

**Wystąpienia robotnicze 1976 roku nie przyniosły zmian we władzach państwowych. Osiągnięto jednak znacznie więcej – wydarzenia zmusiły władze do ustępstw i zmobilizowały do działania inne grupy społeczne. Jacek Kuroń, jeden z przywódców opozycji i założycieli KOR-u, twierdził, że wobec władzy społeczeństwo musi występować solidarnie, jednocząc się i tworząc społeczeństwo obywatelskie.**

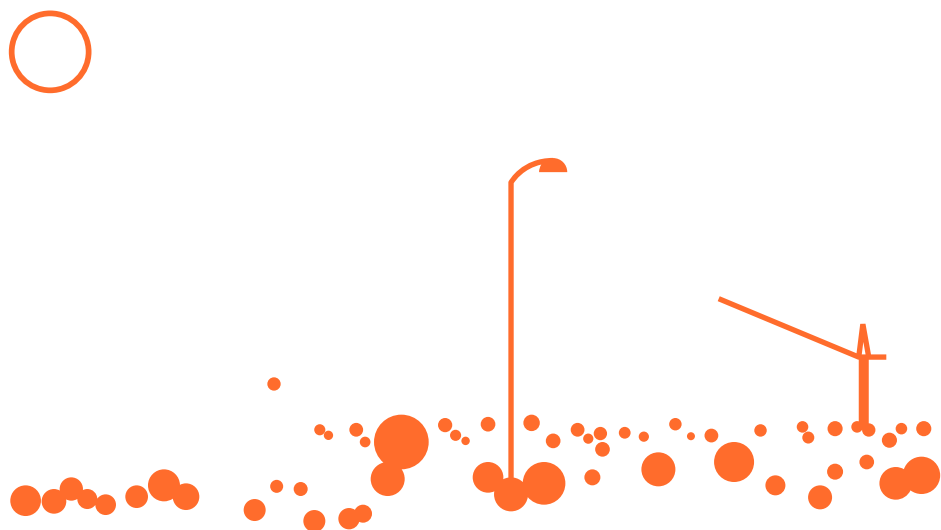
Po 1976 roku nastąpiło nasilenie działań opozycyjnych. KOR przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”, w 1977 roku powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO), a wkrótce potem pierwsza opozycyjna partia polityczna – Konfederacja Polski Niepodległej. Na Górnym Śląsku i na Wybrzeżu tworzone Wolne Związki Zawodowe, wspierane przez środowiska inteligenckie. W sierpniu 1980 roku ich działacze poczynili kroki, które zyskały poparcie całego społeczeństwa. Powstał NSZZ „Solidarność”, który doprowadził do obalenia w 1989 roku komunizmu w Polsce. Ale wstępem był Czerwiec '76 – krok ku wolności.

#### Bibliografia

- Albert A., „Najnowsza historia Polski 1918-1980”, 1991;
- Sasanka P., „Czerwiec '76. Refleksje wokół rocznicy”, w: Biuletyn IPN nr 4, 2011;
- „Czerwiec '76. Krok ku wolności”, Teki edukacyjne IPN, Warszawa 2002;
- „Ursus '76”, Wyd. Stowarzyszenie Przyjaciół Archiwum Państwowego Miasta Stołecznego Warszawy, 2006.

# Rocznice Czerwcowe

Henryk Linowski



Nasza powojenna droga do wolności i niepodległości była naznaczona prześladowaniami, więzieniami i krwią tysięcy Polaków. Naród jednak nigdy nie pogodził się ze zniewoleniem sowieckim. W połowie lat pięćdziesiątych zaczęło narastać również niezadowolenie z powodu obniżenia poziomu życia (były takie okresy, że brakowało nawet chleba). Sześćdziesiąt lat temu nastąpił wybuch społecznego protestu, który zapoczątkowali 28 czerwca 1956 roku robotnicy z zakładów Cegielskiego w Poznaniu. Robotnicy wyszli na ulice. Dołączyli do nich pracownicy innych zakładów. Pochód liczył około stu tysięcy ludzi. Dla uśmierzenia buntu marszałek Rokossowski skierował przeciwko nim II Korpus Pancerny. W walkach zginęło siedemdziesiąt pięć osób, a około osiemset odniosło rany.

Czterdzieści lat temu, wieczorem 24 czerwca 1976 roku, premier Jaroszewicz ogłosił drakońską podwyżkę cen żywności. Następnego dnia, 25 czerwca, zastrajkowała załoga fabryki traktorów (Zrzeszenie Przemysłu Ciągnikowego Ursus), domagając się odwołania podwyżek cen. Do protestu przystąpili także robotnicy z Radomia, Płocka i wielu innych miejscowości. Protesty robotnicze przybrały gwałtowny przebieg. Robotnicy Ursusa wyszli na tory i zatrzymali ruch na dwóch liniach kolejowych – stanęły pociągi, warszawski węzeł kolejowy został sparaliżowany. Cały świat natychmiast dowiedział się o buncie robotników. Władze wystraszyły się siły buntu robotniczego i pod koniec dnia ogłoszono odwołanie podwyżek cen. Jednakże wielu uczestników protestu doznało obrażeń ciała ze strony milicji, wielu zostało aresztowanych i skazanych na

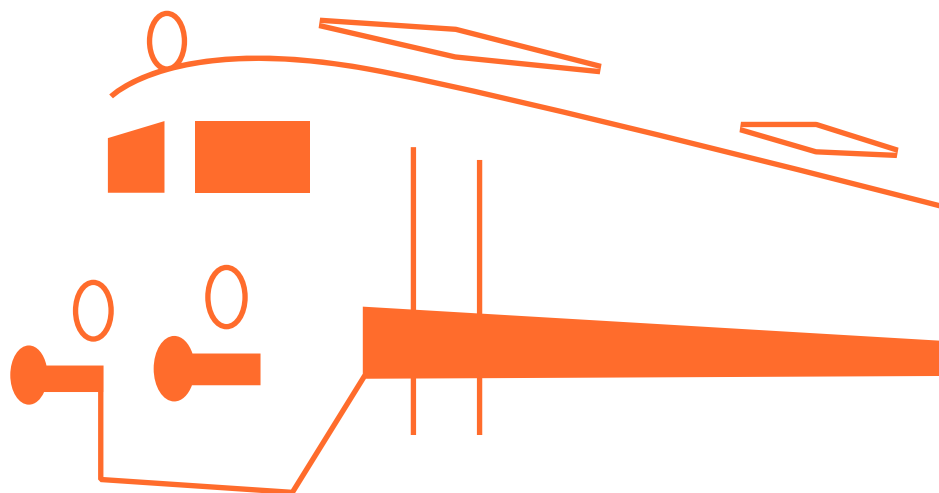
więzienie, natomiast innych zwolniono z pracy, a ich rodziny zostały pozbawione środków do życia. Wówczas spontanicznie narodził się ruch ludzkiej solidarności. Z czasem pomoc udzielana poszkodowanym zaczęła przybierać formy zorganizowane. Pierwsi z pomocą poszkodowanym rodzinom w Ursusie pospieszyli harcerze z drużyny „Czarnej Jedyńki”, działającej przy Liceum im. Reytana. Pod koniec września powstał Komitet Obrony Robotników, który był pierwszą w PRL-u organizacją nielegalną, która działała jawnie. Nazwa tej organizacji wskazywała, że chodzi o obronę robotników przed władzą robotniczą. A to oznaczało, że władza komunistyczna utraciła moralne prawo nazywania się władzą robotniczą. Powstały też inne organizacje, między innymi Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Narodziła się więc opozycja demokratyczna – choć nielegalna, to jawnie działająca – czyli powstał nowy ruch oporu przeciwko komunistycznemu zniewoleniu, który rósł w siłę i nie przeszkodziły mu ani represje, ani stan wojenny.

Ale w drodze do wolności było jeszcze inne bardzo ważne wydarzenie czerwcowe. Na Placu Zwycięstwa w Warszawie 2 czerwca 1979 roku stanął papież Jan Paweł II, dziś święty, i zawołał do Boga: „Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”. I stało się, Duch wstąpił do serc i dusz Polaków i wybuchła „Solidarność” oraz nadzieja na wolną i niepodległą Polskę. Tej nadziei nie zgasił stan wojenny, a system komunistyczny w Polsce zaczął umierać. Jaruzelski ogłosił niewypłacalność Polski wobec zachodu z tytułu zaciągniętych przez Gierka kredytów, a w sklepach były jedynie puste haki

i przysłowiowy ocet. Polsce groziła katastrofa. Tymczasem na Kremlu Gorbaczow ogłosił przebudowę systemu i jawność działania. Polscy komuniści postanowili dogadać się z opozycją. W tym celu zwołano Okrągły Stół, na którym zostały zawarte kompromisowe ustalenia między opozycją a władzą PRL. Pierwsze wolne wybory w PRL odbyły się 4 czerwca 1989 roku. Choć nie były one w pełni demokratyczne – w odniesieniu do Sejmu nie spełniały warunku równości, gdyż zawarty z władzą PRL kontrakt gwarantował władzy 65% mandatów, a Komitetowi Obywatelskiemu „Solidarność” 35% mandatów – to sukces „Solidarności” był olbrzymi i niespodziewany dla opozycji. Ten dzień można uznać za datę narodzin III Rzeczypospolitej. Tworzenie III RP trwało jeszcze kilka lat i zakończyło się po tym, jak wojska rosyjskie opuściły Polskę we wrześniu 1993 roku, a 2 kwietnia 1997 roku uchwalono Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej. Miejmy świadomość, że w Ursusie nastąpił początek końca komunizmu w Polsce i w Europie. Złożyły się na to trzy ważne wydarzenia: po pierwsze zwycięstwo robotników – ponieważ władza wycofała się z podwyżek cen żywności, ludzie poczuli, że mają siłę, przed którą cofa się komunistyczna władza; po drugie narodziny spontanicznego ruchu solidarności ludzi, którzy spieszyli z wszelką pomocą dla represjonowanych pracowników zakładów Ursus i ich rodzin; po trzecie powstanie zorganizowanej opozycji demokratycznej, nielegalnej, ale jawnie działającej.

# Konsekwencje strajków (lata 70. i 80.)

Henryk  
Zbigniew  
Paweł



## Pan Henryk

Robotnicy mieli bardzo trudne warunki życia, więc co jakiś czas się buntowali. W 1956 roku w Poznaniu odbył się strajk generalny, który został bardzo brutalnie stłumiony – tam zginęło wiele osób. Potem, w roku 1970 w Szczecinie użyto czołgów i wtedy również wielu ludzi straciło życie. Wiedzieliśmy, że w tym systemie co jakiś czas będzie dochodziło do tego typu krwawych wydarzeń, gdyż ówczesna władza bała się demokracji, bała się normalnej wymiany poglądów, bała się głosowania – głosowania były udawane, wybory były oszukiwane. Byliśmy przekonani, że jeżeli chcemy żyć normalnie, podobnie jak żyją państwa zachodnie, demokratyczne, to musimy to zmienić. Jeszcze nie bardzo wiedzieliśmy jak, ale należało to zmienić na pewno. I w związku z tym spotykaliśmy się, rozmawialiśmy o tym. Jeżeli ktoś był prześladowany, to staraliśmy się go bronić, sprawiać, by nie czuł się samotny.

I właśnie wtedy zdarzyła się ta historia z Ursusem. Mieliśmy poczucie, że władza radzi sobie z wszystkimi protestami między innymi dlatego, że każdy działa na własną rękę. Studenci protestowali sami w 1968 roku, robotnicy walczyli sami w roku 1970. Nie było prób współpracy. Stwierdziliśmy wtedy, że musi pojawić się jakiś rodzaj współdziałania, że nie wolno się izolować, że trzeba być razem, trzeba pójść do tych robotników i z nimi rozmawiać. Nie było takiej okazji i stąd właśnie rok 1976 i prześladowania wobec robotników w Ursusie. Potem były jeszcze wydarzenia w Radomiu – jak się o tym dowiedzieliśmy, to zaczęliśmy wysyłać tam całą grupę ludzi. To stworzyło jakąś okazję, to był ten



moment, kiedy trzeba było do tych ludzi pójść i im pomóc, bo oni byli zastraszeni i samotni, może jeszcze bardziej niż my, bo nie mieli otoczenia, które mogłoby im pomagać. A ci ludzie w Ursusie się bali. Jak ktoś był prześladowany, to był izolowany, ludzie zrywali z nim kontakty. Tu, w środowisku warszawskim, jak ktoś był represjonowany, to starano się mu pomóc, a tam w tym Ursusie było przecież gorzej, więc ludzie tym bardziej potrzebowali pomocy. I po pierwszym szoku, że ktoś w ogóle chce pomagać, rodziny bardzo chętnie nawiązywały kontakty i nawet w pewnym sensie ich oczekiwały, bo rozeszła się w Ursusie fama, że jakaś grupa chodzi z jakąś pomocą. I kiedyś, jak przyszedłem do którejś z rodzin, to mieli do mnie pretensje, że tak późno przychodzę, bo powinienem być być wcześniej, oni czekali już od dawna. W którymś momencie ludzie już chcieli tych kontaktów, bo nikt inny nie udzielał im pomocy.

Prymas Wyszyński i rada Episkopatu wyrazili we wrześniu 1976 roku, już oczywiście po tych wydarzeniach, solidarność z prześladowanymi – było takie oświadczenie. Ale już ci na niższych szczeblach, proboszcze, to oni się bali – bo tu dach trzeba było robić, tam trzeba było załatwiać z władzą jakieś inne interesy – i tak po cichu to nam sprzyjali, ale tak otwarcie to już nie za bardzo. Ale byli też tacy, którzy nas wspierali. Był w Podkowie Leśnej, tu niedaleko Ursusa, taki ksiądz Kantorski, który wystąpił publicznie w czasie mszy. To było bardzo ważne. Powiedział, że teraz pieniądze z tacy będą przeznaczone na pomoc dla prześladowanych robotników. Byli więc też tacy księża, którzy byli odważni, ale to były pojedyncze przypadki. Większość pomagała raczej po cichutku.

Ci ludzie, którzy byli prześladowani, potrzebowali aktu solidarności. Wydaje mi się, że nasze działania były strzałem w dziesiątkę. Początek tych działań miał miejsce 17 lipca na korytarzu sądowym na Świerczewskiego (ludzie mówili Leszno, bo przed wojną to było Leszno). To wtedy stopniowo zaczęliśmy zdobywać wiedzę na temat tego, co się stało. Bo ta historia przez nikogo nie została spisana. Prowadziliśmy takie śledztwo, krok po kroku dowiadaliśmy się, co naprawdę zdarzyło się w Ursusie. Bo były różne legendy, na przykład, że przyspawano pociąg do szyn. I te legendy stopniowo poznawaliśmy. A z tymi torami to było tak, że chcieli zatrzymać pociągi i zatrzymali. Stanęli na torach i zatrzymali, ale bali się, że ktoś przyjdzie, rozpędzi ich i pociągi znowu ruszą, więc postanowili na trwałe je unieruchomić. Pierwsza próba była taka, że postanowili przeciąć tory przy pomocy palnika acetylenowego – starali się to zrobić bracia Majewscy, potem bardzo znani w Ursusie. Przyjechali z takim palnikiem acetylenowym z butlami i zaczęli ciąć, ale sprzęt przestał działać, zaciął im się. Trochę naruszyli tory i udało im się je naciąć, a legenda wzięła się stąd, że było widać płomień. Ale to nie było żadne przyspawanie, a ich działanie zakończyło się zresztą niepowodzeniem. Za to druga metoda się sprawdziła. Mianowicie, poszli do jednego z maszynistów po zestaw specjalnych kluczy, tymi kluczami rozkręcili tory i w powstałą przerwę pchnęli lokomotywę odłączoną od składu pociągu. Jak lokomotywa wpadła w ten dołek, to już nie można jej było ruszyć bez użycia dźwigu. Głośny proces siedmiu robotników ursuskich dotyczył





głównie tych, którzy brali udział w unieruchomieniu tej lokomotywy.

Ponieważ protesty odbywały się w nie tylko w Ursusie, a również w innych miastach, władza się wystraszyła i wieczorem Jaroszewicz, premier rządu, wygłosił przemówienie. Stwierdził w nim, że ludzie protestują niesłusznie, bo władzy chodziło o to, żeby zaproponować tę podwyżkę, chcieli zrobić konsultacje, a ponieważ jest wiele głosów krytycznych, to oni się z tej podwyżki wycofują. Wieczorem ogłosili, że podwyżek nie będzie, był też apel, żeby wszyscy się rozeszli. Jeden kolega z Ursusa, taki, którego poznałem później, mówił, że wystawił telewizor, żeby ludzie dookoła widzieli, co tam się dzieje, że wzywa się do tego, aby się rozejść. No ale ludzie się tak pospiesznie nie rozchodzili i wtedy nastąpił atak ZOMO. Wyłapywano ludzi przy torach, wielu zostało pobitych i aresztowanych, przeszli przez tak zwane „ścieżki zdrowia” (to było specjalne pałowanie w szpalerach milicyjnych). Wtedy też rozpoczęła się wielka akcja represyjna, zemsta – zmusiliście nas do wycofania podwyżki, to my wam teraz pokażemy. Podczas strajku cały czas robiono zdjęcia. W następnych dniach te zdjęcia zostały rozwieszane w zakładzie pracy i szefowie rozpoznawali osoby, które brały udział w wydarzeniach. I wyrzucano tych ludzi z pracy. Były też dyżurne kolegia orzekająco-odwoławcze i to one dawały areszty. Wtedy po Ursusie rozeszła się taka groza, że pobili wielu zupełnie przypadkowych ludzi – bo ktoś na przykład szedł przy torach po dziecko. Powsadzali ich do więzień, do aresztów, nie wiadomo gdzie – bo przecież nikt nie wiedział, gdzie byli przetrzymywani.



Warszawa, 24-30.05.1977. Głodówka członków i współpracowników KOR-u (Komitetu Obrony Robotników) w kościele św. Marcina w Warszawie w proteście przeciwko przetrzymywaniu w areszcie pięciu robotników z Radomia i Ursusa oraz członków i sympatyków KOR-u. Na zdjęciu uczestnicy głodówki; od lewej w dolnym rzędzie: Jerzy Geresz, Henryk Wujec, o. Aleksander Hauke-Ligowski, →

To wszystko doprowadziło do pacyfikacji. Z Ursusa wyrzucono te wszystkie groźne elementy (tak nazwała ich władza), rozpoczęły się procesy tych, którzy byli oskarżeni o wykolejenie pociągu, a także procesy innych aresztowanych, ludzie siedzieli w więzieniach. Być może dzięki tej naszej akcji pomocy i oświadczeniu Episkopatu w którymś momencie skrócono czas aresztu z tych trzech miesięcy na mniej więcej miesiąc. Także, jak chodziliśmy tam w sierpniu, to już wiele osób było na wolności, tylko że nie mieli pracy. Część wciąż siedziała – władze prowadziły taką zmienną politykę, częściowo wypuszczaly, żeby może trzymać tylko tych najgorszych, nie wiem dokładnie.

23 września ogłoszono powstanie Komitetu Obrony Robotników. Kilkanaście osób w sposób jawny oświadczyło, że będzie prowadzić akcje pomocy, będzie domagać się uwolnienia z więzień i przyjęcia do pracy tych, którzy byli prześladowani. Oświadczenie podpisali między innymi profesor Edward Lipiński (taka przedwojenna postać, ekonomista) ze Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (obecnie Szkoła Główna Handlowa w Warszawie), Jacek Kuroń, Halina Mikołajska, Aniela Steinsbergowa (adwokat), Ludwik Cohn, Jan Józef Lipski, Antoni Macierewicz i Piotrek Naimski. Ta grupa podała swoje adresy i numery telefonów, pod które należało się zgłaszać. To było oświadczenie jawne, niekonspiracyjne. To było bardzo ważne również dla nas, jeżdżących do Ursusa – od tej pory mówiliśmy, że jesteśmy współpracownikami KOR-u, nie jesteśmy samozwańcami, tylko działamy na prośbę KOR-u. I kiedy nas aresztowali – no bo w którymś momencie zaczęły

Tadeusz Mazowiecki (rzecznik głodujących), Lucyna Chomicka, Stanisław Barańczak; w górnym rzędzie: Ojzjasz Szechter, Joanna Szczesna, Bogusława Blajfer, Zenon Pałka, Eugeniusz Kloc, Kazimierz Cwitoń, Barbara Toruńczyk, Bohdan Cywiński, Danuta Chomicka. Zbiory Ośrodka KARTA (z archiwum Eugeniusza Kłoca, przekazał Jan Strękowski)

się areszty, przesłuchania i rewizje – KOR stanął w naszej obronie.

W którymś momencie części osób zamieniono areszty z trzech miesięcy na miesiąc. Potem już także te trzy miesiące się skończyły i ludzie wychodzili. Siedmiu robotników dostało wyższe wyroki – tam najwyższy to było chyba pięć lat, Chmielewski taki miał. Jaworski dostał trzy lata więzienia. To były surowe wyroki, ale potem je skracano – między innymi w wyniku akcji pomocy. Władze chciały usunąć powód tego ruchu solidarnościowego, uważały, że, jak już ich zwolnią, to nie będzie powodu do protestów, więc w którymś momencie zaczęły wypuszczać ludzi z więzienia.

Kolejnym naszym zadaniem było sprawienie, by tych ludzi ponownie przyjęto do pracy w Ursusie, bo oni wszyscy zostali zwolnieni. W tym czasie wprawdzie bardzo potrzebowano pracowników, to nie był taki czas jak teraz, nie było dużego bezrobocia – wtedy z pocałowaniem ręki brano każdego doświadczonego robotnika i rzemieślnika, który znał się na fachu; obowiązywał inny system, płacono mało, ale wszyscy byli zatrudnieni – ale tych ludzi, którzy zostali zwolnieni po strajku, nikt nie przyjmował do pracy, oni mieli wilczy bilet i byli bez środków do życia. Była taka uchwała Komitetu Warszawskiego PZPR, że tych ludzi nie przyjmuje się do pracy. To była tragiczna sytuacja dla rodzin – choć wcześniej robotnicy zarabiali nędzne grosze, ale jednak zarabiali, a tak, bez tych groszy, była zupełna nędza. Nasze działanie polegało na tym, żeby zmusić władze do przyjęcia tych ludzi do pracy. Jak ich zmusić? Nie mieliśmy żadnych specjalnych instrumentów, ale jeden z naszych kolegów, chyba Wojtek Onyszkiewicz,





wymyślił, że trzeba napisać listy – robotnicy pracujący w fabryce napiszą listy do towarzysza Gierka, pierwszego sekretarza, żeby przyjął do pracy ich kolegów. Jeździliśmy do ludzi i przygotowywaliśmy te listy. Potem była wielka akcja, w której brało udział wiele osób, takich wolontariuszy. Na szóstą rano robotnicy szli do Ursusa do pracy i wtedy ta rzeźka ludzi wylewała się z pociągów i szła do bram, a wolontariusze przed szóstą byli już na stacji w Ursusie, poumawiani z konkretnymi osobami, i dawali im listy do podpisywania. O godzinie drugiej, kiedy robotnicy wracali z pracy, zabierali od nich już podpisane listy. Zebraliśmy około tysiąca podpisów. Te listy były wielkim świadectwem autentyczności, bo były wybrudzone różnymi smarami, upaprane jak cholera. Listy z podpisami zapakowaliśmy w kopertę i wysłaliśmy pocztą do towarzysza Gierka. Niestety nie zrobiliśmy kopii i pewnie zaginęły gdzieś w KC, ale odegrały swoją rolę.

Władze zaczęły w tamtym czasie organizować wiece potępieńcze – robotnicy z zakładów warszawskich zbierali się na Stadionie Dziesięciolecia i potępiali „warchołów” z Ursusa. Ja wtedy pracowałem i u mnie też był obowiązek pójścia na taki wiec – ja nie poszedłem, ale część z moich kolegów poszła. Po naszym liście zaprzestano organizacji tych wieców. Władze zobaczyły, że mają mniejsze poparcie niż my, pomimo tych prześladowań. Zaczęto też przyjmować ludzi do pracy, tylko niestety na gorszych niż wcześniej warunkach. Ten czas wymagał też wielu kontaktów, bo trzeba było tam dojeżdżać i spotykać się. Trwało to mniej więcej do końca roku 1976. W roku 1977 zostało nam już tylko kilku w więzieniach, tych, którzy dostali te wysokie wyroki. Ale również

oni, gdzieś tak w styczniu czy lutym, zostali zwolnieni jakąś decyzją amnestyjną. Właśnie ci, którzy mieli tam „piątkę”, „trójkę” – oni wychodzili z więzień. To już była dla nas wielka radość. Trwał jeszcze proces dwóch braci Majewskich oskarżonych o te butle na torach, to oni nadal siedzieli w więzieniu. I jeszcze była jedna „trójka”, ale już nie pamiętam dokładnie, o co oni byli oskarżeni. W którymś momencie w Ursusie zostało nam tylko trzech siedzących w więzieniu. To był duży sukces. Przy okazji, kiedy jeździliśmy do Ursusa, dowiedzieliśmy się, że ci, którzy siedzieli w aresztach, poznali ludzi z Radomia, gdzie jak się okazało miały miejsce jeszcze większe wydarzenia. Wtedy od razu duża część naszych działaczy zaczęła jeździć do Radomia.

Akcja radomska była znacznie większa, bo w Radomiu w więzieniu siedziało więcej osób. Tam władze były mądrzejsze jeśli chodzi o represje. W Ursusie brano w dużej mierze przypadkowych ludzi (choć i autentycznych przywódców, na przykład tych, którzy brali udział w unieruchomieniu pociągów). My potem byliśmy u każdej z tych osób w domu – to często byli bardzo porządni ludzie, często wzorce społeczne. Był na przykład taki człowiek z Kałuszy na koło Grodziska Zielonka, który wziął na wychowanie dwójkę dzieci z domu dziecka. To byli nierzadko ludzie tego typu, więc propagandowo to była przegrana dla władz, bo trudno było tych ludzi potępiać, samo zatrzymanie pociągów to było za mało. A w Radomiu władze wymyśliły inny sposób – połapały ludzi ze świata kryminalnego i oskarżyły ich o udział w tych wydarzeniach. Oni bardzo często nie brali udziału w protestach, ale oskarżono ich i na łamach

prasy informowano, że to są recydywiści, którzy już wcześniej dokonywali czynów kryminalnych. Ci ludzie dostawali wyroki nawet do dziesięciu lat więzienia. Ale bardzo często to były wyroki lipne. Robiono to tylko dlatego, żeby wygrać propagandowo, trochę tak, jak robi teraz Putin, oskarżając o największe zbrodnie Ukraińców.

Nasza akcja pomocy zakończyła się w pierwszych miesiącach 1977 roku. Osiągnęliśmy nasze cele, ale doszliśmy do wniosku, że te kontakty, które zostały nawiązane w czasie akcji pomocy i te różnego rodzaju przyjaźnie, które zawiązaliśmy – zwłaszcza z młodszymi robotnikami, bo starsi się zasadniczo bali – należy utrzymywać. Wtedy pojawiały się różne idee. Jedną z nich było powołanie TUR-u, Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, żeby organizować wspólne wykłady i zajęcia. Zaczęliśmy ten pomysł nawet realizować, to był marzec roku 1977, ale to nie wychodziło, dlatego że ludzie nie bardzo mieli ochotę przychodzić na te wykłady. Potem wymyśliliśmy coś innego – wpadliśmy na pomysł, żeby wydawać pismo „Robotnik”, które łączyłoby współpracę robotników i inteligencji. I taką ideę zrealizowaliśmy. Od września 1977 roku zaczęliśmy wydawać podziemne pismo „Robotnik” (co dwa tygodnie). Podaliśmy imiona i nazwiska osób, które wzięły za to odpowiedzialność – tak samo jak KOR ogłosił imiona, nazwiska, adresy i numery telefonów, my też to zrobiliśmy, oczywiście licząc się z tym, że władze również poznają te dane. Ale to było działanie świadome.

Cała nasza dalsza działalność skupiała się na tym, żeby rozszerzyć akcję pomocy, która zaczęła się tylko od robotników,

na wszystkich, którzy doznawali prześladowań. Zgłaszali się do nas ludzie, którzy dowiedzieli się o nas z informacji podawanych przez Wolną Europę, a także z tych podziemnych pism. Chcieliśmy również zmienić system funkcjonowania władzy w Polsce na bardziej demokratyczny. Już był cały program i tak zwany ruch KOR-owski – Komitet Obrony Robotników, który zawiązał się wtedy we wrześniu 1976 roku, a rok później zmienił się w Komitet Samoobrony Społecznej KOR. Ludzie, którzy brali udział w akcji pomocy, stali się członkami KOR-u. My też byliśmy członkami KSS KOR, już wymienionymi z imienia, nazwiska i adresu.

I jeszcze jedna ważna rzecz. W roku 1977, kiedy właściwie kończyła się już akcja pomocy, chyba siedem czy osiem osób nadal siedziało w więzieniu – nie pamiętam dokładnie, były chyba trzy osoby z Ursusa i kilka z Radomia. Ale władze wsadziły do więzienia również naszych kolegów: Kuronia, Michnika, Wojtka Arkuszewskiego, Antka Macierewicza i tak dalej. Wtedy zorganizowaliśmy głodówkę protestacyjną – to było wtedy jedno z ważnych wydarzeń. W maju 1977 roku w Kościele św. Marcina, tutaj na Starym Mieście, tak około dwudziestu osób, za zgodą księdza Bronisława Dembowskiego, który był rektorem tego kościoła – przyszliśmy i ogłosiliśmy, że głodujemy solidarnie z tymi, którzy są w więzieniu i domagamy się uwolnienia więzionych niesłusznie przyjaciół i robotników. Naszym rzecznikiem był Tadeusz Mazowiecki – wtedy po raz pierwszy pojawił się publicznie w tym kręgu opozycyjnym. Głodówka spotkała się z wielką sympatią społeczną, natomiast władze wściekle ją zaatakowały, nazywając nas terrorystami.

Ten strajk głodowy był jedną z rzeczy, które być może doprowadziły do tego, że władze 22 lipca 1977 roku ogłosiły amnestię, na mocy której wszyscy siedzący w więzieniu zostali uwolnieni. To był nasz wielki sukces. Władza doszła wtedy do wniosku, że my dalej będziemy protestować, że to się nie skończy, więc, ogłaszając amnestię, chcieli zgasić przyczynę tego protestu. Ten sukces był zachętą do dalszego działania ruchu, już może na innych polach, tam chodziło o podziemne wydawnictwa i tak dalej. Potem pojawiły się też inne ruchy, na przykład Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Działania zaczęły się rozszerzać, ale wszystko zaczęło się od Ursusa.

Do Ursusa wielokrotnie jeździliśmy jeszcze później, jak powstała „Solidarność”, a więc zaledwie w cztery lata po tych wydarzeniach. „Solidarność” w Ursusie zakładali niektórzy z ludzi wcześniej prześladowanych, głównie jednak była to młoda generacja robotników, która już знаła te wydarzenia, ale nie brała w nich udziału. Wśród założycieli był Zbigniew Bujak, który pojawił się w kościele u księdza Kantorskiego w Podkowie Leśnej – on tam przyszedł wtedy, kiedy miały tam miejsce jakieś wydarzenia, pojawił się z jakimś listem, nawiązał kontakt z opozycją warszawską. Był tam też jego przyjaciel Zbigniew Janas. Utworzyła się grupka osób, która, gdy jeszcze nie było „Solidarności”, już współpracowała z „Robotnikiem” i z KOR-em. Jak był strajk w Stoczni Gdańskiej, to był sierpień roku 1980, to ja jeździłem do Ursusa. Byliśmy na stadionie (to nie był stadion jako taki, ale miejsce, gdzie można było usiąść na murawie) – spotkaliśmy się z grupą robotników z Ursusa

i rozmawialiśmy o tym, co oni będą robić w związku z wydarzeniami gdańskimi. Oni powołali komitet i wysłali swoją delegację do Gdańska, żeby wyrazić swoją solidarność ze strajkującymi. To były ważne działania i dlatego też potem, jak powstała „Solidarność”, załączkiem całej osi był Ursus w Warszawie. Przewodniczącym „Solidarności” w Warszawie, a nawet w całym województwie mazowieckim, został Zbigniew Bujak. Był to młody chłopak, miał z dwadzieścia parę lat – w tym czasie tak się te kariery kształtowały. I on rzeczywiście był liderem, dużej klasy liderem. A Ursus stał się miejscem symbolicznym, kultowym. I takim pozostał także w okresie świetności NSZZ „Solidarność”.

W grudniu 1980 roku odbył się tak zwany strajk o Naroźniaka. Zaareztowali jednego z naszych chłopaków, który drukował jakieś tajne materiały prokuratury mówiące o tym, jak prześladować opozycję. Zrobiliśmy strajk i w Ursusie było jego centrum. Władze zawsze działały w taki sposób, że najpierw ostro uderzały, a potem się trochę wycofywały, więc tego Naroźniaka wypuściły nocą z więzienia. Wtedy robotnicy z Ursusa nieśli go na barana, jako triumf, dowód na to, że ten strajk miał sens. Ursus był więc takim centrum protestu w grudniu roku 1980.

W czerwcu roku 1981 było przypomnienie wydarzeń Czerwca '76 i zaproszono wtedy wszystkich prześladowanych. Oni byli wtedy bohaterami. To był czas spontanicznego wyrażania swoich uczuć. Część z tych ludzi w wyniku prześladowań wyjechała, na przykład Jaworski wyjechał do Kanady, inni nie chcieli działać, powiedzieli: „Słuchaj, ja protestowałem, ale już teraz nie chcę, bo ciągle represjonują,



straszą”. Jedni z radością brali udział w tych obchodach, a inni nie chcieli. W każdym razie wtedy przypomniano te wydarzenia i postawiono pomnik, ten kamień.

A potem nastąpił stan wojenny. Wtedy już do Ursusa nie jeździłem, bo siedziałem. Natomiast później, po wyborach w roku 1989, na zaproszenie Ursusa bywałem w Domu Kultury na spotkaniach organizowanych w rocznice wydarzeń czerwcowych. Bywałem tam też na zaproszenie rady dzielnicowej (przez jakiś czas burmistrzem był mój kolega z akademika). Wciąż utrzymuję kontakt z niektórymi osobami z Ursusa, ale spotykamy się tylko na stopie przyjacielskiej.

Ursus, który ma tradycję przedwojenną, był w Polsce wziętym zakładem. Ale ja akurat pochodzę ze wsi, więc wiem jak to na wsi – na wsi ursuski traktor był niedostępny. Jak ktoś był w partii i chodził do sekretarza, to mógł dostać. Problemem nie były pieniądze, ale dostępność. W którymś momencie zakłady kupiły licencję Massey Fergusona – to było jeszcze za Gierka. Chcieli budować traktory nie dla rolników, tylko dla tych wielkich pegieerów. Był zresztą taki zamiar kolektywizacji, ale nie przymusowej jak to było za czasów stalinowskich, gdzie na siłę brano rolników, tylko bardziej rozsądnej kolektywizacji. Gierek robił taką ustawę – ta ustawa o tak zwanym KRUS-ie, o której się teraz dużo mówi, to ją wprowadził Gierek w 1975 roku. Pracownik był ubezpieczony, a rolnik nie był ubezpieczony, a ustawa mówiła – jak oddasz ziemię, to dostaniesz ubezpieczenie. To był taki kontrakt. I Gierek sobie wymyślił, że, jak pozbiera te wszystkie ziemie, to zrobi z tego potem gospodarstwa państwowe, efektywne. Panował taki mit efektywności

wielkiego – wielkie fabryki domów, wielkie huty, wielkie pegieery. Bieszczady miały być jednym wielkim pegieerem – do dziś są tam pozostałości, jakieś ruiny tych obór.

Massey Ferguson wchodził jako ten, który będzie produkuje te traktory dla dużych obszarów. W tym czasie, kiedy my chodziliśmy po Ursusie, to on już tam funkcjonował. Był stary Ursus i nowy Ursus, były stare silniki i nowe silniki – wtedy to wszystko znałem na pamięć, teraz już nie pamiętam. Po stanie wojennym wszyscy byliśmy przekonani, że ten Ursus powinien funkcjonować, że nie ma powodów by przestał. Na pewno powinien być się bardziej przestawić z Massey Fergusona na ten ciągnik dla zwykłych rolników, dlatego że pegieery zostały rozparcelowane. To wymagało zmiany technologii, licencji. I były takie próby – były kontakty Ursusa z jakąś firmą, chyba duńską, która miała to reformować. Zaniechano jednak prywatyzacji Ursusa i zmiany jego przeznaczenia, a bez pieniędzy nie można było wiele zrobić.

**„Solidarność” polegała na tym, że miała swoje bastiony, bastionem był Ursus, bastionem była Huta Warszawa, bastionem były Zakłady Wolskie. I na przykład bastion Huta Warszawa się uratował, bo oni podjęli mądrą decyzję – tam pojawił się jakiś włoski inwestor. Pomagał im też bardzo Jacek Kuroń, bo on był z Żoliborza. Tam udało się pokonać wszystkie przeszkody i huta do tej pory funkcjonuje. Nie pracuje w niej dwadzieścia tysięcy osób, jak to było w Ursusie, ale jednak to działa. Ursus też prawdopodobnie mógłby funkcjonować. Powinno się było restrukturyzować, nastawiać się na rynek, bo nie można produkować traktorów, jeżeli**

**ich nikt nie kupuje. Wiem, że w pewnym sensie ja również mogę czuć się jakoś odpowiedzialny za upadek zakładów, dlatego że doprowadziliśmy do rewolucji, która zniszczyła miejsca pracy jej bohaterów.**

Jedną z przyczyn klęski Ursusa jest też to – tu jest wina stanu wojennego i generała – że został on pozbawiony swojej elity. W Ursusie była w tym czasie taka naprawdę doskonała grupa robotników i inżynierów. Czuli ten zakład i chcieli go prowadzić. W stanie wojennym wszystkich zwolniono, więc znaleźli sobie inne miejsca pracy i, kiedy stan wojenny minął, to byli już na zewnątrz.

### **Pan Zbigniew**

Jestem człowiekiem, który miał szczęśliwe dzieciństwo. Wprawdzie bardzo biedne, bo rodzice byli robotnikami, mama miała cztery klasy, a babcia była niepiśmienna, ale miałem szczęśliwe dzieciństwo. To mnie nauczyło zaufania i tego, żeby się nie bać. Musiałem szybko zdobyć zawód i dlatego poszedłem do technikum kolejowego. Następnego dnia po odebraniu świadectwa poszedłem do pracy. Musiałem na siebie zarobić – takie były czasy, nie mam o to do nikogo żadnych pretensji. Wręcz przeciwnie – uważam, że to jest dobra szkoła życia. Jako maszynista na tamte czasy zarabiałem dużo, ale już jako młody chłopak miałem olbrzymią odpowiedzialność za ludzkie życie – pociągi przewoziły w tamtych latach po parę tysięcy ludzi. Ledwo się mieścili. I trzeba było za to odpowiadać. To do dzisiaj jest dla mnie szkoła tego, jak należy pracować, jak należy podchodzić do swoich obowiązków.

O strajkach w Ursusie słyszałem, bo pracowałem wówczas jako maszynista, a robotnicy Ursusa zatrzymali pociągi. Ja akurat się z tym nie zetknąłem – albo miałem wolne, albo jeździłem na podmiejskich, dzisiaj już nie pamiętam. W każdym razie na kolei natychmiast się o tym dowiedzieliśmy. Bardzo dużo się na ten temat mówiło. Natomiast ja jeszcze wtedy nie byłem działaczem opozycyjnym, byłem zwykłym, normalnym maszynistą kolejowym, który dopiero zaczynał życie. Jedna rzecz, która rzeczywiście niejako wprowadziła mnie w te sprawy, to było to, że ja byłem nauczony słuchania Wolnej Europy. Mój ojciec jej słuchał, co na początku potwornie denerwowało mnie i mojego brata. Ojciec siedział, kręcił, rzucał mocnym słowem, bo nie mógł usłyszeć, a nas to wkurzało. Ale to jest chyba typowe dla młodych ludzi. Mój ojciec był robotnikiem, ślusarzem, ale, co ciekawe, pierwszy raz zetknąłem się z KOR-em bezpośrednio – z tym ruchem, który powstał po strajkach w Ursusie i w Radomiu – w taki sposób, że mój ojciec przyniósł ze ZWAR-u w Międzyzlesiu (Zakłady Wytwórcze Aparatury Wysokiego Napięcia) książkę „Robotnicy” Bolka Sulika (później zresztą przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji). Książka była oczywiście wydana w podziemiu, więc to właśnie poprzez mojego ojca zetknąłem się z pierwszą niezależną publikacją. I w gruncie rzeczy poza tym, że coś wiedziałem, że interesowałem się, co się z tym KOR-em dzieje, nie miałem z tym otoczeniem żadnych kontaktów, to było kompletnie inne środowisko. Byłem buntownikiem, więc prawdopodobnie, w taki czy inny sposób, nawet gdybym nie znalazł się w Ursusie, jakoś bym to tego KOR-u trafił.









W 1978 roku zwolniłem się z kolei – bo tak sobie obiecałem, że będę tam pracował dopóki będzie mnie to chroniło od wojska, a potem się natychmiast zwolnię i będę szukał innej pracy. I to była jedna z najlepszych decyzji w moim życiu, choć bardzo ryzykowna, bo miałem już rodzinę na utrzymaniu, a jako maszynista zarabiałem bardzo dużo pieniędzy. Z moim przyjacielem Arkiem Czerwińskim – później zresztą przewodniczącym jednej z komisji „Solidarności” w Ursusie, również więźniem politycznym za strajk 13 grudnia – zwolniliśmy się jednego dnia, szukaliśmy pracy i znaleźliśmy ją w Elektrociepłowni w Ursusie. Trafiliśmy tam do brygady, w której był Zbyszek Bujak. I w ciągu trzech dni już wiedzieliśmy, że będziemy wspólnie działać. Te nasze pierwsze rozmowy były właśnie o 1976 roku. Zbyszek też na ten temat sporo wiedział, bo jego ojciec i on też słuchali Wolnej Europy. Ten 1976 rok był takim zacznym naszych rozmów o Polsce, o zmianach, o tym, że chcemy się włączyć w walkę o wolny i suwerenny kraj, że nie podoba nam się to, co się w Polsce dzieje, że ten system nam się nie podoba. To był ten początek. Bardzo długo nie zetknęliśmy się z nikim, kto był poszkodowany w 1976 roku. Ci ludzie zaczęli się ujawniać, kiedy wybuchła „Solidarność”. O ile pamiętam, to zbieraliśmy też dane tych pracowników, próbowaliśmy dotrzeć do możliwie największej liczby osób. Wtedy mieliśmy już większe możliwości. Natomiast to nie było tak, że większość ludzi z tych, którzy wtedy strajkowali, została zwolniona z Ursusa. Nie, nie. Bezpieka wyłapywała przywódców albo tych, których uważała za przywódców i tych, do których mogła dotrzeć. Bo przecież oni tam

przeglądali te zdjęcia – ubecja i ci ze współpracowników czy z pracowników Ursusa, którzy nie mieli zahamowań. Oni po prostu rozpoznawali swoich kolegów i w ten sposób bezpieka docierała do tych ludzi. Część z nich rzeczywiście została zwolniona, część wsadzono do więzienia. Te represje były, no ale to nie tak, że zwolnili setki czy tysiące ludzi. Niemniej jednak, wszystkie działania władzy miały na celu zastraszenie całej reszty i oczywiście byli tacy, którzy rzeczywiście podlegali bardzo poważnym represjom. Przede wszystkim, tak jak ja pamiętam, jak mówili moi koledzy, którzy przyjeżdżali do Ursusa, ludzie bardzo się bali – ciągle bali się bezpieki, nie wiedzieli, kto to jest i tak dalej. Niesienie pomocy nie było więc proste, bo trzeba było najpierw przekonać do siebie tych ludzi. Ale dzięki temu, że zajmowała się tym grupa wyjątkowych osób, które pomagały realnie, rzeczywiście załatwiały adwokatów, to to się wszystko udało. Udzielono pomocy wielu osobom. Najgorsza zawsze w tego typu sytuacjach jest samotność – człowiek czuje się samotny, bo nagle znikają znajomi, znika rodzina – ja znam te mechanizmy, bo przecież wielokrotnie ich doświadczyłem. Trzeba przełamywać tę samotność i to właśnie robili ludzie KOR-u, za co jesteśmy im niezwykle wdzięczni.

Pierwszym człowiekiem, z którym się zetknęliśmy, który opowiadał nam o strajkach 1976 roku, był Emil Broniarek. To był rok 1979 lub nawet 1980. Jego mama też pracowała w zakładach, też była działaczką „Solidarności” i uczestniczyła później, po stanie wojennym, we wszystkich demonstracjach. Zetknęliśmy się z pierwszym człowiekiem, który



pamiętał, jak to było i o tym opowiadał. Oczywiście nic nie można było zrobić, żeby to w tamtym czasie, w 1978 czy w 1979 roku, jeszcze przed „Solidarnością”, upamiętnić. Ale przyszedł rok 1980 i „Solidarność”. Poza budową struktur, organizowaniem się, demonstrowaniem, strajkowaniem, jedną z pierwszych rzeczy, o których zaczęliśmy myśleć – i tym się zajęła komisja kultury i Witek Kaszuba – było postawienie obelisku upamiętniającego rok 1976. Podjął się tego chyba Rudolf Ogrodzki. Zaczęliśmy to wszystko organizować. Powstał projekt, później jakiś rolnik udostępnił nam ze swojego pola ten wielki głaz, wysłaliśmy samochód z Ursusa, przywieźliśmy ten głaz i obelisk został zbudowany. Odbyło się wielkie spotkanie, podczas którego odsłonił się pomnik. Ja byłem jednym z tych, którzy odsłaniali, jako przewodniczący „Solidarności”. Na spotkaniu byli też świadkowie – ci, którzy wówczas podlegali represjom i w obronie których stanął KOR.

W Ursusie na szczęście nikt nie zginął, więc obelisk pierwotnie był bez demonstracyjnego krzyża. Chcę to przypomnieć. Pomnik został natomiast poświęcony przez biskupa Miziołka, już nieżyjącego biskupa, który był proboszczem w Międzyzlesiu, gdzie ja się wychowałem. Nikt w Ursusie nie zginął. Nie wiemy, jacy ludzie brali udział w strajku, byli tam też członkowie partii. Wierzący, niewierzący. Ja uważałem, że to jest inna sytuacja niż na przykład w Gdańsku – tam były trzy krzyże, ale tam zginęli ludzie. Ale oczywiście, jak to zwykle w polityce, zjawili się bohaterowie ostatniej godziny, którzy dostawili krzyż niepasujący do sytuacji. Nie będziemy jednak obalać krzyża,

bo nie ma co wywoływać konfliktów, ale to po prostu jest nieprzyzwoite, ja nie wiem nawet, czy to jest w ogóle zgodne z prawem, czy uzyskali na przykład zgodę projektanta. Mnie krzyż nie przeszkadza, ale niektórym może to przeszkadzać. Mnie tylko przeszkadza to, że to nie pasuje do miejsca, do historii.

Ten obelisk pełnił bardzo ważną rolę w stanie wojennym, dlatego że był miejscem, w którym zawsze odbywały się msze za ojczyznę. Prowadził je taki nasz kapelan, ksiądz Nowak. Z tego, co pamiętam, władza nie interweniowała. Nie rozwaliła też obelisku, chociaż na pewno kłutł w oczy komunistów. Ludzie „Solidarności” mieli takie miejsce, gdzie mogli przyjść i zademonstrować swój stosunek do ówczesnej władzy. I do dzisiaj w kolejne rocznice odbywają się tam spotkania. Mają czasami nieprzyjemny wydźwięk polityczny, bo i takie się zdarzały, niemniej jednak, tam ludzie się spotykają, wspominają ten czas. To ważne, tym bardziej, że to był czas z jednego punktu widzenia zły, z drugiej strony dobry, bo wszyscy byliśmy młodzi.

Pierwsze poszukiwanie dojsć do ludzi z KOR-u zaczęliśmy w 1978 roku. Ja szukałem, Zbyszek Bujak szukał i wspomniany wcześniej Arek Czerwiński. I wszyscy trzej znaleźliśmy. Czasami kompletnym przypadkiem, a czasami nie. Bo na przykład ja znalazłem przez koleżkę, z którym byłem w sanatorium – przez Janka Łojaka, takiego psychologa. A było to tak, że wszedłem do pokoju – w tym sanatorium, w Zakopanem – w którym było jeszcze dwóch innych ludzi i powiedziałem: „Bardzo was proszę, żebyście mnie tu nie próbowali przekonywać, że socjalizm to jest dobra rzecz

i w ogóle komuniści są wspaniali, bo się pokłócimy i po co nam to, to lepiej w razie czego omijać ten temat”. Potem Janek mówił mi, że najpierw myślał, że to jakiś prowokator. A ja już wtedy mówiłem otwarcie, co myślę o tym systemie, i w fabryce, i wszędzie, więc od razu, na wszelki wypadek, ostrzegałem. Po kilku tam rozmowach okazało się, że Janek współpracuje z KOR-em. I potem był naszym guru – dobierał nam lektury, zdobywał książki z podziemia, drukował dla nas. Z kolei Zbyszek Bujak znalazł kontakty przez księdza, słynnego Kantorskiego z Podkowy, wspaniałą postać. Arek Czerwiński, żeby było jeszcze ciekawiej, znalazł dojście przez Wiktora Kulerskiego, z którym ja byłem potem na jednym liście gończym – tym pierwszym, w stanie wojennym. Kulerski był naszym nauczycielem w szkole podstawowej.

Bardzo szybko zaczęliśmy ściągać różnych ludzi z KOR-u na wykłady. Organizowaliśmy je w niedużych grupkach u kogoś w domu, na ogródkach działkowych i tak dalej. Przyjeżdżali i Janek Lityński, i Henio Wujec, Jacek Kuroń, Janusz Onyszkiewicz. Tworzyliśmy dzięki temu już coraz większe grupy i budowaliśmy niezależne struktury. Już były książki, gazety. Oni ściągali następnych ludzi, następne gazety. Ja działałem bardzo otwarcie. Podzieliliśmy się zadaniami – ja byłem od pyskowania, chodziłem na otwarte spotkania partyjne, na których na przykład rozdawałem „Robotnika”, albo na zebrania związkowe, na które przynosiłem niezależne KOR-owskie książki, więc wszyscy wiedzieli, czym się zajmuję. Dzięki temu zdobywałem ludzi – potrafiłem czytać otwarcie „Robotnika” w pociągu. No i na przykład poprosił mnie jeden o gazetkę i zapytał,

czy mógłby kolportować. To była już taka działalność na coraz większą skalę. Potem zaczęli do nas dochodzić ludzie, dochodzić, dochodzić, dowiadywać się. Już byliśmy znani dosyć szeroko, głównie przez te nasze wystąpienia, głównie moje, bo Zbyszek wtedy miał nie zabierać głosu – on robił przerzuty gazetek do Ursusa. Ja byłem od robienia publicznego szumu – to była bardzo dobra zabawa.

**Dzisiaj nie jesteśmy w stanie zrozumieć, co to znaczy wolne słowo. Ja nigdy nie znalazłem odpowiednich słów, żeby wytłumaczyć, co to znaczy wolne słowo. To się tam czuło – jaka to była radość, że ja na takim spotkaniu mówię to, co myślę. Jak mnie pytają, dlaczego się zaangażowałem, to mówię, że powody były różne, ale jednym z głównych było to, że to był tak potwornie durnowaty i nudny system, że mi się niedobrze robiło na tę mowę. Dla mnie pójdzie na zebranie i przywalenie im, powiedzenie tak po ludzku: „Po co takie rzeczy mówicie? Kłamiecie!”, to była ogromna przyjemność. Prawie się unosiłem w powietrzu. Miałem poczucie, że nie jestem tchórzem, bo pokazywałem, że nie toleruję tego, co się dzieje. Byłem wolnym człowiekiem w tym zniewalającym systemie.**

Dzisiaj wszyscy możemy mówić, co chcemy, każdą głupotę, ale wtedy to był inny czas. Byli też tacy, którzy na nas donosili. Różne mieliśmy historie. Niektórzy ostrzegali nas przed sobą, mówili, że oni muszą pisać i dlatego nie mogą zbyt dużo wiedzieć – nie było żadnego problemu, nie pokazywaliśmy im naszych struktur. Ale gazetki nosiliśmy. No to trudno, napisał – i tak wszyscy wiedzieli. Mieliśmy





KR-VI-686/81

POSZUKIWANY



JANAS ZBIGNIEW

s. Wojciecha, ur. 2.VII.1953 r., zam.  
Warszawa ul. Hawajska 12 m. 69.

wzrost 179 cm, szczupły, wysportowany,  
włosy ciemnoblond, faliste, ma wąsy,  
może mieć brodę.

Kontakty:

Lenczewski Władysław-W-wa ul. Keniga 11/10

Janas Wojciech -W-wa Międzylesie ul. Pożaryskiego 20/2

Broniarek Emil - W-wa ul. Kulidłowskiego 13/80

Kieliszczyk Witold-W-wa ul. Keniga 4/59

Ciuńdziewicki Janusz-W-wa ul. Broniewskiego 22/142

Cieślikowski Ryszard - Brwinów ul. Biskupieka 57/12

Janas Zbigniew

też kolporterów w strukturach partyjnych. Kolegę u nas na naszym wydziale. On zawsze pierwszy się domagał, czytał i zanosił w różne miejsca. To był straszny system, ale jednocześnie sfera swobody, która, choć była tak nieduża, dawała ogromną radość, dawała takie poczucie pełnej wolności – bardzo trudno jest przekazać, jakie to uczucie.

Całkiem przypadkiem zrobiliśmy strajk 2 lipca 1980 roku. Rozeszła się plotka, że jakiś wydział u nas startuje, jeden z tych ciężkich, albo kuźnia albo odlewnia. Zbyszek Bujak tam poleciał, żeby dowiedzieć się, czy coś się tam dzieje. Ja, nie czekając na niego, mówię: „No, jak tam strajkują, to co, my, którzy tutaj działamy, nic nie zrobimy?”. Ściągnąłem wszystkich, poszliśmy na teren tej słynnej Elektrociepłowni, pod te kotły, ogłosiłem strajk i stanąłem na jego czele. Oczywiście zaraz były próby rozbicia, chcieli z tym gadać, z tamtym. Przegoniłem ich i powiedziałem, że to ze mną należy rozmawiać. Przybiegł Zbyszek Bujak, a szedł od drugiej strony tych kotłów, patrzy i pyta: „Co to?”. Odpowiadamy: „No strajkujemy”. Zbyszek mówi, że tam nikt nie strajkuje. No ale co, zdecydowaliśmy, że skoro już zaczęliśmy, to strajkujemy, stajemy na czele. I tak się zaczęło. Nie było wtedy Zbyszka Wilka (Henryk Wilk, przez przyjaciół zwany Zbyszkiem), ale przyjechał jego zastępca. Kiedy się pojawił, to my mieliśmy już postulaty i dosłownie w ciągu godziny negocjacji wszystko podpisali, wszystkie podwyżki. A jakie było napięcie wśród ludzi! Tam jeden kolega zemdlał, z tego napięcia, ze strachu – przecież to był robotnik. Nie daliśmy się rozbić. Sami postanowiliśmy, że stoimy na czele, że to z nami trzeba rozmawiać. I dzięki temu to się udało. Jak wszystko

podpisali, to ludzie odetchnęli i wyszli. Nie zdołaliśmy tego rozkręcić na inne wydziały, bo to było już niestety właściwie po tej pierwszej zmianie, a na drugiej było dużo mniej ludzi. Gdyby oni tego nie podpisali, no to byśmy zostali, być może by się to wtedy rozkręciło na dużą skalę. Niestety tak nie było. Wiedzieliśmy już też, dyskutowaliśmy o tym z ludźmi z KOR-u, że nie należy wyprowadzać ludzi na ulicę – te historie z wychodzeniem ludzi z zakładu kończyły się tak jak w Gdańsku, strzelaniem do ludzi, a u nas zablokowaniem torów i tak dalej. Wiedzieliśmy, że trzeba zostać w zakładzie, jeśli się rozkręci, to strajkować w zakładzie. Wcześniej ludzie nie mieli prawa o tym wiedzieć, wydawało się, robotnicza władza – kto by pomyślał, że będzie strzelała. Chociaż takie przypadki też już były – te doświadczenia ze strajkami w Poznaniu. Nam się to szybko i szczęśliwie zakończyło, ale ludzie zobaczyli, że można wygrać. W zakładzie się poniosło, staliśmy się już takimi prawdziwymi przywódcami – ci ludzie już wiedzieli, do kogo trzeba się zwracać, kto stanie w ich obronie, więc to się bardzo szybko już potem nakręcało.

Kiedy przyszły strajki w Gdańsku, to stworzyliśmy własny komitet poparcia strajkujących robotników Wybrzeża. Zrobiliśmy wiec, zebraliśmy pieniądze dla strajkujących. Co ciekawe, wysłaliśmy te pieniądze pocztą do Stoczni Gdańskiej. I wtedy to już była zupełnie inna sytuacja, już były negocjacje z dyrekcją. Ja stanąłem na czele delegacji Ursusa, która pojechała do Stoczni Gdańskiej. Dzięki temu byłem przy podpisywaniu porozumień gdańskich, przemawiałem w imieniu Ursusa do stoczniowców w słynnej sali BHP. To wszystko razem już inaczej wyglądało. Wróciliśmy



niemal od razu po zakończeniu strajku i od poniedziałku już budowaliśmy struktury, które szybko rosły. To jest nieprawdopodobne, bo przy pierwszym podejściu zebraliśmy chyba dwa tysiące podpisów. Tworzyliśmy listy, mieliśmy ludzi wszędzie. Pierwsze podejście to były dwa tysiące, potem cztery, pięć, dziesięć, dwanaście. A na dodatek ludzie wypisywali się ze związków i zapisywali się do „Solidarności”. Dzięki temu „Solidarność” w Ursusie liczyła między dwanaście a czternaście tysięcy osób. To był taki wybuch, który zakończył się strajkiem 13 grudnia. Strajk został rozbity, ale nie bezpośrednio przez ZOMO – na ich czele stanął wtedy ówczesny szef antyterrorystów. Rozbito ten strajk, bo to był przecież ruch „Solidarności”, ruch pokojowy.

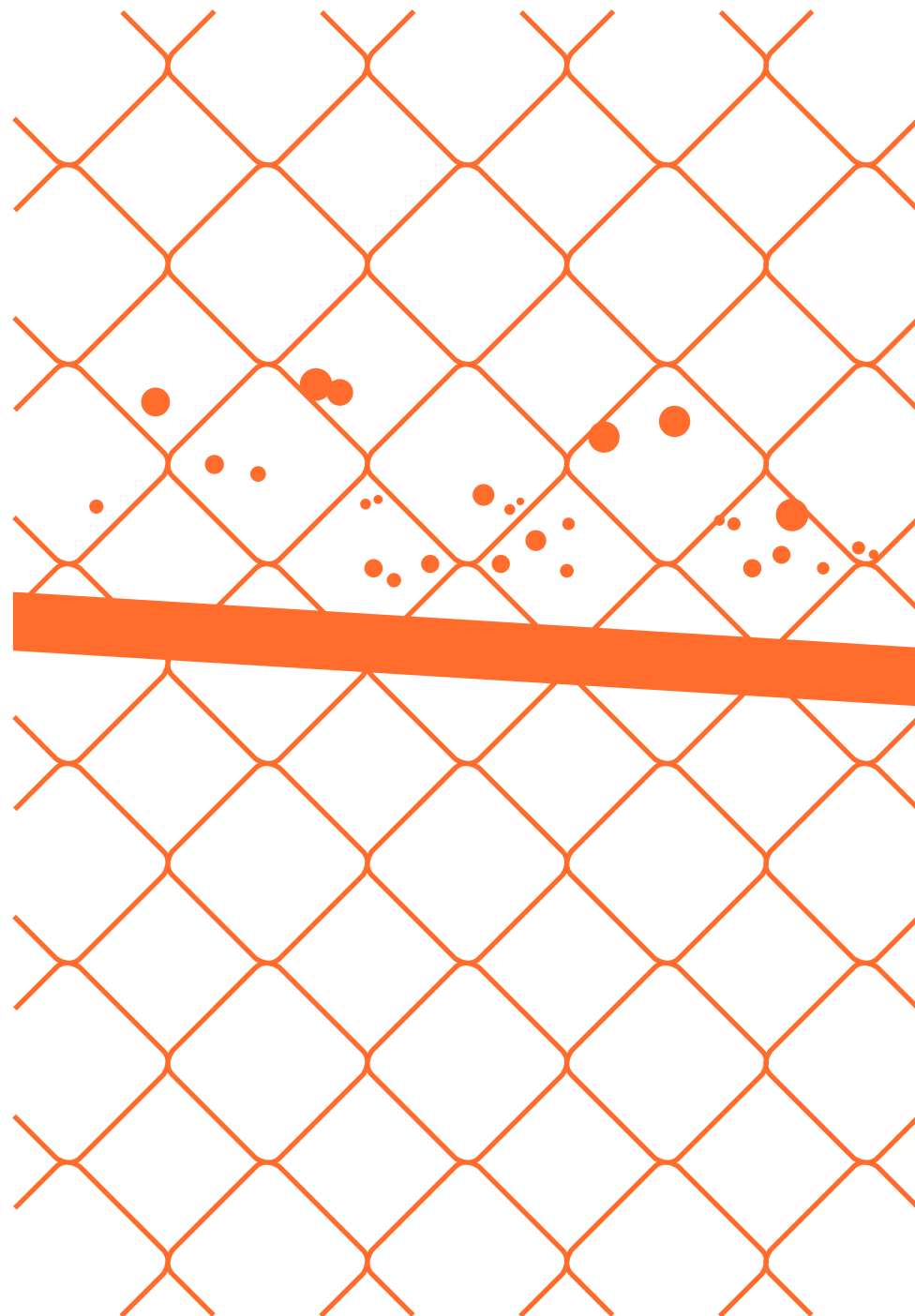
Niektórzy mnie pytają, dlaczego Ursus nie stanął na większą skalę. Ursus i „Solidarność” w Ursusie to było mrowie ludzi, robiliśmy wszystko, drukowaliśmy własne książki, robiliśmy spektakle, organizowaliśmy olbrzymie spotkania, koncerty, wszystko, ale to był ruch gotowy do pokojowych zmian. Nie budowaliśmy struktur konspiracyjnych nastawionych na walkę, u nas coś takiego w ogóle nie występowało. Trudno się więc dziwić, że tego typu struktura nie stanęła do walki. Zresztą lepiej, że nie stanęła, to już dzisiaj wiadomo. Bo to po prostu była za duża siła. Z czym, z rękami mieli pójść przeciwko karabinom maszynowym? To tylko komuniści potrafili łączyć, że gdzieś znaleźli jakąś pałkę, a tam podobno pistolet. To była ściema i łąkanie! Nie mieliśmy nic poza własnymi rękami, rozumami i sercami, więc to się musiało tak skończyć. A skończyło się tym, że kilku przywódców poszło do więzienia.

Na czele strajku stał Jurek Kaniewski, jeden z moich zastępców, jeden z przewodniczących komisji. Wtedy Witek Kaszuba, Arek Czerwiński i chyba Benek Filoda dostali wyroki, trzy i pół roku. Siedzieli trzy lata, zresztą w jednym więzieniu. To właśnie w ich obronie zeznawał wówczas w sądzie Zbyszek Wilk. Mnie w czasie strajku nie było w zakładzie, bo byłem w Stoczni Gdańskiej, w sali BHP. Dzięki temu bardzo szybko dowiedzieliśmy się, że nastał stan wojenny – jeszcze zanim zostało to formalnie ogłoszone. Ze Zbyszkciem Bujakiem poszliśmy na dworzec, kupiliśmy bilety do Warszawy i mieliśmy wracać nocnym pociągiem. Wyszliśmy przed dworzec i zobaczyliśmy, że ZOMO otoczyło hotel Monopol, a wiedzieliśmy, że są tam działacze „Solidarności” z prezydium. Jak tylko zomowcy odjechali, poleciliśmy tam. Joasia Onyszkiewicz, ówczesna narzeczona Janusza Onyszkiewicza, wnuczka marszałka Piłsudskiego, powiedziała nam, że Janusza wyprowadzili w kajdankach. Za chwileczkę przyjechał kierowca Lecha i powiedział, że dom Lecha jest otoczony. Wtedy już nie mieliśmy wątpliwości. Zostawiliśmy tylko Joasi teczki i po prostu się zerwaliśmy.

Noc, potworny mróz, pusto na ulicach i my. Zobaczyliśmy jakiegoś chłopaka w kapturze, chłopaczka, bo on taki szczuplutki. Tak się rozglądał, rozglądał. Patrzyliśmy, czy to ubek jakiś, czy kto. On też patrzył na nas. A my: „Jurek!”. On na to: „O, to wy?”. Okazało się, że uciekł. Usłyszał, jak się włamują do kolegów i nawiał. To był Jurek Borowczak, jeden z tych trzech, którzy zaczęli strajk 15 sierpnia. Był wiceprzewodniczącym „Solidarności” w Stoczni. No i tak z Jurkiem, we trzech w tym całym Gdańsku, jeździliśmy

nocnymi tramwajami, żeby się gdzieś zatrzymać. To nam nie szło, więc się rozdzieliliśmy. Ja wróciłem do Warszawy, przygotowywać jakieś miejsce do lądowania dla Zbyszka i dla siebie. Potem dojechał Zbyszek i już zaczęliśmy wspólnie organizować podziemie. Ja unikałem aresztowania, ale parę tysięcy działaczy było internowanych i aresztowanych. Odtwarzaliśmy „Solidarność” w podziemiu, wiele lat się ukrywałem.

Jest jeszcze jedna rzecz, która dla mnie ma niesłychanie wielkie znaczenie i znowu trochę szczęście spowodowało, że mi się to przytrafiło. Mianowicie, solidarność polsko-czechosłowacka. Dzięki temu, że wyszła konspira i było zdjęcie listu gończego, właśnie tego naszego, gdzie jestem ja, Bogdan Borusewicz, Zbyszek Bujak, Wiktor Kulerski i Włodek Frasyniuk. Tam był podany mój adres, a Petr Pospichal, sygnatariusz Karty 77 – swego czasu najmłodszy więzień polityczny w Czechosłowacji – szukał kontaktów z „Solidarnością”. Spisał sobie z listu gończego adres i na ten adres przysłał swojego łącznika. W ten sposób nawiązałem kontakty z Czechosłowacją i z ruchem opozycyjnym w Czechosłowacji. Zaczęliśmy się spotykać w górach, oczywiście nielegalnie, chroniąc się w lasach przed żołnierzami, którzy chodzili wtedy z kałachami. To nie były żarty. Przez te całe lata od 1986 roku chodziłem sam na przerzuty; miałem naszych łączników, przerzutowców, których wysyłałem w góry. Sam organizowałem spotkania, a także chodziłem na te wielkie, gdzie przychodził Havel, Jiří Dienstbier, wszyscy najbardziej znani działacze ówczesnej czechosłowackiej opozycji. Dla mnie, byłego robotnika,



byłego maszynisty, to była naprawdę wielka przygoda, przygoda życia. Ta przyjaźń z Havlem, która trwała do ostatnich dni jego życia. Mnie nic lepszego chyba się nie mogło, jeśli chodzi o życie społeczne, przytrafić. Trzeba mieć trochę szczęścia, trzeba na no też zapracować. Warto być człowiekiem, który ma w sobie pewien sprzeciw wobec zła, wobec nieprawości, potrafi to artykułować, ale w taki sposób, żeby ludzi nie odpychać, żeby raczej przyciągać ich do siebie, żeby stworzyć taką grupę, która, nawet jak jest daleko, może w pewnych sprawach wspólnie coś zrobić. Ja to wielokrotnie w tamtych latach widziałem. Widziałem ludzi chociażby takich, jak świętej pamięci Zbyszek Wilk – on był moim przeciwnikiem, był dyrektorem Ursusa z nomenklatury KC, ale kiedy był proces moich kolegów po strajku 13 grudnia, stanął w sądzie po ich stronie. Absolutnie ich bronił. Wyrzucili go z tego Ursusa, chyba nawet jednego dnia razem ze mną. Mimo że był człowiekiem PZPR-u, to ja się z nim w podziemiu spotykałem. Rozmawialiśmy o tym, co możemy zrobić wspólnie. Potem został senatorem z ramienia „Solidarności”. To pokazuje, jak trzeba działać. To nie jest tak, że ma się tylko wrogów. Czasami to są przeciwnicy, których można przyciągnąć na swoją stronę i wspólnie potem występować przeciwko tym, z którymi trzeba walczyć.

Nie ukrywam, że jak każdy człowiek bałem się nie o siebie, ale o moją rodzinę. Miałem już syna, miałem żonę, która nie pracowała – rodzina była na moim utrzymaniu. Naturalnie, że się bałem, przecież nie byłem człowiekiem bez wyobraźni, ale mając za sobą takich przyjaciół, mając za

sobą ludzi z KOR-u, wiedziałem, że nie będę już anonimowy. Mogłem zaryzykować. To było coś, co powodowało, że byliśmy jeszcze bardziej odważni. Oczywiście, miałem też za sobą rodzinę, miałem rodziców, teścia. Wiedziałem, że nie dadzą zginąć moim najbliższym.

### Pan Paweł

Nie jestem z Ursusa. Jestem z Warszawy, z Mokotowa. W 1976 roku, kiedy miałem 22 lata, wyjechałem na wakacje gdzieś nad morze. Tam usłyszałem, że mają być podwyżki. Czytałem pilnie gazety, czułem, że coś się dzieje, zwłaszcza że, jak się okazało, podwyżkę odwołano. Po około dziesięciu dniach wróciłem do Warszawy i dowiedziałem się, że zaczęły się represje i aresztowania. Później wszczęto procesy, a ja zacząłem chodzić pod sale sądowe, traktując to jako wyraz wsparcia dla sądzonych robotników Ursusa. Byłem tam w gronie przyjaciół z „Czarnej Jedyнки” – drużyny harcerskiej działającej przy VI Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Reytana – do której należałem będąc w szkole. Zacząłem działać właśnie dzięki ludziom z tego środowiska.

Jeszcze przed powstaniem KOR-u, w sierpniu, zaczęto zbierać pieniądze na pomoc dla represjonowanych. Wystarczyło, że informacja rozeszła się po Warszawie, a różni ludzie spontanicznie przekazywali wsparcie finansowe. Zaczęła też działać pomoc prawna. Bezcenną rolę odegrali tu prawnicy, którzy włączyli się w akcję, bo przecież często ci oskarżeni robotnicy nie wiedzieli co robić i nie mieli środków na adwokata. Akcjami, w których brałem udział, kierowali moi byli drużynowi z I Warszawskiej Drużyny Harcerskiej

„Czarna Jedyńka” – Antoni Macierewicz i Piotr Naimski. Któregoś sierpniowego dnia 1976 roku Krzysztof Łączyński, również z „Czarnej Jedyńki”, zaproponował mi, abym pojechał do Ursusa i zawiózł pieniądze dla rodzin. To właśnie poprzez Łączyńskiego dostawałem pieniądze na pomoc, głównie dla kobiet z dziećmi. Pojechałem do Ursusa. Bałem się – nieznane miasto, wieczór. Mieliśmy świadomość tego, że SB interesuje się naszymi działaniami. My nie wiedzieliśmy, kto był aresztowany, a oni mieli wszystkie dane. Błądziłem nie znając miasta. Uspokajałem się trochę, kiedy wchodziłem do klatki w bloku. Ja z tymi ludźmi nie umiałem rozmawiać, byli mi przecież zupełnie obcy. Ponadto miałem wtedy dwadzieścia parę lat, a oni pewnie dwa razy więcej. Widać było, że ludzie, którym pomagaliśmy, żyli bardzo skromnie. Musieliśmy działać szybko. Naszym zadaniem było przekazać pieniądze i, co jeszcze ważniejsze, spisać z papierów sądowych jaka była kwalifikacja, jakie były zarzuty i kto oskarżał. Zdobyte informacje przekazywaliśmy prawnikom. Trzeba było także nawiązać kontakt z rodzinami, by wiedzieć, czy chcą dalszej pomocy i czy znają innych poszkodowanych.

Czy te środki pieniężne od nas były duże? Za pierwszym razem dałem rodzinom po kilkaset złotych. Za tym pierwszym razem w Ursusie odwiedziłem chyba trzy rodziny. Za drugim razem podobnie. W sumie w Ursusie byłem może cztery razy. Do mieszkań wysyłani byliśmy spontanicznie, w miarę jak zdobywaliśmy wiedzę na temat nowych osób oczekujących na pomoc. Nie zdarzyło mi się być dwa razy u tych samych ludzi. Częste było, że po naszej wizycie

do tych samych mieszkań przychodziły MO i SB. Jak tylko ci ze służb dowiadywali się o naszych akcjach, wysyłali swoich i zastraszali ludzi. A oni potem naprawdę się bali – nie chcieli przyjmować pieniędzy, nie wpuszczali do domów. Nasza pomoc mimo wszystko trwała przez dłuższy czas.

**Szczególnie w pamięć zapadła mi wizyta u niepełnosprawnego pana, którego brat został aresztowany i postawiono mu poważne zarzuty. Podczas rozmowy dowiedziałem się, że niepełnosprawny pan był spawaczem i miał swoją prywatną inicjatywę – warsztat. W dniu strajku w Ursusie przyjechał do niego brat, pożyczył butlę i wraz z kilkoma innymi uczestnikami wydarzeń przyspawał lokomotywę do torów. Stąd te poważne zarzuty.**





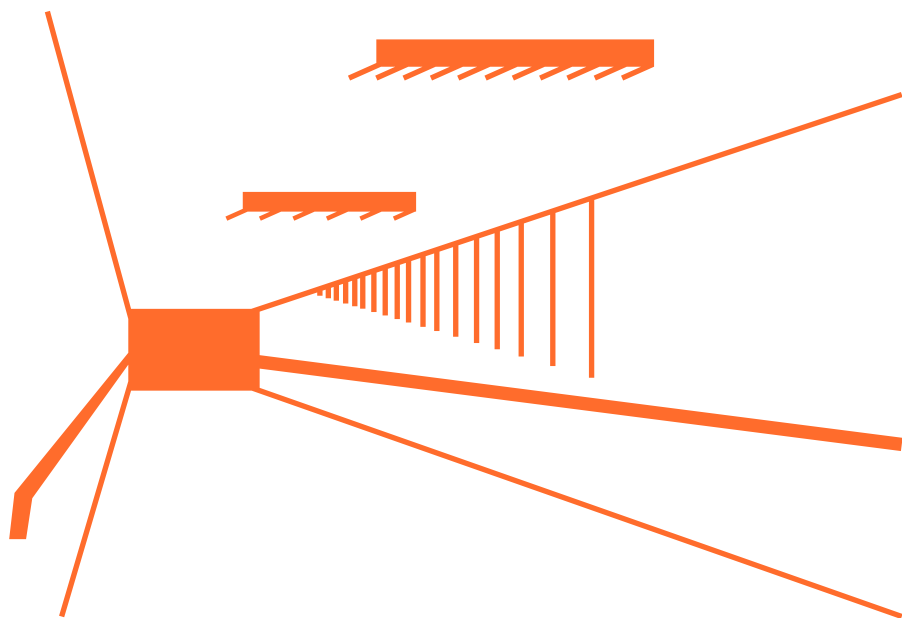
Rozslaw sworzn 8.17 m





# Pracownicy zakładów mechanicznych

wspomnienia byłych pracowników fabryki



## Pani Maryla

Ursus to znaczy niedźwiedź, niedźwiedź to znaczy Quo Vadis, to znaczy Sienkiewicz. Ursus, ten wielki siłacz, mocarz z Quo Vadis – stąd się wzięła nazwa Ursus, innego wytłumaczenia nie ma.

**Ten, kto nigdy nie pracował w zakładzie przemysłowym, nie wie, że to jest magia. Ja miałam to szczęście, że pracowałam z elitą naukowo-badawczą.**

Trafiłam do Zakładu Doświadczalnego Ciągników Rolniczych, byłam sekretarką. Nie było czegoś, czego mogłam nie wiedzieć o korespondencji, o dokumentach – sekretariat to była szyja. Dyrektorami Zakładu Doświadczalnego byli pan Bajdecki, już nieżyjący, pan Henryk Szczygieł i pan Jerzy Wyglądała, główny technolog w randze dyrektora. Miałam niesamowite szczęście do szefów w Ursusie. To byli ludzie, którzy po skończeniu studiów nie stwierdzili, że, skoro już zostali inżynierami, są bogami, carami i tak dalej, ale od podstaw pięli się stanowiskowo coraz wyżej i wyżej. To był zakład perełek! Darzę ich estymą, mam do nich szacunek. Czy oni żyją, czy nie żyją, czy mają teraz kłopoty, czy nie mają – nie wiem tego. Ja po prostu mam do nich wielki szacunek, wyrażam się o nich w samych superlatywach, bo to moim zdaniem im się należy.

To jest nieprawda, że nasz ciągnik był nierentowny, to jest bujda z chrzanem. Nasze ciągniki były wprost cudowne.

Nie wiem, po co Ursus został przyłączony do Warszawy, bo to była zawsze taka, powiedziałabym, odrębna osada ze swoją autonomią i ze swoim samorządem. A teraz, jak to teraz. Teraz wolność – no oczywiście, że jest wolność, bo taki

bezdolny może grzebać w śmietniku. Wolno mu? Wolno mu. Przedtem nie było mu wolno, bo miał nakaz pracy. Ale nie szanował tej pracy. Bo ludzie, którzy mieli wszystko za darmo, nie szanowali nic. No taka jest naga prawda.

Ktoś kogoś kupił i sprzedał. Ursus konał od 1989 roku. Bo ja wiem, jak to się stało? Przecież wielu walczyło o zakłady, no ale wpadły w zadłużenie. Nie wiem, jak to się stało. Przecież ten ciągnik był bardzo dobrym ciągnikiem, przecież ta główna produkcja odbywała się przede wszystkim na kuźni.

### Pani Grażyna

Byłam technikiem-chemikiem. Jak przyszłam do kadr, to powiedziano mi, że absolutnie nie ma żadnych miejsc, no a chciałam się zatrzymać tutaj w Ursusie. Podobało mi się tu, miałam chłopaka, więc miałam jakieś plany. Napisałam list do dyrektora naczelnego – ówczesnym naczelnym był pan dyrektor Kun. Wkrótce potem dostałam pismo z kadr, żeby się do nich zgłosić. Nie wiem jak, nie wnika, dyrektor jednak znalazł dla mnie pracę. No, to było coś, że człowiek mógł do kogoś pisać! Może go ujął ten mój list – był bezpośredni, zwyczajny taki, napisałam o co mi chodzi. I praca się znalazła, zaczęłam pracować w laboratorium. Przyszłam na tak zwaną bramę główną i tam czekał na mnie pan Bolesław P. Był to brygadzysta w najwyższej grupie pracowniczej. Jego i innych jemu podobnych ludzie bardzo cenili i szanowali. Wcale nie było słychać stwierdzeń, że po co ten stary tu się szwenda. Było sympatycznie, bo ci starzy pracownicy miło przyjmowali tego młodego,

wszystko mu pokazując, gdzie, co, jak. Nawet po cichu szepnęli, czego szef nie lubi. Bardzo przyjemna praca.

Niedawno zorganizowałam spotkanie wszystkich pań, z którymi pracowałam w laboratorium. To była moja pierwsza praca. My się tak zaprzyjaźniłyśmy, że udzielałyśmy sobie pożyczek. Jak któraś dostała mieszkanie, czy któreś urodziło się dziecko, to chodziłyśmy, odwiedzałyśmy się. I kilka lat temu zorganizowałam u siebie w domu takie spotkanie. Wszystkie się stawiły! Wszystkie były tak zadowolone, eleganckie, od fryzjera. Z niektórymi nie widziałam się ze trzydzieści lat.

Zarówno kiedy pracowałam w zakładach mechanicznych, jak i później w biurze projektów, to traktowałam to jak pobyt z rodziną. I nie tylko ja tak mówię, bo wiele osób tak to wspomina. Kierownicy chodzili po terenie zakładów i codziennie, czy co drugi dzień, przychodzili, patrzyli, co robią pracownicy, jak idzie, czy są problemy, czy jakaś kobieta jest w ciąży – a jeśli była to cieszyli się z jej szczęścia. To było bardzo sympatyczne, a dzisiaj słyszę, że kobieta w ciąży drży, żeby szef się o tym nie dowiedział.

W czerwcu 1976 roku pracowałam w biurze projektów. Mieściło się w tym białym domu. Biuro zajmowało trzecie i czwarte piętro, pół budynku to była przychodnia, natomiast parter, pierwsze i drugie piętro zajmowały dyrekcja i różne działy. Nagle zaczęło być słychać, że idą robotnicy. To szli sami robotnicy, nie było tam nawet brygadzysty (bo brygadzysta był już uznawany za tak zwany personel nadrzędny). Brygadziści, mistrzowie i kierownicy pilnowali maszyn, żeby nikt ich nie zniszczył. Stał płot i ta masa







ludzka jak szła, to tak jakby to był płot z gazety, a nie płot z podmurówką. Momentalnie się położył, ja to widziałam na własne oczy! Zaczęli zatrzymywać samochody jadące niedaleko budynku dyrekcyjnego. Był bardzo piękny, słoneczny dzień i robotnicy usiedli sobie. Potem gdzieś zatrzymali samochód z jajkami i zaczęli rzucać tymi jajkami w budynek dyrekcyjny. Wołali: „Hej, gryzipiórki, wychodźcie, żaden tu z was nie wyjdzie żywy!”.

**Ja się bardzo bałam, bo miałam syna w przedszkolu (przedszkole numer 1 Zakładów Mechanicznych Ursus, rodzic miał po drodze, wychodził z pracy i od razu odbierał dziecko). Denerwowałam się, co z tymi dziećmi, skoro my nie będziemy mogli stąd wyjść. Ktoś wpadł na pomysł i około godziny drugiej poprzebierali nas w nonironowe fartuchy w prążki. Wychodziłyśmy tak pojedynczo, z jakimś wiaderkiem, z jakąś miotłą, że to niby sprzątaczkę wychodzą.**

W sumie ci robotnicy chyba nie wiedzieli, co dalej robić z tym strajkiem. Do dzisiaj nie wiem, co tam robi ten krzyż i nie wiem, skąd tam się potem wzięło tyle działających osób. Była to zwykła, szara, robocza masa. Nawet nie miał ich kto poprowadzić.

### **Pan Zygmunt**

Jestem z wykształcenia inżynierem po Wydziale Mechanicznym Technologicznym (wówczas tak się nazywał), jestem obrabiarkowcem, skrawaniowcem. Miałem stypendium ufundowane przez Ursus, bo wtedy były takie stypendia, no i oczywiście, siłą rzeczy, musiałem rozpocząć

pracę w Ursusie. Byłem konstruktorem obrabiarek i różnego oprzyrządowania na potrzeby własne Ursusa. Parę rzeczy namalowałem wówczas na desce kreślarskiej. To natychmiast szło do realizacji. Sprzęt wykonywał Dział Głównego Mechanika i Narzędziownia. Ja pracowałem w hali 156, ona miała taki numer i do dzisiaj go pamiętam. Wówczas dyrektorem technicznym był pan inżynier Gniazdecki i on mawiał, że jak wyjdę na peron w Ursusie i gwizdnę, to odezwie się stu inżynierów, ale ani jeden frezer. Tu nie było wykwalifikowanych robotników, którzy stali by przy maszynie, było natomiast wielu inżynierów. To był wówczas ogromny, tętniący życiem zakład. Nie przypuszczałem, że wszystko skończy się taką katastrofą. Mimo wszystko czas spędzony w Ursusie wspominam bardzo przyjemnie, bo to był start mojego życia zawodowego – pracę rozpocząłem dosłownie na drugi dzień po studiach. Wielki zakład, atmosfera w pracy była dobra, co do dzisiaj pamiętam i doceniam. Dosłownie po kilku miesiącach pracy, jako stypendysta ursusowski, otrzymałem mieszkanie. To było niezwykle małe mieszkanie, bo 25 metrów, pokój z kuchnią. Zarobki były dość mizerne – w Ursusie zarabiano się tysiąc pięćset, plus tam premia powiedzmy, no tysiąc siedemset z tą premią.

Taki kolega z biura, który pochodził chyba spod Kielc, mówił: „Wy, w tym Ursusie, to musicie dokładnie robić, do milimetra”. A dla inżynierów milimetr to nie jest żadna dokładność, tam są dziesiątki, setki, a czasami trzeba i w mikronach robić. A mikrony uzyskuje się głównie przez selekcyjonowanie wyrobu – jak mam grupę tych samych



wyrobów, ale rozrzut jest duży, różnej tolerancji, to się to tak dobiera przy pomocy odpowiednich przyrządów, że można i mikrony wyłapywać.

Zostało popełnionych parę błędów, między innymi zakup licencji Massey Fergusona na traktory, licencji w calach. Tam byli ludzie, który sprzeciwiali się temu zakupowi, na przykład główny konstruktor – wciąż pamiętam nazwisko, Szczygieł. Jego nawet zapudłowali za sprzeciwianie się. Ja sądzę, że to Wrzaszczyk, wówczas minister przemysłu, uparł się, żeby kupić licencję w calach. Oczywiście, te cale zostały przeliczone na milimetry, ale powstały kompletnie nieokrągłe wymiary. I jak do tego dobrać wszystkie ciągi, które będą ułożone w jakiś logiczny sposób? Czy cała tak zwana pomiarówka i narzędziówka? Uważam, że to był ogromny błąd, jeden z tych, które zawarzyły na losach zakładów. Potem, gdy nastąpiła wolna Polska, to chyba zarządzanie położyło.

**Przez jakiś czas dyrektorem był lekarz pediatra. Fabryki par excellence mechanicznej, no nie do wiary! On podobno twierdził, bo mnie już wtedy dawno nie było, że on dzisiaj nie jest lekarzem, tylko jest menadżerem. No ale dziękuję bardzo, trzeba przynajmniej wiedzieć, z której strony traktor ma ogon!**

#### **Pani Wanda**

W zakładzie pracowałam przez trzydzieści trzy lata. Zaraz po skończeniu mechanicznej szkoły zawodowej zaczęłam pracę na stanowisku kontrolera jakości. Po piętnastu latach przeniosłam się do Zakładowej Centrali Telefonicznej.

Po kolejnych dziesięciu latach centralę przerobiono na automatyczną, więc wróciłam do kontroli jakości. Rozpoczyłam na Wydziale Kół Zębatych, jako kontroler. Wtedy sprawdzałam wszystkie koła i wały do ciągników. Osiem godzin, człowiek kończył pracę i koniec. Na zarobki też nie mogłam narzekać, bo wcale nie miałam takich złych. Były też różne dodatki, na przykład na dzieci. Zakład dbał o to wszystko. Zawsze były paczki na święta. W dzień kobiet zawsze były kwiaty – dyrekcja kupowała cały bukiet, przychodził kierownik i każdej pani wręczał kwiatuszka; później wręczali nam chyba jeszcze rajstopy. Naprawdę miłe lata, miłe, bardzo miło to wszystko wspominam. Wycieczki pracownicze przeróżne – były pielgrzymki autokarowe do Częstochowy, grzybobrania. W tych latach kiedy pracowałam w zakładzie, to miałam grzybów po same uszy! Zawsze można było wziąć pożyczkę. Jeżeli ktoś sumiennie spłacał, to nie było problemu i zawsze dostawał kredyt, na przykład na remont mieszkania. Później w zakładzie dodatkowo uruchomiono tak zwane chwilówki i można było je brać na poczet pensji. Mieszkałam w bloku, w którym było sto dwadzieścia osób i, z tego co wiem, to ze sto osób było z zakładów. Mieszkanie też dostałam z zakładu. Miałam chyba dwa latka, kiedy rodzice dostali mieszkanie w Ursusie i ono również było z zakładów.

**Bardzo dobrze wspominam pracę w zakładach. Do dziś mam towarzystwo, przyjeżdżają do mnie koleżanki – która żyje, która jest, to wszystkie się kontaktują. Ja już jestem starszą panią, bo mam 78 lat, ale tamte czasy wspominam bardzo dobrze. Ogromnie mi żal, że**

**zakłady upadły, bo przecież jak ja pracowałam, było nas szesnaście tysięcy ludzi. To była niewymierność! Dbano o człowieka, każdy otrzymywał posiłki i wypłaty były bieżące, nigdy nie było jakichś uchybień, zawsze płacono w terminie, zawsze było i na wszystko było. Wszyscy byli szanowani, jakoś tak inaczej to wyglądało. A zakłady gwarantowały, że to będzie, że będzie się trzymało, że cały czas będzie, będzie, będzie.**

Ale jednak się skończyło. Ja odeszłam wcześniej, bo w roku 1990 – wtedy jeszcze wszystko trwało, jeszcze wszystko było na chodzie, jeszcze tych ciągników było produkowanych bardzo dużo. Przecież te stołówki były, przecież ludzie dostawali posiłki, na wszystko było! A co się stało, jaki to grom spadł? Bardzo często organizowano wyjazdy, niemal każdej soboty – a to do Berlina, a to tu. I grosze się za to płaciło, grosze!

W roku 1976 strajkowałam tu na torach, między Włochami a Ursusem. Później był jeszcze jeden protest – na trasie Północny Ursus. Ja uczestniczyłam we wszystkich. Zatrzymywaliśmy pociągi, donosili nam jedzenie i picie i strajkowaliśmy po parę godzin. Tam były niekiedy takie hece, no jak to między ludźmi, niektórzy rzucali jajkami, działy się inne cuda, ale nasza władza była tak mądra, że robiła zdjęcia z helikoptera, a później, po zakończeniu strajku, wszystkich zatrzymywała. Oni chyba chcieli wtedy zlikwidować nasz zakład, miał iść do sprzedania. Trochę bojowaliśmy, ale nic nie zrobiliśmy i przyłączyli Ursus do Warszawy – jakoś zrobili, co chcieli. Zresztą nie tylko nasz zakład, ale wiele zakładów w Polsce posprzedawali,

zrujnowali. A niestety, w takim Ursusie pracowało przecież wielu ludzi – mieli swoje posady i podejrzewam, że funkcjonowaliby do tej pory. Można było produkować jeszcze jakieś inne części, nie tylko do ciągników, może do czołgów, czy do czegoś innego i mogłoby to dalej działać. Ten, kto był, jak to się mówi, mądrzejszy, miał jakieś wtyczki na wyższych stanowiskach, to potrafił sobie już wcześniej coś nagrać i przenieść się nim został zwolniony. A taki zwykły, szary pracownik to odszedł bez żadnych zasobów. Mi jest bardzo przykro, że ten zakład został tak zniszczony, bardzo. Jak patrzę, to aż mi serce pęka! Pęka mi serce, kiedy patrzę na to, co się tam dzieje, ta moja hala jest doszczętnie zniszczona!

Ciągniki były produkowane od zera, od najmniejszej części. Później, jak już wszedł ten angielski ciągnik, to niektóre części były sprowadzane, ale nasze ursusowskie traktory były produkowane od podstaw. Dla mnie to jest obłąd. Produkcja szła. Jeszcze tam mała grupka ludzi pracuje i coś robią, ale przecież w tym czasie kiedy ja pracowałam, to produkcja szła pełną parą. Podejrzewam, że chciano po prostu rozbić to skupisko ludzi. Zakłady padły przypuszczalnie również dlatego, że może decydenci znaleźli sobie miejsce zakupów, więc cóż to szkodzi, że upadło miejsce pracy dla ludzi.

### **Pani Krystyna**

Swoją pracę w zakładach rozpoczęłam w 1986 roku. Zgłosiłam się do Działu Naboru w Zakładach Mechanicznych Ursus i zostałam przyjęta na stanowisko młodszego



organizatora produkcji. Obsługiwałam delegacje zagraniczne. Naszym zadaniem było protokołowanie rozmów, tych już takich konkretnych, a dyrektor oprowadzał gości po całym zakładzie. Po południu zawsze byłam zapraszana na obiad i następnie, jeżeli goście mieli takie życzenie i mieli czas, organizowany był jakiś spacer po Warszawie. W zakładzie była bardzo dobra opieka socjalna dla pracowników. W tych czasach pracowało tu około dwudziestu tysięcy ludzi, nie tylko z Ursusa, ale również z Żyrardowa, ze Skierniewic, z tych pobliskich miejscowości. Oczywiście, praca w zakładach była zarówno na stanowiskach umysłowych, jak i na fizycznych. Pracowników fizycznych było zdecydowanie więcej. Ludzie bardzo chętnie przychodzili do pracy w Ursusie, ponieważ, będąc tu zatrudnionym, stosunkowo łatwo można było nabyć mieszkanie. Całe osiedle Niedźwiadek zamieszkiwały osoby, które po przyjeździe do pracy w Zakładach Mechanicznych Ursus dość szybko otrzymały własne lokale mieszkalne. Pracownicy zakładów mogli korzystać z czasów pracowniczych – ośrodki czasowe były w Muszynie i w Dźwirzynie (Muszyna to w górach, Dźwirzyno nad morzem), były również ośrodki w Mrągowie i w Popowie. Ja byłam matką samotnie wychowującą dzieci, więc miałam pierwszeństwo w otrzymaniu miejsca w przedszkolu czy w żłobku. Ta opieka socjalna była naprawdę pełna, a praca w zakładzie gwarantowała normalne, spokojne życie. Poza tym stosunki między pracownikami były naprawdę dobre – to nie był tak zwany wyścig szczurów czy coś takiego. Ludzie się rozumieli i lubili, to była taka wielka

rodzina. Wiadomo, zdarzały się również jakieś sytuacje konfliktowe, ale to było raczej rzadkie, a poza tym, z tego co się orientuję, sam zakład nie miał zbyt wielu spraw w sądzie pracy, ponieważ przestrzegano prawa pracy.

**Pracę w Ursusie wspominam bardzo miło i nawet nie tak dawno spotkałam się z panią, którą z widzenia znałam z zakładów i ona również z sentymentem wspominała okres swojej pracy. Mówiła, że w obecnej pracy to zupełnie jest nie ta atmosfera, jaka była kiedyś. Szkoda, bo wiadomo, że dobra atmosfera między współpracownikami, gdy spędza się razem trzy czwarte dnia, to jest bardzo ważna rzecz. Do tej pracy wtedy człowiek idzie chętnie, chętnie pracuje, daje z siebie dużo i to chyba wszystkim przynosi korzyści.**

To był zakład, który produkował ciągniki zarówno na rynek krajowy, jak i zagraniczny. Były to czasy PRL-u, więc produkcja szła również na eksport do krajów demokracji ludowej, także do Chin, Korei. To były ciągniki lekkie i ciągniki ciężkie. Ursus był jedynym zakładem na terenie kraju, który produkował maszyny rolnicze. W tamtych czasach produkcja ciągników miała zbyt na terenie Polski, bo były pegieery, Państwowe Gospodarstwa Rolne, i te Państwowe Gospodarstwa Rolne miały limity, to znaczy rynek zbytu był jakby zagwarantowany – ciągniki zostały wyprodukowane i wiadomo było, że będą miały nabywcę, bo to było limitowane i do każdego pegieeru musiała być dostarczona określona liczba ciągników. Braлиśmy udział we wszystkich krajowych wystawach, przede wszystkim Polagra, i te ciągniki otrzymywały wiele nagród.

Zakład upadł, ponieważ został poddany restrukturyzacji. Wraz z przemianami społeczno-politycznymi skończył się rynek zbytu. Pegieery zostały zlikwidowane, nie miano tych ciągników po prostu gdzie sprzedawać. W budynku dyrektoryjnym, czyli w tym, w którym mieściła się cała dyrekcja Zakładów Mechanicznych czy Zrzeszenia Przemysłu Ciągnikowego Ursus, znajduje się obecnie Urząd Gminy. Jest to pozytywne, że nie zostało to zmarnowane. Budynek został troszeczkę odremontowany, ale niewiele. Zdarza się, że przejeżdżam w pobliżu, a nawet byłam kiedyś na terenach zakładów, ponieważ załatwiałam różne sprawy w Urzędzie Gminy. Chyba najtrudniejszym dla mnie momentem był taki, kiedy oglądałam z bliska zakład, halę, która kiedyś bardzo dobrze pracowała, a obecnie niszczeje. Naprawdę serce się kraje, jak się na to wszystko patrzy!

Te tereny są jakoś gospodarowane, to nie jest tak, że to jest zostawione przez miasto samo sobie i niszczeje. Zanim jeszcze powstały zakłady, to w czasie wojny mieściły się tam zakłady produkujące broń i amunicję, więc to są zakłady z wieloletnią historią i naprawdę szkoda byłoby to wszystko zmarnować.

#### **Pan Szymon**

Pracowałem na nurze, na tych ciężkich ciągnikach, jeździłem widlakiem jako zaopatrzeniowiec. Ojciec pracował w zakładzie chyba czterdzieści, czy czterdzieści pięć lat. Pracował na PC, na tym 330, tym krajowym. Był zwykłym robotnikiem brygadzysty. Dziadek też tu pracował, jako traser na odlewni. Także w sumie wielopokoleniowa rodzina pracowała w Ursusie.

Zakład jak zakład, wielki kołchoz, ludzi mnóstwo, wszystko było. To były te czasy, kiedy zakłady jeszcze dbały o sprawy socjalne. Nas była trójka dzieci w domu, ojciec sam pracował w zakładach i wyżywiał rodzinę. I na wczasy się co roku jeździło, i Sorkwity, i Popowo, Kołobrzeg, Międzyzdroje, w górach gdzieś też mieli ośrodek. W tej chwili się mówi, że komuna była najgorsza, ale człowiek się wychował w tych latach, pokończył szkołę, miał gdzie mieszkać, bo ojciec dostał mieszkanie zakładowe. W domu może nie było super, świetnie, ale na wszystko było, człowiek żył spokojnie. I ci ludzie też byli inni. Teraz to jest zupełnie inna bajka.

**A w 1976 roku to robotnicy siedzieli na halach, nie pracowali. Różnie to pisali, że warchoły, że to, że śmo. Ci, którzy wyszli na tory – z tego co wiem, bo chodziłem odwiedzać ojca – to byli ludzie, którzy chcieli narobić trochę zadymy, trochę draki, chcieli może trochę mocniej zamanifestować. Ale to nie byli ci robotnicy starzy, prawdziwi. Tamci przyszli rano do pracy, stanęli w halach i to wszystko. Wszystkie rodziny denerwowały się o tych mężów – co się tam dzieje, jak to będzie, co to będzie.**

Miało się już pustki w sklepach, podwyżki. Chodziło o warunki życia, bardziej o to, co się działo w kraju niż w samym zakładzie pracy. Bo w zakładzie pracy wszystko normalnie funkcjonowało. Czy oni się w ogóle wszyscy dogadali? No tam jakoś. Na początku chcieli ich spacyfikować, ale to już była za duża masa ludzi, i Radom, i kilka innych miast, większych zakładów w Polsce stanęło. To już zaczynało być za duże, żeby móc to zdławić w zarodku.



Tu też nie było tak wszystko w porządku, no ale to była masa ludzi, trudno było wszystkich upilnować. Było dużo napływowych, którzy dojeżdżali z Żyrardowa i ze Skierniewic. Tu pracowało przecież chyba kilkanaście tysięcy ludzi. Byli chłoporobotnicy – oni pracowali przy taśmie, w kółko jedno i to samo, te śrubki. Jedną i tę samą część przez tyle lat robić, nie wiem, to był horror. Ciągniki, nie u nas, na nurze, niby te chodzące za granicę, te najcięższe, to z taśmy były ściągane przez drugi taki sam, ale już na chodzie. Aby tylko wyprodukować sztukę, aby sztuka zesza zaliczona na zmianie, bo pieniądze były na akord. Chłoporobotnicy to przyjeżdżali sobie do pracy odpocząć, bo po pracy jechali i obrabiali swoją ziemię. Przecież też się słyszało. Takie czasy były.

Ursusowskie ciągniki produkowali na cały świat. Po całym świecie jeździły i jeżdżą do dzisiaj. I to cała gama, od najlżejszych do najcięższych. Gdzie był błąd? Ponoć zadłużenia. Nie wiem, po co tego Massey kupili – jak to trzeba było przedstawiać się nacale, tej techniki jeszcze nie było, nowe narzędzia, wszystko, bo to inny układ miar – zamiast trochę zmodernizować i włożyć w ten zakład. Ponoć się w końcu okazało, że się nie opłaca, że zakład jest zadłużony. Ktoś to, jak wiele zakładów w kraju, zniszczył. Szkoda, że to padło. Tu miało zatrudnienie mnóstwo ludzi. Później było żal, jak to wszystko upadło i człowiek mógł wejść, przejść wzdłuż i wszerz i patrzył, jak się robi ruina. Nie wiem, czy ktoś na tym zyskał, czy stracił, czy kraj stracił taki zakład produkcji, czy się nie opłacało. Jak to się toczy, to już mądrzejsi myślą, jak to wszystko poukładać. Gdy ojciec przeszedł na

emeryturę, to go tam ciągnęło, wciąż chodził. Kiedy zakład upadł, to ojciec bardzo to przeżywał, pamiętam.

Niedługo po tym wszystkim, jak tu się zakończyło, a nawet już wcześniej, były jakieś zakusy z Warszawy, żeby przyłączyć Ursus, bo to było kiedyś samodzielne miasto. Warszawa chciała łyknąć takie wielkie zakłady ze względu na finansowość. A niedługo po tym strajku po prostu połączono Ursus pod Ochotę.

### Pani Marianna

Pracowałam w zakładach Ursusa od 1972 roku. Najpierw na szlifierkach, później na prostowaniu wałków, później na bergerach, na których byłam jedyną kobietą – byłam nawet w telewizji, bo byłam jedyna. Norma przerzutu to było siedem i pół tony, a razem z panami robiliśmy po szesnastu. W 1976 roku była ta cała rozróżba, wtedy z bergerów przeniosłam się do kiosku, później pracowałam w bufecie i potem wróciłam na dział ciężki na te bergery. Byłam jedyną kobietą, która pracowała na bergerach! Śrutownia, wrzuca się takie piasty, wałki – piasta ważyła 29 kilogramów, a dla mnie to było jak szklanka. Byłam silna i zdrowa. Bardzo kochałam pracę w zakładach. Stołówkę mieliśmy przepiękną, to była stołówka nad stołówki. Pracowałam w zakładach przez przeszło dwadzieścia lat. Powiesić tego, co to zmarnował.

**To było straszne, jak były te całe rozróżby. To było podpalanie wagonów, bicie ludzi, makabra. W 1976 roku nie otwierałyśmy bufetu, nie było pracy, tylko był taki przełom. Te pociągi zatrzymano, wszystko stało na**

**torach. To jest trudne do opowiedzenia. Musieliśmy wszyscy odejść od stanowisk i zaczęło się – wpadało wojsko, wpadali zomowcy, bili, wyganiali. Te wagony, te pociągi, które jechały w kierunku Warszawy – ludzie, żeby je zatrzymać, po prostu kładli się na torach. To było coś okropnego.**

### Pan Jan

Pracę wewnętrzną na wydziale kuźni opanowałem dość szybko. Zdarzały się spory, ale z reguły kończyło się na tym, że to ja miałem rację. Nie było takich prowizorycznych robót jak wcześniej. Było bardzo dobrze. Bardzo szybko znalazłem wspólny język, tak z kierownictwem, jak i z pracownikami szeregowymi. Byłem dość elastyczny, zaprawiony w pracy z ludźmi, to nie była dla mnie żadna przeszkoda – wystarczyło uśmiechnąć się, o coś drugiego zapytać i to wszystko się kręciło.

Zła polityka rządu. Niepotrzebnie weszli w Fergusony. To była kupiona licencja, a licencjodawca zrobił to po to, żeby zniszczyć zakłady. Ferguson opanował rynek światowy, a ciągniki ursusowskie były za dobre, bo były proste w konstrukcji.

**Oczywiście, rynek Ursusa obejmował też cały świat. To były ciągniki nie do zajeżdżenia, nie do zdercia.**

A Ferguson musiał zdusić konkurencję, dlatego zakłady padły. Prosta konstrukcja – zresztą zawsze tak jest, im urządzenie jest prostsze, tym lepiej chodzi; w razie usterki wystarczy rozebrać, złożyć z powrotem i ciągnik jedzie dalej. I tak powinno to działać.



### Pan Edward

Pracę w Ursusie zacząłem, zresztą tak jak i moja żona, ona troszkę wcześniej, w 1965 roku, na jesieni, jak wyszedłem po odbyciu zasadniczej służby wojskowej. Zatrudniłem się w Zakładach Mechanicznych Ursus na Wydziale Kół Zębatach. To był najstarszy wydział, teraz już nie ma do niego dostępu. Tam wytwarzano koła zębate. Są to elementy, które przenoszą siły obracających się części na inne i napędzają traktor, samochód, samolot czy jakieś inne urządzenie. Tam zacząłem swoją przygodę z Zakładami Mechanicznymi Ursus.

Kiedy przyszedłem do zakładów, to już było przecież dwadzieścia lat po wojnie, ponad 30% załogi nie miała skończonej szkoły, nie umiała czytać i pisać. Skończyłem Szkołę Podoficerską Wojsk Pancernych, byłem mechanikiem-kierowcą czołgów. Z wojska wyszedłem bardzo dobrze przygotowany technicznie. I tutaj dosłownie po roku czy półtora mianowali mnie już brygadzystą, bo inni znacznie mniej umieli. Trzeba było zrobić spis ludzi, zajrzeć im w kartoteki. Okazało się, że mnóstwo ludzi nie umie czytać i pisać, a zdecydowana większość z tych, którzy umieli, miała skończone trzy, cztery klasy szkoły. Ci ludzie poszli do szkół. Trzeba było mieć do nich odpowiednie podejście – brakowało mi tych umiejętności w stosunku do starszych, bo większość była zdecydowanie starsza ode mnie. Ja, gówniarz dwudziestoparoletni, i teraz przyjść do kogoś i o tym rozmawiać. Oni przecież dusili to w sobie, skrywali, bo to był wstyd. A inaczej niestety nie można było, bo nie da się pominąć faktu wojny, zniszczenia, pożogi, wymordowania

większości pracowników Ursusa. Tego, że wyciągaliśmy ludzi ze wsi, niemających zielonego pojęcia o technice. Z dnia na dzień trzeba było zrobić z takiego człowieka fachowca wysokiej klasy, precyzyjnego. Oni ich łamali, niszczyli, a trzeba było iść do przodu. Był wybór – albo zamknąć to wszystko, poddać się i koniec, albo zacisnąć zęby i przeć do przodu. Gorzej mieli jeszcze ci, którzy przyszli wcześniej ode mnie.

**Oni z kolei mnie uczyli, dlatego bardzo miłe wspominał tych ludzi, przede wszystkim ich wysokie morale. Oni wiedzieli, co to znaczy praca, co to znaczy firma. Zdawali sobie sprawę z wartości tego wszystkiego i przekazywali nam to. Dzisiaj już tego nie ma, to zamarło całkowicie. Dzisiaj szmal i maksymalne korzyści tylko dla siebie. No i efekt tego jest taki, że przejęli to inni, jest ruina.**

Mieszkałem w Niemczech i Niemcy szcycili się tym, że mnie znają, bo ja byłem pracownikiem Ursusa. Oni mieli traktory z Ursusa – wierzyć się nie chce – wypucowane, wychuchane, wydmuchane. Te traktory były znane na całą Europę Zachodnią. Narody pracują, żeby wypromować jakąś markę, taką jak Rolls-Royce czy Bentley. Jest nie do pomyślenia, żeby taka firma padła w Niemczech. Oni powiedzieli: „Gdyby padł Mercedes, to jest koniec niemieckiego państwa, bo kościec państwa jest przetrącony”. Tam pokolenia pracowały na to, żeby to wypromować, a my wykończyliśmy swoją markę. I to polskimi rękoma jest załatwione. Dzisiaj żona w ogóle nie chce tam iść, bo lży jej się cisną. To była kuźnia kadr, zaawansowania technicznego.

Pozbyliśmy się takiego miejsca, które kształciło ludzi, robiło z prostych, zwykłych ludzi fachowców. Uczono myśleć, zachowywać się nowocześnie. Wszystko diabli wzięli!

### Pan Andrzej

Nie pochodziliśmy stąd. W województwie wrocławskim było trudno o pracę. Przyjechaliśmy tutaj w 1967 roku. Pracę w Ursusie zacząłem razem z bratem 22 kwietnia 1968 roku, od nowej odlewni. Z rodziny w zakładach pracował jeszcze mój brat cioteczny. W roku 1970 dołączyła siostra. Jeszcze wtedy nowa odlewnia była w zasadzie w trakcie rozruchu. To był taki prototypowy projekt i bez przerwy coś się tam psuło, coś nie chodziło. Do tego stopnia, że ściągnęli taki zespół esbeków i oni mieli dojść, kto robi te sabotaże. Pracowałem tam półtora roku. Miałem satysfakcję, jak potrafiłem rozwiązać jakiś problem. Potem przeniosłem się na brygadę urządzeń dźwigowych. Tam też robiliśmy jakieś przeróbki. Nie dostałem od lekarki pozwolenia na pracę na wysokości, a ja spośród tych wszystkich kolegów najlepiej się tam czułem. Nie chciałem tam pracować, bo nie dostawałem za to pieniędzy. I to był koniec mojej pracy na odlewni. Później przeniosłem się do Działu Metod Inżynierskich. Te budynki tam jeszcze są – takie dwa czerwone, mieszkalne, dwupiętrowe, dwuklatkowe. Pracowałem cały czas jako pracownik fizyczny. Natomiast od początku lat 90. robiłem w informatyce – tam wszystkie stanowiska były umysłowe.

To było w piątek. Mój brat miał następnego dnia brać ślub. Pracowałem już wtedy w Dziale Metod Inżynierskich. Nie pamiętam dokładnie, miałem być na siódmą,

ale chyba trochę się spóźniłem. Kiedy wchodziłem główną portiernią, zobaczyłem, że na głównym skrzyżowaniu naprzeciw siebie stoją dwa samochody. Jeszcze nie było dużo ludzi. Stało tam kilka pań w ubraniach roboczych. Zacząłem się przysłuchiwać dyskusji – chodziło o te podwyżki. Potem zaczynała się przerwa i ludzie zaczęli wychodzić. Było dużo młodzieży, bo dużo jej wtedy pracowało. Ktoś wskoczył na platformę jednego z samochodów, zaczął tam przemawiać, już nie pamiętam. Nagle jakichś dwóch do mnie podskoczyło: „Co ty! Kapuś jakiś?”. Bo ja wtedy stałem w takim wyjściowym ubraniu, nie zdążyłem pójść się przebrać. Na to mój kolega z odlewni: „Zostawcie go, to nasz”. A do mnie mówi: „Zwiewaj stąd, idź się przebierz w jakieś najbrudniejsze ciuchy”. Wybrałem sobie najgorszy, brudny fartuch i wróciłem.

Około dziewiątej, w czasie przerwy śniadaniowej, wszyscy chyba wyszli i nikt nie wracał do zakładu. Ktoś rzucił hasło: „Idziemy pod dyrekcję”. Zaczęli śpiewać pieśni rewolucyjne, na przykład „Wyklęty powstań, ludu ziemi”, być może, nie jestem pewien, była też „Pierwsza Brygada”. Poeszli pod dyrekcję – drzwi zamknięte. Nikt nie miał odwagi stamtąd wyjść. W pewnym momencie podjechała taka syrenka. Dobijał się tam człowiek – wpuścili go. Za chwilę poleciały trzy kobiety; krzyczą: „Kapuś!”. Ktoś z tłumu przejrzał ten samochód. Okazało się, że to zwykły zaopatrzeniowiec i uratowano mu skórę. Pociągi jeszcze jeździły. Z jakiegoś, pamiętam, ludzie się wychylali i pozdrawiali nas. Jakoś to tak podbuntowało tłum i ktoś krzyknął: „Zatrzymajmy pociągi, niech cały świat się dowie”. A na to

jeden z uczestników, znałem go, taki spokojny: „Słuchajcie, nie możemy tam pójść, bo jak wyjdziemy poza teren zakładu, to już oni [milicja] mają prawo interweniować”. Ale wylecieli na ulicę, wyrwali kilka przęsł ogrodzenia, zatrzymali pociąg. Taka moja koleżanka wyszła z pracy, podeszła do mnie i mówi: „Andrzej, słuchaj, odejdz stąd, oni już tu są. Ten w tym fartuchu, co papierosa przypala, to jest nasz znajomy kapitan z Pruszkowa [esbek]”. Ale ja tam zostałem. Nie wychodziłem już na ulicę. Helikopter latał, samolot też latał raz w jedną, raz w drugą stronę. Ludzie mówili: „Zdjęcia nam robią”. Wzięli jakiś aparat spawalniczy i przyspawali nim jeden z tych pociągów do torów. Pociągi już przestały jeździć. Zacząłem się martwić, jak dojadę na ten ślub brata. Kurcze, chciałem tutaj zostać! Myślałem, że być może dzieje się coś ważnego. Choć nie podobało mi się wiele rzeczy – na przykład kilku łobuzów wyskoczyło za tory. Na rogu był taki sklep. Napisali na szarym papierze pakowym pokwitowanie, że rekwirują na potrzeby strajku i wzięli chyba ze trzy skrzynki wina. Popili się. Niektórzy spali, ale niektórzy naprawdę agresywnie się zachowywali. To był czas, kiedy Ursus się rozbudowywał – łącznie z budowlaniami było nas jakieś dwadzieścia dwa tysiące. Tam się przyłączyli też ci budowlancy. Nie wiem, czy byli wmontowani, ale to byli wręcz prowokatorzy. Dorwali się do nowych ciągników, które stały załadowane paliwem i były gotowe do jazdy. Pracownicy obsługujący ten teren bronili tych ciągników, jak tylko mogli. Popili się. Niechby tak w tłum wjechali i nieszczęście gotowe. Związkowcy starali się jakoś nad tym wszystkim zapanować, ale nie

było mowy. Ludzie zatrzymali jakiś samochód z płytami betonowymi i zwalili je na drogę. Zatrzymali też samochód zaopatrzeniowy z paletami jajek. Brali te jajka. Nie było tam żadnej organizacji, to wszystko było spontaniczne. Słyszało się o Wybrzeżu i roku 1970 i, choć moja dusza cały czas była po przeciwnej stronie niż władza, jak to wszystko oglądałem, jakoś mi to nie pasowało. Nie tak to powinno być wyglądać. To powinno być bardziej zorganizowane, a wyszedł jeden wielki chaos. Nie można się było wychylić, bo można było oberwać.

Okolo drugiej zmiany pojechałem komunikacją zastępczą do domu, do Międzyborowa. Kiedy w poniedziałek przyszedłem do pracy, to okazało się, że wszystkich tam spacyfikowano – kilku kolegów mi opowiadało. Niektórym udało się uciec. Podobno otoczyli ludzi gdzieś na podwórku i przesłuchiwali. Musieli też iść przez szpaler, gdzie z jednej i drugiej strony tłukli ich pałami. Jak wracali z przesłuchania, znów ich tłukli. Zresztą jednego z tych pobitych oglądałem. Miał całe plecy czarne! Później okazało się, że są zdjęcia. Bardzo dużo zdjęć. Esbeków musiało być w tłumie co najmniej kilkudziesięciu. Fotografie wisiały na przykład w kadrach. Powołano komisję i porównywano akta ze zdjęciami, a następnie tych wszystkich ludzi wywalano z pracy. Ta komisja pracowała chyba kilka tygodni. Z mojego działu akurat nikogo nie wyrzucono. Okazało się, że esbecy mieli aparaty w zapalniczkach – byli między ludźmi, przypalali papierosy i jednocześnie robili zdjęcia. Po strajkach nastał trochę smutny czas. Dla nas to był szok, że tak potraktowano ludzi.

Potem przyszedł rok 1980. Byłem na rejestracji związku w sierpniu. Zakład wystawił trzy lub pięć autobusów i w tych autobusach siedziało po kilka osób. Nie wiedzieliśmy, co będzie, czy zaczną nas tłuc. Pod tym sądem cały czas było napięcie, wszystko obstawione było milicją. Ale na końcu sukces! Byliśmy zarejestrowani! Zaczęła się wiosna.

Do każdej pracy podchodziłem z emocjami. Koledzy mieli do mnie pretensje: „Co ty, komunistów wspierasz?”. A dla mnie to było ważne, że to było jednak polskie. I ważne, by pokazać, że Polacy jednak też coś potrafią. Człowiek miał tę pracę i się nie martwił, że zostanie zwolniony. Wtedy nie narzekaliśmy na małe zarobki, bo wszyscy mieliśmy tak samo i człowiek był zadowolony. Starczało na ubrania, jedzenie i nie trzeba było pożyczać. Była ta stabilność. Wiadomo było, że jak przychodził dzień wypłaty, to choćby nie wiem co, wszyscy ją dostaną. Już jestem na emeryturze, ale widzę, jak teraz w tych zakładach strasznie traktują ludzi – pracują po dziewięć, dziesięć godzin i do tego zarobki są beznadziejne. W Ursusie też bywały ważne sprawy i trzeba było nieraz zostać po godzinach, a tam, gdzie ja pracowałem, za siedzenie pieniędzy się nie dostawało, choć na pewno byli też tacy, którzy potrafili się poustawiać.

W zakładach pracowałem do września 2002 roku. Jakoś w miarę to jeszcze chodziło, ale było już na przegranej pozycji. Uważam, że Balcerowicz jednak zrobił Polsce dużo krzywdy. Słuchałem profesora Witolda Modzelewskiego, jak mówił, że najgłupsza rzecz, jaka była, to popiwek. To jednak nie była jedyna przyczyna, która miała





zamordować zakłady. Były też inne podatki, które zadłużały. Zakład się zadłużał z jednej strony od nadmiernych wynagrodzeń – popiwek; z drugiej strony od nadmiernego majątku. To było zrobione celowo. Masę zakładów zaorano. Jak w Ursusie rozpoczęto redukcję, to teoretycznie miało to wyglądać tak, że zostaną zredukowani ci, którzy mają uprawnienia, na przykład mogą już odejść na wcześniejsze emerytury. Jednak zrobiono w ten sposób, że kto chce, może się wpisać na listę. Najpierw powpisywali się najlepsi fachowcy. To już była zbrodnia na zakładach. Myślę, że nie tylko w Ursusie tak było i były to celowe zagrania. Odchodzili najlepsi fachowcy. Od nas z informatyki najpierw poodchodzili programiści, ci najlepsi. Nawet w tej chwili jeszcze w Polsce na najwyższych szczeblach pracują ludzie z Ursusa. Ludzie z kierownictwa związków w ogóle nie myśleli strategicznie, szczególnie w latach 90. To nie jest tak, że ja żałuję, że tamten okres minął. Jednak popełniono wiele błędów, było dużo marnotrawstwa.

#### **Pan Marek**

W czerwcu siedemdziesiątego szóstego zostałem wprowadzony do pokoju przesłuchań w warszawskim Pałacu Mostowskich. Przywieziono mnie tam milicyjną suką razem z innymi „warchołami” z aresztu w Ursusie. Przy wsiadaniu i wysiadaniu z milicyjnych nysek trzeba było pokonać ścieżkę zdrowia, czyli przebiec przez szpaler pijanych zomowców z pałkami. Biegłem na bosaka, bo wyszukiwanie własnych butów wśród sterty obuwia w ursuskim areszcie narażało grzbiet poszukiwacza na kolejne razy.

**Miałem 22 lata, pochodziłem z tak zwanego dobrego domu. Myślałem, że milicjanci pomagają staruszkom przechodzić przez ulice, a nagle bosy, pobity i przerażony zostałem postawiony przed oficerem MO, który kazał mi się przyznać, że jestem antysocjalistycznym elementem, że przemocą chciałem obalić ustrój PRL i że w stanie nietrzeźwym rabowałem sklepy i wykolejałem pociągi! Gdyby wtedy kazano mi podpisać oświadczenie, że jestem kosmitą, mam zamiar telepacyjnie zburzyć Kreml i chcę porwać towarzysza Breżniewa na Marsa, to przyjąłbym te rewelacje z nie mniejszym zdumieniem i też bym podpisał.**

Po przesłuchaniu na Mostowskich funkcjonariusze załadowali mnie wraz z innymi nieszczęśnikami do milicyjnych karetek i odwieźli do więzienia na Rakowieckiej. Większość z aresztowanych to byli, tak jak ja, przypadkowi przechodnie, których milicja zgarnęła wieczorem z ulic Ursusa. W dniu, w którym premier Jaroszewicz w telewizyjnym wystąpieniu odwoływał, ogłoszoną przez siebie wcześniej, podwyżkę cen na mięso, wracałem wraz z kolegami z wycieczki do Kampinosu. Na stacji kolejki podmiejskiej w Ursusie zobaczyliśmy unieruchomione na torach pociągi dalekobieżne, przy których stali robotnicy z pobliskiej fabryki traktorów oraz gapie i, jak się później okazało, milicyjni tajniacy. Kiedy wieczorem wracałem do domu, zatrzymała się przede mną milicyjna nyska. Wyskoczyło z niej kilku pijanych zomowców z pałkami w rękach. Niewiele myśląc, rzuciłem się do ucieczki. Uciekając przed pościgiem, wbiegłem na podwórko sklepu rybnego ogrodzonego siatką

– tam dopadli mnie milicjanci i rozpoczęli bicie. Po obróbcie pałami moje plecy i nogi były sine i czarne. Zbitego zawleczono mnie do samochodu i zamknięto w areszcie ursuskiego posterunku MO położonego przy ulicy, nomen omen, Bohaterów Warszawy. Później zabrano nas na przesłuchanie w Pałacu Mostowskich, a po czterdziestu ośmiu godzinach aresztu zostałem zwolniony do domu.

Wkrótce otrzymałem wezwanie do stawienia się na rozprawę przed Kolegium do Spraw Wykroczeń w Warszawie. Kolegium uznało, że krytycznego dnia, będąc w stanie nietrzeźwym, rabowałem i niszczyłem sklepy w Ursusie. Na nic zdały się moje wyjaśnienia. Ani skargi na milicyjną przemoc, ani ironiczne uwagi, że jedyne, co mogłem być wtedy rabować, to śledzie ze sklepu rybnego, pod którym zostałem pojmany, nie znalazły zrozumienia wśród członków Kolegium. Zostałem skazany na karę grzywny i przymusowe prace społeczne. Ale, już po tygodniu od ogłoszenia decyzji Kolegium, w ramach zaostrzających się represji, mój wyrok został zaocznie zmieniony na karę więzienia i pewnej nocy do naszego domu przyjechali milicjanci, aby wsadzić mnie do więzienia w Białołęce. Nie siedziałem długo i po paru tygodniach odsiadki zostałem wypuszczony na wolność.

Przygody, jakich doświadczyłem w czerwcu 1976 roku, wyzwoliły mnie ze stanu naiwnej wiary w socjalistyczną ideologię, którą partyjna propaganda wpajała w umysły obywateli. Bezwzględna przemoc, obłuda, cynizm i kłamstwa rządzących sprawiły, że zaangażowałem się w walkę z systemem. Razem z przyjaciółmi zaczęliśmy drukować ulotki, które nawoływały do bojkotu socjalistycznej szopki

wyborczej. Rozklejaliśmy szydercze, antykomunistyczne plakaty na szybach Pewexów. Powielaliśmy książki i wydawnictwa bezdebitowe. Później, już w okresie festiwalu „Solidarności”, aktywnie uczestniczyłem w rozwoju antykomunistycznej działalności na swojej uczelni. Zostałem przewodniczącym Niezależnego Zrzeszenia Studentów i Uczelnianego Komitetu Strajkowego. A wszystko to zawdzięczam zomowcom, którzy w czerwcu 1976 roku na ulicy Bohaterów Warszawy w Ursusie pałkami wybili mi z głowy socjalizm.

### Wspomnienia taty spisane przez córkę

Pracowałem w fabryce w latach 1968-1994. Byłem w rodzinie trzecim pokoleniem, które pracowało w Ursusie. Dziadek przed II wojną światową pracował jako giser. Ojciec rozpoczął pracę w Ursusie po powrocie z niewoli niemieckiej w 1945 roku. Ja zaczynałem od szeregowego pracownika technologa, następnie pełniłem funkcje kierownika pracowni, kierownika działu, głównego inżyniera Zakładu Montażu Ciągników Licencyjnych, dyrektora Zakładu Zaopatrzenia i Magazyków, pełnomocnika dyrektora generalnego do spraw założenia spółki pracowniczej oraz prezesa spółki pracowniczej. Pracowałem w najlepszym okresie dla rodzimej produkcji ciągników rodziny C oraz przy budowie i uruchamianiu produkcji ciągników licencyjnych. Praca pozwoliła mi osiągnąć satysfakcję zawodową i rozwinąć się jako inżynier. Pamiętam też bardzo dobrą atmosferę wśród załogi.

W historycznym 1976 roku pracowałem w zakładach na montażu ciągników jako technolog. 25 czerwca nie było

mnie w pracy, bo przebywałem na urlopie szkolnym – byłem studentem pierwszego roku na Wydziale Transportu Politechniki Warszawskiej. O całej sytuacji dowiedziałem się w domu, od mojej mamy, która rano wróciła z zakupów. Opowiadała, że ludzie wyszli z zakładów na tory. Było jasne, że chodziło o podwyżkę. Jeszcze pamiętam, jak poprzedniego dnia, 24 czerwca, w czasie „Dziennika” siedziałem przed telewizorem z kartką przedzieloną na pół. Chciałem zapisywać podwyżki i obniżki. Najbardziej interesowały mnie obniżki cen artykułów przemysłowych. Czekałem na nowe mieszkanie i zależało mi, aby jak najtaniej je wyposażyć. Wówczas było tak, że podwyżki cen żywności były przeprowadzane równoległe z obniżką cen innych artykułów, ale 24 czerwca okazało się, że premier Jaroszewicz nie obniżył cen nawet przemysłowych „lokomotyw”. Byłem bardzo zawiedziony, więc, jak tylko dowiedziałem się od mamy o strajku, poszedłem pod zakład. Zobaczyłem tam mnóstwo ludzi przebywających na torach relacji Pruszków-Warszawa. Stał tam też chyba zatrzymany pociąg. Tego dnia było bardzo ciepło i wszystko miało formę pikniku. Uczestnicy strajku sobie spacerowali. Widziałem krążący helikopter. Pamiętam też moment, gdy do zakładu przyjechało kilku oficerów wojskowych i weszli do budynku dyrekcyjnego. Ja sam nie wchodziłem na teren fabryki. Po trzech, czterech godzinach wróciłem do domu. Ale wieczorne przemówienie Jaroszewicza oglądałem już z telewizora wystawionego na budynku zakładowej stołówki – na strajk poszedłem jeszcze raz, wspólnie z żoną, która wróciła z pracy w Warszawie. Byliśmy bardzo blisko stołówki. Po przemówieniu

premiera dotyczącym odwołania podwyżek ludzie zaczęli się rozchodzić. My też wyszliśmy. Wracaliśmy z żoną do domu ulicą Bohaterów Warszawy, chodnikiem po przeciwnej stronie komisariatu milicji. Do dziś pamiętam wrogie spojrzenia obcych ludzi kręcących się w pobliżu komisariatu. Dopiero później dowiedziałem się, że właśnie ci ludzie wyłapywali przechodniów z ulicy i zaciągali na komisariat, gdzie następnie dochodziło do pobić. Myślę, że gdybym wtedy szedł do domu sam, również i mnie mogliby zgarnąć.

**Nikt z moich bliskich znajomych z fabryki nie został zatrzymany albo zwolniony za udział w strajku. Nikt sobie też w tym dniu nie zdawał sprawy z następstw tych wydarzeń. A jak się później okazało, wśród ludzi na torach musieli być też tajni agenci SB – świadczyły o tym zdjęcia twarzy uczestników strajku. Fotografie stały się później podstawą do wyrzucania ludzi z pracy i do procesów.**

Jeden z kolegów, z którym grałem w piłkę, opowiadał mi, że go zatrzymali i bili na komisariacie. Pamiętam również, że podczas strajków zatrzymywano samochody dostawcze. Koleżanka mamy wzięła sobie jajka, a potem, jak się dowiedzieliśmy, siedziała w więzieniu.

Nikt też nie wiedział, co działo się 24 czerwca w innych miastach. Dopiero później o tym usłyszeliśmy. Pamiętam, że potem na Stadionie Dziesięciolecia został zwołany wiec, na który zwieziono robotników z różnych fabryk. To właśnie wtedy Bartosz Janiszewski, jeden z czołowych ówczesnych dziennikarzy, użył po raz pierwszy określenia „warchoły z Ursusa”.

Nie wiem, kto był inicjatorem strajków w Ursusie. Prawdopodobnie wszystko zaczęło się w narzędziowni, ale to wiem tylko z rozmów. Bez wątplenia natomiast pozostaje fakt, że strajki w fabrykach, nie tylko Ursusa, przyczyniły się do późniejszego powstania ruchów społecznych – Komitetu Obrony Robotników i „Solidarności”. Pracę w Ursusie zakończyłem w 1994 roku. Paradoksem historii fabryki Ursus jest to, że dyletanci z „Solidarności” przyczynili się do jej upadku, a prawdziwi pierwsi przywódcy „Solidarności”, jak Bujak i Janas, nie mieli wstępu do fabryki.

### Pan Tadeusz i Pani Kazimiera

#### Pan Tadeusz

Od roku 1970 mieszkalem w Piastowie przy ulicy Namysłowskiego. Po skończeniu szkoły zawodowej przyjechałem jako młody człowiek za pracą do Ursusa. Pracę w fabryce podjąłem w roku 1970 na stanowisku pomoc kowala, na kuźni. To była praca w ciężkich warunkach.

Dzień wcześniej nie było rozmowy o czymś takim. Każdy przychodził do pracy, nic nie było słyhać. Ja też szedłem do pracy – na drugą zmianę. Nawet nie wiedziałem, że coś się dzieje w zakładach. Miałem małe dziecko, po prostu siedziałem z nim w domu. Przyszedłem do pracy na godzinę czternastą, a cały zakład stoi, nikt nie pracuje, nie wolno nawet niczego dotknąć, no i trzeba siedzieć na wydziale. Przeważnie nikt tam nigdzie nie chodził, każdy siedział na swoim wydziale – bo pracy nikt nie podjął. No i ja po prostu nigdzie nie wychodziłem. Siedzieliśmy

w zakładzie do godziny dwudziestej drugiej. O godzinie dwudziestej drugiej zmiana się kończy, trzeba iść do domu. Wyszedłem na ulicę, a tu zamieszki, dużo milicji. My wiedzieliśmy wcześniej, że coś się dzieje, no przecież wiadomo. Kiedy szedłem do domu z pracy, zatrzymał mnie patrol milicji. Jak mnie zatrzymali, to zaczęli bić po nogach, wpakowali mnie do samochodu i wywieźli na Rakowiecką. Tam przesiedziałem czterdzieści osiem godzin. Potem wypuścili nas wszystkich – bo tam nie tylko ja byłem, było bardzo dużo ludzi.

Później po prostu zgłosiłem się do zakładu. W zakładzie powiedzieli, że dla mnie nie ma już pracy, że jestem zwolniony. No jak zwolniony, to trzeba było wrócić z powrotem do domu. Na drugi czy trzeci dzień dali mi wymówienie, z takim wilczym biletem z artykułu 52 – to jest samowolna i opuszczenie stanowiska pracy. Potem wezwali mnie na komisariat do Ursusa. [Nie wezwali, tylko przyjechała policja w nocy – dopowiada żona]. Wzięli mnie na komisariat do Ursusa, a rano przewieźli na Nowogrodzką. Tam ukarali mnie trzymiesięcznym aresztem i grzywną. I jak to było, wypuścili nas czy nie? [Nie]. Nie, od razu przewieźli na Białołękę. Na Białołęce przesiedziałem miesiąc. No i coś tam wyszło, że trzeba pozwalniać ludzi, którzy byli aresztowani.

**Po miesiącu wyszedłem, ale pracy nie miałem. Chodziłem z pół roku za pracą, to do pośredniaka, to tu. Nigdzie nie było dla mnie pracy, bo z artykułem było w tamtych czasach trudno dostać się do pracy. Nie miałem za co żyć – żona pracowała, to jakoś musieliśmy**



**sobie radzić. Miałem wtedy małe dziecko, syna, trzeba było dać jeść, trzeba było szukać pracy.**

W areszcie nas nie bili. [W więzieniu nie, na komisariacie]. Ale już dostałem za swoje, nogi miałem spuchnięte wcześniej, więc traktowali mnie już jako ukaranego więźnia. Po miesiącu, jak mnie zwolnili i przyszedłem do domu, pracy nie miałem. Otrzymywaliśmy pomoc od studentów. [No parę razy była]. Kilka razy przynieśli nieduże sumy, żeby na życie coś było.

### **Pani Kazimiera**

Urodziłam się 2 września 1946 roku. Skończyłam szkołę i później pracowałam w Warszawie w handlu i chodziłam do zawodówki. W Ursusie też pracowałam bardzo długo – tutaj, w sklepie przy stacji na Wojciechowskiego, dzisiejszy Globi, byłam kierownikiem tego sklepu. Do samego końca, aż przeszłam na emeryturę. Poszłam na wcześniejszą emeryturę, po 35 latach pracy niezależnie od wieku, miałam 51 lat. Pracowałam jeszcze dodatkowo przez jakiś czas, ale już później przestałam, bo zdrowie mi nie pozwalało.

Od Alej Jerozolimskich szłam do Ursusa na piechotę, bo tylko do Alej mnie dowiózł autobus. Szłam w tę stronę ulicą dzisiejszą Spisaka, bo mówili, że pociągi nie chodzą – zazwyczaj do Warszawy dojeżdżało się pociągiem. Jak przyleciałam, to dziecko było w domu, bo on położył dziecko spać i poszedł na czternastą do pracy. Czekałam do dwudziestej drugiej, żeby wrócił. A on nie wrócił wcale.

Czasami ktoś mówił, że pociągi nie chodzą, że strajkują, że to, ale ja nie wybrałam się nawet tutaj w stronę stacji ani

nigdzie, bo nie pomyślałam o tym, że on zostanie zamknięty. Oglądać też nie wychodziłam, tylko zajmłam się dzieckiem. Dopiero później przeżyłam te noce, jedną, drugą. Położyliśmy się spać, a tu pukają, tylko szyby jęczą. Przyjechali go zabrać: „Pan się ubiera i już pana zabieramy”. Pytałam gdzie, to nic mi nikt nie chciał powiedzieć. Tylko: „Na komisariat”. Rano nie poszłam do pracy, tylko leciałam na komisariat, bo wiedziałam, że go na komisariat zabrali. Gdyby nie ta jego bratowa, to bym się niczego nie dowiedziała; nie wiem skąd bym się wtedy dowiedziała. Ona mi bardzo pomogła, bo miała znajomości.

**No nie było go. Całą noc go nie było, a ja nie miałam z kim rano dziecka zostawić – bo on zawsze rano był z dzieckiem, a ja chodziłam na siódmą do pracy. Wraciałam, a on szedł na czternastą albo na noc na kuźnię. Musieliśmy się tak zamieniać, bo choć trzy razy składaliśmy pismo do przedszkola, to dziecka nam nie przyjęli – nie było miejsc. Ja nie miałam wtedy komu zostawić tego dziecka, więc zadzwoniłam do swojego kierownika i powiedziałam, że nie mogę przyjść do pracy, bo nie mogę samego dziecka zostawić.**

Poradzono mi, żebym poszła do Wydziału Oświaty w Ursusie, żeby mi załatwiono przedszkole. Jak poszłam, to tam była taka starsza pani i jakiś pan – tłumaczyłam im, mówiłam, że mi męża zamknęli i ja nie mogę zostawić dziecka, muszę załatwić przedszkole, bo z czego będziemy żyli. No to mi ta pani powiedziała: „Jak się ma głupiego męża, to się teraz cierpi”. A ja się rozplakałam. Później ten pan powiedział: „Niech się pani nie denerwuje, niech się pani

uspokoi. Pani sobie tu usiądzie i wszystko załatwimy”. Usiadł, wziął telefon i podzwonił po przedszkolach. Załatwił synowi przedszkole, ale tylko na ten okres, kiedy męża nie będzie; na Żwirki i Wigury, tutaj przy stacji. „Niech pani weźmie dziecko i zaprowadzi do przedszkola”. Poszłam do przedszkola, a pani dyrektor mówi: „Jak ja mogę pani na usta przyjąć dziecko? Niech pani mi przyniesie pismo”. I drugi raz szłam do tego prezydium do Wydziału Oświaty, żeby mi to pismo napisali. Ale już wtedy to tak płakałam, że nie widziałam tej ulicy. W końcu mi wypisali to pismo i zaprowadziłam dziecko do przedszkola. Dobrze się tam czuło. Miałam bardzo wyrozumiałego kierownika, bo pozwalał mi się nawet spóźnić, jeśli nie dałabym rady. A w pracy ciągle tylko wszyscy czekali, jakie nowe wiadomości przyniosę z Ursusa, bo ja pracowałam w Warszawie. Wszyscy rano czekali, co ja nowego przyniosę, co się wydarzyło.

Kiedy go zabrali, to na drugi dzień poszłam na komisariat. Ktoś otworzył okienko i ja spytałam o nazwisko, gdzie go mam szukać, czy gdzie on jest, a milicjant mówi: „Wróci, pani się nie martwi, na baby poszedł”. Zamknął mi okienko przed nosem. Nie mogłam się niczego dowiedzieć. Na szczęście mąż miał bratową w sądzie na Świerczewskiego, była sekretarką. I ja wtedy do niej zadzwoniłam, pojechałam do niej do domu, tam nocowałam i przez całą noc szukałyśmy. Wszystko znalazłyśmy telefonicznie – że był sądzony na Nowogrodzkiej, że siedzi na Białołęce. I nawet tej nocy załatwiła mi widzenie. Byłam taka szczęśliwa! Całą noc nie spałyśmy, ale wszystko załatwiłyśmy. Kolejnego dnia pojechałam na to widzenie – oni mnie pod bronią

prowadzili do tego baraku, w którym siedzieli aresztowani! Usiadłam w poczekalni. Potem zaprosili mnie do jednej budki telefonicznej – a on na górze w drugiej budce telefonicznej. Widziałam go tam w tej przeszklonej budce, siedział na górze, w pasiaku, w spodniach w takim stylu, jak pizama pasiasta. Bratowa kazała mi się go zapytać, czy mamy zakładać apelację. Ale on mi powiedział, że nie: „Nie zakładaj, co będzie, to będzie, nie zakładaj”. Jak mi powiedział, że nie, no to nie zakładałam. A później, po miesiącu, to wcale nic nie było słyhać, że ich puszcza. Przyszli, otworzyli i wypuszczali. Po kolei ich wypuszczali, nie od razu wszystkich, tylko co pół godziny. Najpierw puścili część, później następnych – widocznie żeby czasem nie rozrabiali. Później, jak on przyjechał, to mały dalej chodził do przedszkola, do samej szkoły, tego nie cofnęli.

**Było mi bardzo ciężko, bo byłam sama z tym dzieckiem, jeszcze nic nie wiedziałam. Dopiero później, już jak się dowiedziałam, to się trochę uspokoiłam. Ale dokąd nie wiedziałam, to ile przeżyłam, ile nerwów i wszystkiego! Było mi ciężko, na pewno. Ale w pracy szli mi na rękę, bo mogłam się spóźnić, mogłam wyjść trochę wcześniej, jak miałam coś do załatwienia – nie robili mi nigdy problemu.**

Kierownik był sekretarzem partii w moim zakładzie. Ja do partii nie należałam, ale bardzo mi współczuł. Pracowałam tam dwadzieścia pięć lat. [Gorzej było finansowo – dopowiada mąż]. A finansowo tak.

Później, jak przyszło z Ursusa takie pismo, że go przyjmują, albo że mu wyrównają te trzy miesiące, to





KOLEGIUM d/s WYKROCZEN

przy Naczelniku Dzielnic  
(pieczęć teren, organu admin. państw.)

00-970 Warszawa, ul. Nowogrodzka 42  
Dnia 6 VII 1976 r  
Nr rej. A-781P/176

Za potwierdzeniem odbioru

Ob. Tadeusz Doremus  
zam. Ursus  
ul. Okajowa 28  
poczta

WEZWANIE DO WPLACENIA GRZYWNY I INNYCH NALEŻNOŚCI PIENIĘŻNYCH

Wzywa się Obywatela(kę) Tadeusza Doremusa, aby stosownie do orzeczenia — nakazu karnego — postanowienia \*)

Kolegium do Spraw Wykroczeń przy sądzie dzielnicowym w Warszawie z dnia 6 VII 1976 r.

Nr rej. A-781P/176 wpłacił(a)

grzywnę	zł
odszkodowanie	zł
nawiązkę	zł
koszty postępowania	zł
	50.- zł
Razem:	50.- zł

w ciągu 3 dni — niezwłocznie \*) po doręczeniu wezwania w sposób i miejscu wskazanym na odwrocie.

- zajęcie wynagrodzenia za pracę względnie egzekucja z ruchomości, przy czym koszty postępowania egzekucyjnego obciążą Obywatela(kę),
- wykonanie zastępczej kary aresztu orzeczonej w wymiarze 3 miesięcy \*)

\*) niepotrzebne skreślić

(podpis)



**ZAKŁAD METALURGICZNY  
ZM »URSUS«  
Dział Spraw Prasowniowych**

(pieczęć zakładu pracy)

Znak:

ME-2/68051/MK

URSUS 18.02 1977 r.

(miejsowość i data)

Zaświadcza się, że Ob.

Jadewsz Dominik

(imię i nazwisko)

zamieszkały/a

Piastów ul. Kamyszyńskiego 3 m 1

był  
jest zatrudniony/a w

ZM »URSUS« Zakład Metalurgiczny

(nazwa zakładu pracy)

na stanowisku

p. kanała od 03.11.1970r. do 29.06.1976r.

Wynagrodzenie miesięczne

(określić brutto czy netto)

Zaświadczenie wydaje się w celu

Przedłożenia odpowiednim służbom

**KIEROWNIK SEKCJI**

**Przyjęć i Ewidencji (MS)**

(pieczęć i podpis)

**Zeneta Tomaszewska**

-Os-231 zam. 4/DW/On

Cz. Z. G. 120 15.1.76. 73.000 bl. a 100 k.



KOLEGIUM d/s WYKROCZEN

przy Naczelniku Dzielnicy  
(pieczęć terenowego organu  
administracji państwowej)

00-950 Warszawa, ul. Nowogrodzka 43

Dnia	6 VII	19 76	r.
Nr rej.	A-781p/76		

Za potwierdzeniem odbioru

Ob. Tadeusz Dominick  
 zam. Mrsus  
 ul. Akacjowa 28  
 poczta .....

Termin stawienia się 6 VII 1976 r.

WEZWANIE DO ODBYCIA KARY ARESZTU

Wzywa się Obywatela(kę) do stawienia się w dniu 6 VII 1976 r.  
 w zakładzie karnym w ..... celem odbycia zasadniczej  
 — zastępczej \*) kary 3 mies. aresztu na mocy podlegającego  
 wykonaniu rozstrzygnięcia Kolegium (wymiar) do Spraw Wykroczeń przy ew. ew.  
Dzieln. z dnia 6 VII 76

W razie niestawienia się w oznaczonym terminie zostanie zarządzone przymu-  
 sowe doprowadzenie przez Milicję Obywatelską na koszt Obywatela(ki).  
 Czasu doprowadzenia nie wlicza się do okresu odbywania kary.

\*) niepotrzebne skreślić

(podpis)

odszkodowanie, tę grupę, różnicę między grupami – bo był deputat węglowy, urlop wypoczynkowy był zabrany, wszystko było zabrane – to on nie chciał pójść. Ja poszłam do zakładów i mi ta pani pokazała to pismo. Powiedziała, że już jest wyliczone, tu tyle i tyle, ale jaka to była suma, to nie pamiętam. I zaczęła mi to czytać, że z grupy piątej, a ja mówię: „Proszę pani, ale ja mam grupę siódmą” i jej pokazuję. A ona mówi: „A skąd pani to wzięła? My tu mamy piątą”. Ja na to: „No ale ja mam angaż”. Ona spytała, czy może to komuś tam pokazać i złapała to, a ja mówię: „Tylko niech mi to nie zginie”. Poleciała gdzieś, ale za chwilę wróciła: „No to dzisiaj pani nie dostanie żadnej odpowiedzi, bo musimy to od nowa przeliczyć”. I dopiero za jakiś czas go wzywali. I on pojechał. Ja już nie pojechałam po pieniądze, ja tylko załatwiłam.

#### Pan Tadeusz F.

I przyszedł ten czas, 24 czerwca 1976 roku. Przyszedłem rano do pracy. Już wcześniej wiedzieliśmy, że była ta podwyżka artykułów spożywczych. Ja miałem już te 46 lat, jakby nie było, to już nie jest młody wiek, ale mnie denerwowało to, że oni podwyższają ceny, że to jest niby partia ludowa, że powinna się troszczyć o robotnika, o człowieka, a oni tego człowieka gnębią. No nic, no to poszedłem tam zobaczyć na te tory – jak tylko przyszedłem do pracy, to przebrałem się i prosto tam poszedłem. Kierownik mi powiedział tak: „Ja wam nie zezwalam, żebyście tam szli i wam nie zabraniam. To jest wasza sprawa, wy konsekwencje będziecie ponosić”. No to dobrze, to poszedłem



tam, zobaczyć, co się dzieje. Było bardzo dużo kobiet, bardzo dużo pracowników, znajomych. Jedna taka babka, co tutaj w następnym bloku mieszkała – patrzę, a ona siedzi na torach kolejowych. Jeszcze pociągi nie przyszły, te dalekobieżne – później zostały zatrzymane, właśnie przez to, że ci ludzie na tych torach siedzieli. No i ja tam też już w tym czasie byłem. Ale najpierw, bo był parkan zrobiony z siatki, rozdarliśmy tę siatkę, żeby móc tam wchodzić. Niedaleko była żwirownia i z tej żwirowni przyjechał jeden człowiek traktorem i zepchnął tę siatkę tak, że można było swobodnie chodzić.

No to jest moje zdjęcie, tutaj o ja jestem [wskazuje na zdjęcie]. W gminie wystawione były wszystkie zdjęcia ze zrywu i tam było napisane: „Kto się rozpozna, to proszę przyjść do pokoju numer 15”. Ja tam poszedłem, przyszła taka pani i to zdjęcie już zabrała. I później miałem trudności, żeby to zdjęcie zdobyć. Przychodziłem tam kilka razy, bo musiałem być w tym zakładzie, żeby się pokazać.

**Ten teren dzisiaj to jest piękna rzecz, dzisiaj jest tam elegancki parking samochodowy, a dawniej to były same dziury, doły zarośnięte trawą. Dobrze było, bo tam można było sobie posiedzieć, nogi opuścić na dół. I tam siedziałem. Dlaczego tam? Ktoś mnie kiedyś pytał, czy ja należałem do jakiejś organizacji. Nie, ja tam chodziłem po to, żeby było jak najwięcej ludzi, bo to jest właśnie siła, chodziłem, żeby było jak najwięcej ludzi.**

Po strajku poszedłem do tego pana dyrektora Lecha ze sprawą; tam był Lech, był Wasilewski i jeszcze Śliwocki,



trzech inżynierów. Dobrze ich znałem, bo kiedyś robiliśmy razem na kuźni nawiewy zimne i ciepłe, a ja jako elektryk podłączałem to wszystko. Znałem dobrze tych ludzi, więc poszedłem do nich i powiedziałem, że jestem do zwolnienia. Spytałem: „Co zrobić?”. Jeden mówi tak: „Ciebie zwolnić? No przecież ty jesteś dobry jeżeli chodzi o te maszyny, termoregulatory. Będziemy robić śledztwo, tych trzech panów. Może dzisiaj już nie, bo mamy inne zajęcia, przyjdź jutro o godzinie dziewiątej”. Ja przyszedłem do zakładu, do mojego krewniaka i mówię mu, że będą prowadzić śledztwo ze mną. Więc przychodzę na drugi dzień, troszeczkę porozmawialiśmy. Jedno słowo to było takie: „Po coś tam poszedł?”. O to mnie pytał ten Śliwocki. On mieszkał po drugiej stronie, miał prywatnie mieszkanie przy ulicy Dzieci Warszawy, tam gdzie to się wszystko odbywało. A znowu ten Lech powiedział tak: „Dobra, to na dzisiaj wystarczy”. Jutro miałem przyjść. I tak to doszło do pewnego dnia, wtedy prezydentem Stanów Zjednoczonych był chyba Reagan i on powiedział, że jeżeli będą nękać robotników, to oni zastosują embargo na Polskę. No i tak wyszło, że zaniechali tego. I przychodzę na drugi, na trzeci czy na czwarty dzień, a oni mówią tak: „Dobra, idź do roboty. Już jest wszystko załatwione”. Pracownicy, jeżeli chodzi o tych partyjniaków, byli źli niesamowicie. Z jednym miałem taką przeprawę, bo powiedziałem mu: „Ty świnio partyjna”. Coś takiego mu powiedziałem, a on na to, że pójdzie na mnie donieść. Ale nie poszedł. Nie poszedł, bo się chyba obawiał; przecież razem pracowaliśmy, jakby nie było. Także to praca była niezła.

Jeśli chodzi o zatrzymanie tych pociągów, to maszynista miał dobrą orientację, że on potrafił zatrzymać pociąg. Przecież mógłby nas wszystkich tam rozjechać, a on zatrzymał. Podobno tam było takie coś, że ten kierownik mu mówi: „Jedź!” – tak podobno było, ten kierownik pociągu, żeby się nie zatrzymywał.

Ja tam byłem ze trzy razy w ubraniu roboczym, natomiast jak już się skończyła praca, to już w przebraniu wróciłem. Na zdjęciu już jestem przebrany. To było po godzinie czternastej. Ja tam byłem z kolegami, był taki bileter w kinie Arsus, Janek Kęciak – siedł z drugą armią Wojska Polskiego na Berlin, porządny facet. Czekaliśmy aż do godziny gdzieś szesnastej. Mówił, że podobno teraz ma odwołać tę podwyżkę. Wynieśli telewizor na dach. Widzieliśmy to wszystko.

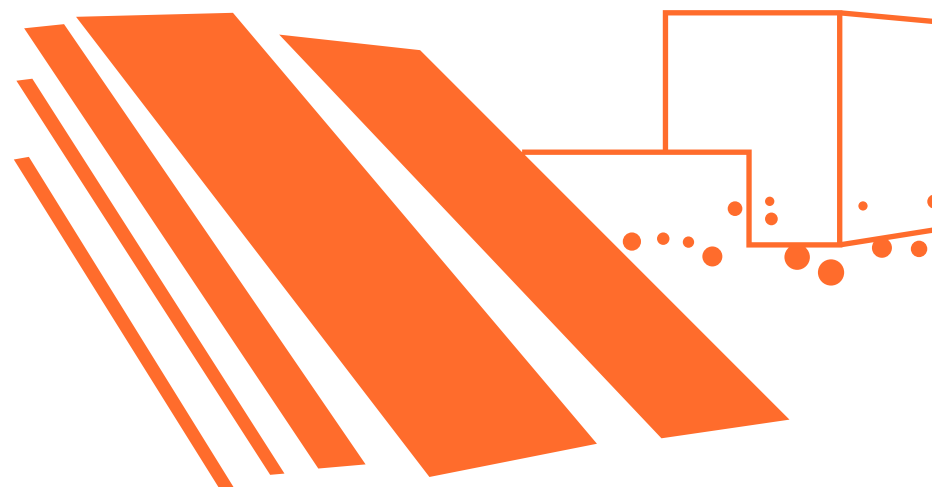
Z trzema kolegami poszliśmy na drugą stronę, na ulicę Wiosny Ludów, i tam, pamiętam, zrobiłem taki kawał. Przyjechały samochody osobowe i w nich ubowcy, po cywilnemu, z pałami. Coś kombinowali. Jechali wszyscy Wiosny Ludów od dworca w Ursusie, a my staliśmy na końcu peronu – tam była stara ulica Chopina. Wyszedł taki jeden i pyta się, gdzie jest ulica Wiosny Ludów. A ja mu pokazałem, że trzeba jechać tam w tę Chopina i w Dzieci Warszawy. Wszystkie samochody pojechały tam. I później widać było, że wracali z drugiej strony, tam na tę górę.

Dużo było już tych naszych kolegów z zakładu podpitych, bo na rogu Chopina można było kupić wódkę. Byli tacy, co lubili wypić. No i dlatego oni tam byli za długo – niepotrzebnie tam byli, jak już powiedział to „nie ma”. Ale oni pili.

Byłem tam też w tym pociągu wojennym, w którym się paliło, zapalili tam. Ale to nie zapalili ci, co pili wódkę, nasi czy coś. Niektórzy twierdzili, że to byli prowokatorzy. Zrobili to specjalnie, żeby nas nazwać wandalami i warchołami.

Ktoś robił zdjęcia aparatem – zauważyliśmy to, wzięliśmy ten aparat i rozwaliliśmy na drobny mak. Albo jak ktoś chciał wejść do zakładu, to pilnowaliśmy, żeby nie wszedł, dlatego że wiedzieliśmy, że to może być sabotaż. Wszedłem do fabryki, rozmawialiśmy. U nas w naszym dziale było też dużo partyjnych ludzi. Ci ludzie partyjni nie chcieli rozmawiać na ten temat, oni byli w odosobnieniu. Natomiast ci, którzy chcieli walczyć, rozmawiali.

Ja byłem odważny i pierwszy poszedłem tam sam. Wołałem takiego jednego kolegę: „Może pójdziemy?”. A on: „Nie, ja tam pójdę później”. No to dobrze, to ja poszedłem zobaczyć, co się dzieje. Już wszedłem na te tory, żeby zasilić swoją osobą, pokazać, że jest nas dużo! Ale musiałem też bronić swojej pracy, musiałem wrócić. Ale to znowuż tam troszeczkę popracowałem, coś tam zrobiłem i było śniadanie. Zjadłem śniadanie i znowu tam poszedłem. Także trzy razy było to moje tam i z powrotem. Tam był taki dowodzący tym wszystkim i on powiedział: „Słuchajcie, są ludzie, którzy chcą nas tutaj zniszczyć, uważajcie na nich i nie wpuszczajcie. Jeżeli będziecie widzieć, że tam ktoś idzie taki obcy, to wylegitymować, a najlepiej nie wpuszczać. Kopa i z powrotem”. I tak było. Nazwiska nie znam. Wiem, że pracował w narzędziowni. On miał później nieprzyjemności, był zwolniony z zakładu, był poturbowany, bity, dlatego że on tam wszędzie był.





Jechały na przykład samochody dostawcze, jajka wieźli, no to cały ten samochód został zarekwirowany. Myśmy wszystkie te jajka z niego wyciągnęli. Te jajka były dobre, dziurkę się robiło, piło się. Taka pani, która mieszkała przy ulicy Wiosny Ludów, przechodziła przez pociąg. Tam stał pociąg, to przez ten pociąg – wchodziła do pociągu i te jajka ładowała w kubeł, takie wiadro; bo ja tam wiem, w tym wiadrze to chyba ze sto jajek można było zmieścić. To wkurzyło tego dowodzącego, wziął te jajka i jej wysypał. Myśmy mu zwrócili uwagę: „Po co niszczysz, ona miałaby z tego jakiś pożytek przynajmniej”. On to wyrzucił, ale już później tego nie robił – kobiety przychodziły dalej i brały sobie te jaja. Tak cały ten transport wykorzystaliśmy, wszyscy z tego korzystali. Najlepsze to było to, że ci, co lubili wódkę, to mieli od razu zagrychę. No, to było to.

Kręciło się dużo ludzi z partii i oni chyba rozpoznawali, bo później na tym zdjęciu przecież mnie rozpoznali. Była taka jedna babka, którą dobrze znałem, była sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej. Miałem do niej zawsze zaufanie, ale ona do dziś tak nie bardzo patrzy na mnie; ja nie byłem w partii.

**W unieruchomieniu torów brało udział wielu ludzi. Między innymi ja – też rozkręcałem te tory, żeby tę szynę odciągnąć. To był pociąg, który leciał w stronę zachodu, czyli na Pruszków. Nie dało rady, bo trzeba było uważać, bo tory to też jest prąd – trzeba było tak to zrobić, żeby nie przeciąć łączenia przewodów, bo tam przewody są połączone. Mimo wszystko szyny są ściągane śrubami – to jest bardzo ważne, tu muszą być**

**jeszcze takie baty tak zwane, żeby był dalej przepływ prądu. I myśmy to rozkręcili, ale kluczem takim z zakładu to było trudno. Przyszedł nam z pomocą jakiś kolejarz, przyniósł taki porządny klucz, odkręciliśmy kawał tej szyny i odciągnęliśmy w bok. Synek jednego kolejarza powiedział, że zawoła tatę, to on z tego zjedzie. Ja mówiłem, że też umiem, no ale nic, ten kolejarz zjechał – lekko, pyk i koło wpadło między podkłady kolejowe i już była sprawa załatwiona – ani się nie wycofa, ani nie pojedzie do przodu.**

Z drugiej strony było gorzej, bo to był pociąg pospieszny. On też stał, ale, żeby nie ruszył, trzeba było wyciąć kawałek szyny. Ale to była trudna sprawa. Przywieźli dwie butle, chcieli wyciąć kawałek – no nie dało rady, nie było fachowca, żeby to wyciąć. Fachowiec nie przyszedł, bo się bał. Także jakoś to zmordowali w taki sposób, że już się nie dało przejechać, jednak strasznie to było zmordowane. No i pół metra szyny trzeba było wymieniać później.

Potem to już staliśmy do końca i czekaliśmy, co się będzie działo dalej. Bo było jeszcze bardzo dużo ludzi koło tego białego domu, koło dyrekcji. Jak przyjechały te sikawy, to tych ludzi tymi sikawami wytrącili stamtąd; wszyscy uciekali przez tory kolejowe na ulicę Wiosny Ludów i dalej na Dzieci Warszawy. Prawie wszyscy uciekli, tylko że niektórzy byli boso. Tam było bardzo dużo ludzi, ale lepiej było już się wycofać i wycofaliśmy się jeszcze dalej do dworca, bliżej peronu. Tam już nie przyjechali, ale tam już było mało ludzi. Najwięcej to było właśnie tam, gdzie tymi sikawkami wypędzali. Żadnego pałowania nie było, tylko lanie wody.

Wypędzili wszystkich z tego placu koło białego domu. Do budynku dyrekcyjnego wpadło dużo ludzi, tych, co lubią wypić, i tam splądrowali barki, znaleźli dużo trunków. A ja nie, ja z tego nie korzystałem, bo można się napić, ale w takim gronie, żeby nie był jeden na drugiego zły. A tutaj była taka ogólna złość. Wszyscy niby walczyliśmy o to, żeby wycofać tę podwyżkę, ale wszyscy byli rozgoryczeni i jeden na drugiego był zły. Po co, dlaczego? Nie wiem. Na torach już się nic nie działo, dlatego że pociągi były unieszkodliwione. Najwięcej to tam było dzieci, latały po tych wagonach. Dużo było właśnie tych ludzi, którzy lubili wódkę. Tam był taki teren trawiasty, były nierówności, takie dołki. I na takich dołczkach można było w kilku siedzieć; nogi w dole i była rozmowa – że zrobiliśmy swoje, więc teraz możemy sobie wypić czy coś takiego; bo ten odwołał, czyli będziemy mieć tańszą kiełbaskę. Takie różne gadki. To nie było dobre, ja jestem jednak na to uczulony. W jednym dołczku był zajaca, on tam sobie spał i oni złapali tego zajaca. Już byli podpici; jeden chwycił za nogi, drugi za głowę, urwali to. Pomyślałem, że to nieładnie tak, ale nie można było nic powiedzieć, towarzystwo było rozgoryczone i mógłbym dostać.

Telewizor wystawiony był na dach, więc wszyscy widzieliśmy z daleka, z tego placu, że podwyżek nie będzie. To wtedy: „Hura!”. Wtedy krzyk, że wygrali.

### Pan Jerzy

Moje związki z fabryką zaczęły się w 1969 roku, kiedy byłem jeszcze studentem Uniwersytetu Warszawskiego. Właśnie wtedy rzecznik prasowy fabryki Ursus, pan Edward

Margański, zwrócił się do mnie z pytaniem, czy nie wziąłbym udziału w organizowaniu zakładowego muzeum. Potem ten kontakt na jakiś czas się urwał. W 1972 roku, już jako magister historii, trafiłem do fabryki Ursus, ale nie do muzeum, tylko do redakcji „Głosu Ursusa”. W redakcji pracowałem do stanu wojennego w 1981 roku, najpierw jako redaktor, a potem jako sekretarz redakcji. Działałem w „Solidarności”, więc kiedy zaczęła się wojna polsko-jaruzelska, wyrzucono mnie z pracy, uznając, że jestem elementem anarchizującym życie w kraju.

Byłem świadkiem wszystkich najważniejszych wydarzeń, jakie miały miejsce w fabryce w latach 70. Do nich trzeba przede wszystkim zaliczyć protest robotniczy w czerwcu 1976 roku. Władze w 1976 roku zmieniły taktykę wobec społeczeństwa. Już się czegoś nauczyły po wydarzeniach grudniowych 1970 roku na Wybrzeżu i postanowiły uprzedzić, że będą podwyżki. Zrobiono to jednak w sposób koszmarny, obłudny i nieudolny. A mianowicie, postanowiono przeprowadzić pseudokonsultacje społeczne. Do Ursusa na kilka dni przed samymi wydarzeniami przyjechał ktoś z komitetu wojewódzkiego partii i w budynku dyrekcyjnym, w sali konferencyjnej, która należała do komitetu fabrycznego partii, odbyła się konsultacja. Przyszli pierwsi sekretarze w poszczególnych zakładach, wydziałach i oddziałach i towarzyszek przekazał informację, że w najbliższym czasie będą podwyżki. W zasadzie było to takie wystąpienie ex cathedra, poinformował i to wszystko. Ci sekretarze na drugi dzień bali się nawet powtórzyć ludziom, że będą podwyżki.

W czwartek, 24 czerwca, premier Piotr Jaroszewicz wystąpił w sejmie i zapowiedział podwyżki żywności. Olbrzymie podwyżki miały obowiązywać od poniedziałku. Wieczorem przemówienie zostało odtworzone w telewizji. Dzień spędziłem w Bibliotece Uniwersyteckiej, ponieważ zbierałem materiały do jakiegoś dla mnie bardzo ważnego materiału. Wieczorem wracałem do domu. Świetnie pamiętam ów upalny wieczór 24 czerwca. We wszystkich mieszkaniach okna były pootwierane na oścież. Zewsząd zamiast śpiewów, a przecież był to dzień popularnych imienin Jana, słychać było przemawiającego Jaroszewicza. Zanim doszedłem do domu, wiedziałem o wszystkim, co nas czeka od poniedziałku.

No i przyszedł pamiętny piątek 25 czerwca. W Ursusie pierwsza zmiana dla pracowników fizycznych zaczynała się o godzinie szóstej, o godzinie siódmej zaczynali pracownicy umysłowi, a my w redakcji pracowaliśmy od ósmej. Kiedy przyszedłem do pracy, to główne wydarzenia już się zaczęły. Wchodzę do redakcji, a pokój redaktorów jest pusty, otwarte są drzwi do pokoju szefowej, pani Ligii Bednarskiej. Wszyscy siedzą w tym pokoju w jakimś skupieniu, widać na ich twarzach, że coś przeżywają. Idę do pokoju szefowej, a ona pyta: „Słyszysz pan?”. Słucham, słucham i nic nie słyszę. A ona: „No jak to, nie słyszysz pan tej ciszy? Przecież wszystkie maszyny są powylączane”.

W tym momencie wpada do redakcji nasz korespondent Jurek Menert, który robił zdjęcia, kiedy fotoreporter Ireneusz Barski był na urlopie czy na zwolnieniu lekarskim, i woła: „Wy tutaj gadka szmatka, a tam na krzyżówkach

już wiecują”. Wtedy ja z Barskim, on oczywiście z aparatem, od razu ruszyliśmy na krzyżówki koło Zakładu Silników i Narzędziowni. Kiedy dobiegliśmy do krzyżówek, tłum skończył urzędowanie w tym miejscu i wielki pochód maszerował przez fabrykę w kierunku budynku dyrektorskiego. Ludzie szli rozszoszczeni, bo do nich na krzyżówkach przyszedł tylko przewodniczący rady zakładowej Zbigniew Antonowicz. Chciał tam przemawiać, ale go wykrzyczano, że związki zawodowe nie mają żadnego znaczenia. Domagano się kogoś z dyrekcji albo z Komitetu Fabrycznego. Oczywiście nikt nie przyszedł, bali się, więc tłum postanowił iść do dyrektorów i towarzyszy.

Dogoniliśmy ten tłum – wielki tłum robotników w zaoliwionych drelichach, tłum prawdziwych robociarzy wygrażających pięściami – gdy doszedł do budynku dyrektorskiego, nazywanego w fabryce pogardliwie białym domem. Pan Barski wyciągnął aparat fotograficzny i chciał zrobić zdjęcie, ale w tym momencie od strony manifestujących nadeszła kobieta i powiedziała: „Niech pan nie robi zdjęć, bo nie wiadomo, za kogo pana wezmą, a przed chwilą pobili dyrektora i pierwszego sekretarza partii”. Fotoreporter schował aparat, nie zrobił żadnego zdjęcia. I całe szczęście, bo później miałby duże przykrości – ludzie posądzałiby go o to, że jest autorem fotografii wystawionych w Domu Kultury.

Wtedy usłyszałem brzęk tłuczonych szyb – leciały kamienie; tłum zaczął urzędować w budynku dyrektorskim. Dyrektor naczelny Bogusław Prugar-Ketling i pierwszy sekretarz partii Stanisław Maćkowski, którzy zeszli do ludzi na parter, widząc co się święci, uciekli schodami na piętro.

Zapanowała panika. Wielu pracowników budynku dyrekcyjnego w przerażeniu rejterowało do zapasowych wyjść. Tłum robotników znowu został sam. I wtedy ktoś wymyślił, że skoro nie mają z kim rozmawiać, to zatrzymają pociągi.

**Jako pierwszy zatrzymano pociąg pospieszny. Z kawiarni Arsusa, w której teraz siedzimy, świetnie widać przez okno miejsce, gdzie zatrzymano ten pociąg na linii Warszawa-Łódź. W chwilę potem zablokowano pociąg podmiejski na nasypie kolejowym między Włochami a przystankiem Ursus Północny. I zaczął się wielki piknik. Upał był szalony, chyba trzydzieści stopni, niebo bezchmurne. Ludzie posiadali na trawnikach przed budynkiem dyrekcyjnym, niektórzy mężczyźni pozdejmowali koszule i zaczęli się opalać. Było upalnie i nudno, po prostu nudno.**

Na szczęście przyleciał helikopter, ludzie pogapili się na niego troszeczkę. Przyjechały jakieś samochody, to zatrzymali je, wyciągnęli z nich jajka, chleb, cukier. Z fabryki przywieźli wózkami butelki z wodą do picia dla tych siedzących na trawnikach i torach.

**Najgorsze, że nie było żadnych informacji na temat tego, co dzieje się w kraju. Pociągi nie jeździły, telefony zostały wyłączone. Ursus otoczyły patrole milicyjne, które nie wpuszczały do miasta żadnych samochodów i właściwie nie bardzo wiedzieliśmy, co się dzieje. Jedynie pocztą pantoflową chodziły wiadomości, że Warszawa też ruszyła, że stoją Miejskie Zakłady Komunikacyjne, że tramwaje nie jeżdżą, że autobusy nie jeżdżą. Tylko nie było jak tego sprawdzić.**

Jak skończyła się pierwsza zmiana, wiele osób, szczególnie z biur, poszło do domu. Kobiety chciały zrobić jeszcze zakupy po starych cenach, odebrać dzieci z przedszkoli, ugotować coś w domu. Ja też poszedłem na obiad. Oczywiście, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem w domu, było włączenie radia. Nawet bez problemu złapałem Wolną Europę. W „Dzienniku” jako pierwszą wiadomość podano, że na przedmieściach Warszawy zostały zatrzymane pociągi i robotnicy strajkują w proteście przeciwko podwyżkom cen żywności. Wtedy Ursus nie był jeszcze tak zabudowany jak obecnie, jeszcze z okna na czwartym piętrze w bloku przez ulicę Tomcia Palucha widać było pola Skoroszy. A za polami ciągnęły się Aleje Jerozolimskie. Patrzę w okno, a Alejami w kierunku Pruszkowa jadą autobusy. Uruchomili więc linię zastępczą. Ogarnęło mnie rozczarowanie – w Warszawie MZK nie strajkowały.

Zjadłem obiad, a po obiedzie całą ferajną przysiliśmy pod fabrykę. Wiele osób wybrało się w to piękne, letnie popołudnie pod fabrykę z ciekawości. Matki szły z wózkami, zakochani szli trzymając się za ręce. Ciągnęła ich sensacja, co tam się dzieje. A na torach jeszcze panował piknik. Jeszcze wielu robotników siedziało w rowach i zajadało kanapki, które przyniosły im dobre żony.

Dopiero po siedemnastej ściągnięto z torów elektrowóz, ale nic nie zapowiadało jeszcze wielkiej grozy. O godzinie dziewiętnastej trzydzieści rozeszła się wiadomość, że będzie bardzo ważne wystąpienie Jaroszewicza. W związku z tym na daszek nad wejściem do budynku dyrekcyjnego wystawiono telewizor. Ludzie wysłuchali przemówienia



odwołującego podwyżki. Część osób rozeszła się, część w dalszym ciągu okupywała tory. Dramat zaczął się gdzieś koło dwudziestej pierwszej trzydzieści, gdy się ściemniało – przecież to jeden z najdłuższych dni w roku. Wtedy z dwóch stron nadjechały budy milicyjne – jedno od strony stacji w Ursusie, drugie od strony stacji we Włochach. Z bud wyskoczyli zomowcy w hełmach z opuszczonymi przyłbicami na twarz, z tarczami i z wielkimi pałami. Najpierw ostrzelano teren gazem łzawiącym, potem zomowcy ruszyli do natarcia. Za nimi jechały budy i oświetlały teren reflektorami. Ludzie bronili się tym, czym mogli – kamieniami, jakimisź śrubami – ale nie mieli żadnych szans. Po krótkim czasie wszyscy zaczęli uciekać. Część robotników dostała się na teren zakładów, później milicjanci chodzili po halach i jak zobaczyli kogoś z zaczerwienionymi oczyma, zwijali go. Część osób została zabrana na torach. Dantejskie sceny działy się na terenie miasta, gdzie patrol milicyjne zatrzymały wszystkich, których napotkały na swej drodze. Często byli to ludzie Bogu ducha winni. Ponieważ nie jeździły pociągi, sporo osób wracało pieszo z Warszawy w kierunku Pruszkowa i Piastowa. Znam taki przypadek, że ktoś wyszedł z mieszkania w kapciach o godzinie dziesiątej wieczorem wyrzucić śmieci i go zgarnęli. Dużo ludzi przewożono na komisariat przy ulicy Bohaterów Warszawy. Budy wjeżdżały od podwórka, a tam milicjanci urządzali „ścieżki zdrowia”. Część ludzi przywieziono na Rakowiecką i tam też urządzano „ścieżki zdrowia”. Jak ładowano ludzi do bud, to tajniacy z pałami wpadali do środka i bili jeszcze w samochodach.

Szybko poradzono sobie z protestującymi robotnikami. Przyszła sobota, a większość sobót była wtedy jeszcze dniami pracującymi. Kiedy przed ósmą szedłem do redakcji, właściwie wszystko było po staremu. Pociągi kursowały. Gdy wszedłem do fabryki, słychać było pracujące maszyny. Do redakcji przywieziono „Głos Ursusa”, który był tygodnikiem i który normalnie zabieraliśmy z drukarni w piątki. Nawet zaczęli przychodzić pierwsi kolporterzy, żeby odbierać gazety. Oczywiście, przy okazji opowiadali różne historie o tym, co się działo na terenie fabryki.

Nastaly sądne dni. Chyba w poniedziałek w Domu Kultury wywieszono na planszach zdjęcia, na których byli pokazani strajkujący. To był wielki szok, bo nikt nie spodziewał się tego, że były robione zdjęcia. Podobno jakaś pani chodziła z zapalniczką, przypalała sobie bez przerwy papierosy i prawdopodobnie w taki sposób robiła zdjęcia. Ludzie jeszcze nie byli przygotowani na tego typu pomysły władzy. Do Domu Kultury wołano kierowników i kazano im rozpoznawać podwładnych. Jedni rozpoznawali, a inni zachowywali się przyzwoicie. Rozpoznanych natychmiast zwalniano z pracy. Wiele osób zostało zwolnionych w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Zaczęła się histeria z „warchołami”. Organizowano masowe wiece potępiające robotników Ursusa, Radomia i Płocka. W Warszawie taki wiec odbył się na Stadionie Dziesięciolecia. Przemawiał na nim poeta Stanisław Ryszard Dobrowolski, którego ojciec pracował jeszcze w Ursusie na Woli. Oczywiście potępił „warchołów”. W nagrodę władze wydały mu w kilku tomach dzieła zebrane. Leżały one potem

w księgarniach i nikt ich nie kupował. W końcu poszły na przemiał. W Ursusie masówkę zorganizowano w Domu Kultury, gdzie na sali widowiskowej fabryczni działacze partyjni kajali się i przepaszali Gierka za chuliganów niszczących społeczne mienie.

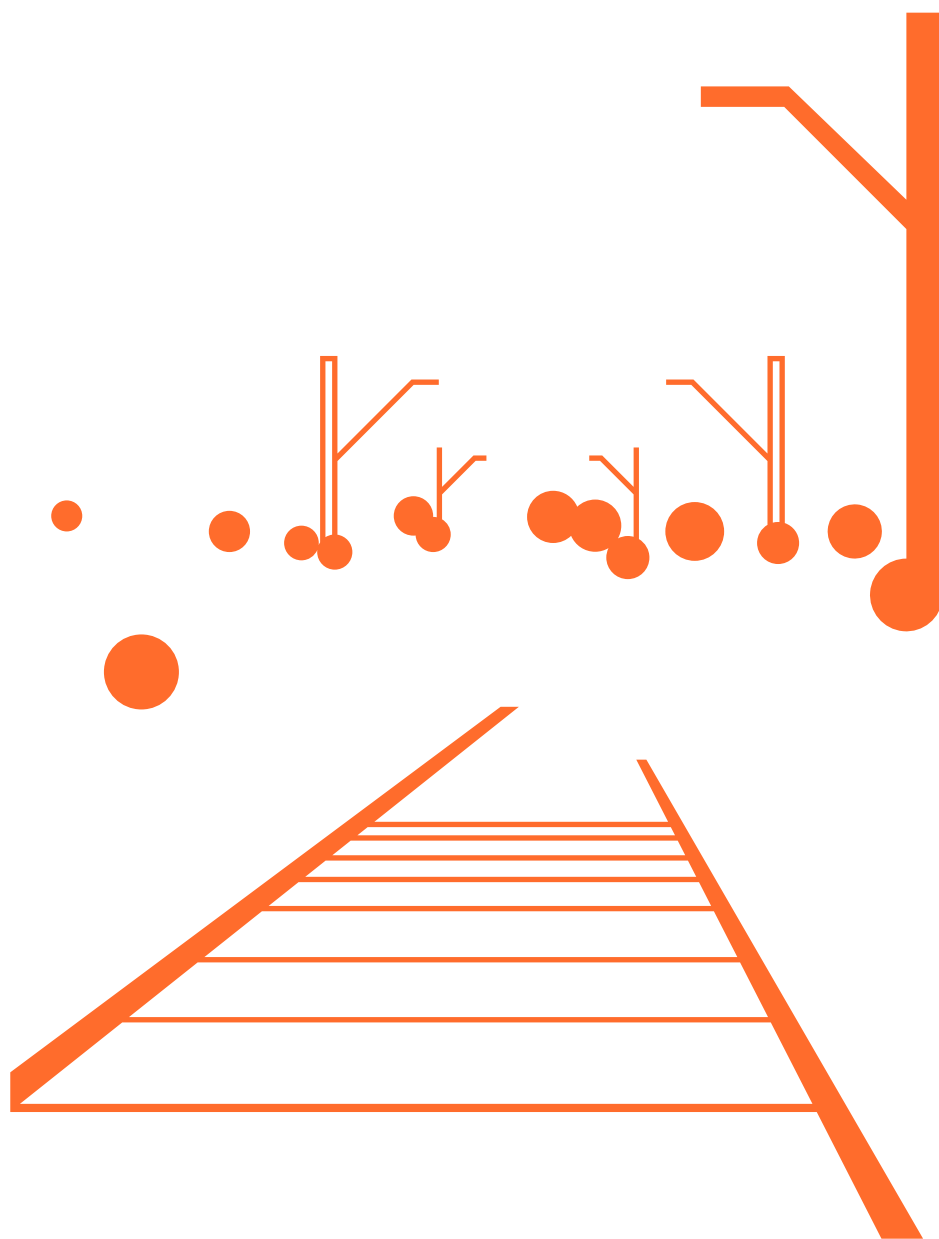
Prawdziwe życie toczyło się w zupełnie innej atmosferze. Opowiadano mi, że w czasie czerwcowego protestu wypoczywał nad morzem jeden z mieszkańców Ursusa. Gdy był na plaży, do pobliskiego mola przybił kuter. Rybak dowiedział się o facecie, przyszedł do niego i dał mu kilka dorodnych węgorzy. „Ja nie pracuję w fabryce, ja tylko mieszkam w Ursusie” – bronił się obdarowany. A rybak na to: „Proszę pana, to nie ma znaczenia, pan jest z Ursusa i to wystarczy”. Również ja miałem ciekawą historię.

**Pojechałem z kierowcą służbowym samochodem do drukarni po szczotki kolejnego numeru „Głosu Ursusa”. Na samochodzie był napis Ursus. Kierowca na chwilę wysiadł, coś tam załatwiał, więc siedziałem sam. Ulicą przechodził gość, okna były otwarte, bo przecież pannawały upały, no i wsadził rękę do samochodu, poklepał mnie po ramieniu i mówi: „Trzymajcie się, chłopaki”.**

To tyle moich wspomnień dotyczących 1976 roku.

#### **Pan Leszek**

Z Ursusem związany byłem od 1 października 1974 roku. Nie pochodzę z Ursusa. Nikt z mojej rodziny nie pracował w Zakładach Mechanicznych Ursus. W dniu czerwcowego strajku pracowałem w przychodni przyzakładowej przy ZM Ursus. Rano jeździłem na staż specjalizacyjny do szpitala



przy ulicy Czerniakowskiej, natomiast później przyjeżdżałem do Ursusa i przyjmowałem pacjentów.

Tego dnia poszedłem ze szpitala na dworzec PKP Powiśle. Ludzie, którzy jechali pociągami w kierunku Dworca Wschodniego, mówili półgłosem: „Ursus strajkuje”. Wsiadłem do pociągu. Zaczęliśmy jechać. Już zaczynały się jakieś problemy z pociągami. To było prawdopodobnie około godziny jedenastej. Nie wiem dlaczego, ale musiałem wysiąść na Ochocie. Tam czekałem na kolejny pociąg, którym dojechałem do Włoch. Od Włoch już nic nie jeździło. Wtedy wyszedłem na tę drogę w kierunku Ursusa (ulica Świerszcza). Jechał mikrobus w tamtą stronę – Żuk – po części zamiennie; podwiózł mnie. I jak już podjechalśmy do tego wiaduktu, nad którym pociągi jadą do Sochaczewa, to za wiaduktem zobaczyłem ogromne zgromadzenie ludzi, którzy stali tam z jakiegoś powodu. Zatrzymany był już pociąg i lokomotywa, przy której coś tam majstrowano. Minałem tłum i poszedłem do swojej pracy. To musiało być po godzinie dwunastej. Dowiedziałem się, że załoga strajkuje i że będziemy dyżurować nie wiadomo do kiedy. Wydaje mi się, że na łuku drogi, która biegnie wzdłuż torów, stało ZOMO czy milicjanci z takimi długimi pałami – chyba mówiło się, że to szkoła z Gołędzinowa. Widziałem wiele strajków i nie jestem dziś do końca pewien, czy to w czasie tego strajku tam stała milicja, czy w czasie następnych. W każdym razie nie było wtedy żadnej interwencji. W pracy miałem oczywiście zapisaną grupę pacjentów, którzy systematycznie przychodzili. Miałem też przerwy. Zgłosiłem się do dyrekcji przychodni

i powiedziano mi, że „zostajemy wszyscy na dyżurze, jest strajk, nie ma innego wyjścia”.

W pewnym momencie widziałem, jak spod wiaduktu jechało kilka samochodów dostawczych. Na jednym duży napis „Jaja”. Tłum zatrzymał ten samochód. Zaczęto wynosić jajka skrzynkami. Podawano sobie te skrzynki. Nawet do nas do przychodni ktoś taką skrzynkę przyniósł i podał przez okno – widziałem to później na zdjęciach, które ktoś zrobił. Jak się później okazało, w innych samochodach dostawczych były nie tylko jajka, ale i chleb i wódka. Tamte samochody również zostały otwarte, ale dalej, w pobliżu stacji kolejowej w Ursusie. Wyglądaliśmy przez okna przychodni, bo nie można było opuszczać stanowiska pracy, ani się przyłączać – nie taka była w tym momencie nasza rola. Dało się słyszeć jakieś przemówienia, ale ogólnie panowała atmosfera raczej pikniku. Było gorąco, niektórzy się opalali, wózkami elektrycznymi podwożono wodę i ją rozdawano. Panował taki dosyć przyjazny nastrój, nie czuło się agresji, ani żadnej przemocy. Opowiadano mi potem, że na początku strajku trochę inaczej to wyglądało, a ja widziałem już sytuację rozładowaną. Cały czas obserwowałem, że pociąg stoi i że próbowano go przyspawać do torów. Potem odłączono lokomotywę i zaczęto ją spychać z toru. Kiedy na torze z Włoch do Sochaczewa pojawił się pociąg, kilkaset osób wybiegło na nasyp, aby go zatrzymać. Wiem, że przedstawiciele SB albo milicji po cywilnemu poprosili dyrekcję przychodni, żeby im pozwoliła pojeździć sanitarką koło tego zgromadzenia i po zakładzie, aby zorientować się w sytuacji. Sanitarka oczywiście z nimi pojechała, a strajkujący przepuszczali ją

bez problemów. Kiedy funkcjonariusze wrócili, poszli przejściem przez piwnice do części dyrekcyjnej budynku. Czy robili zdjęcia? Nie wiem. W każdym razie sanitarka wróciła bez żadnych problemów. W czasie strajku nie było też potrzeby, aby sanitarka jeździła udzielać pomocy. Tak to trwało prawie do wieczora, kiedy w radiowęźle zakładowym ogłoszono, że podwyżki będą odwołane. Pamiętam też, że o dziewiętnastej trzydzieści oglądałem w dyżurce „Dziennik Telewizyjny”. Premier Jaroszewicz był bardzo zdenerwowany. Szary człowiek ze zdenerwowania. Odwołał te podwyżki i ludzie zaczęli się rozchodzić. Ale zanim to nastąpiło, późnym popołudniem część pracowników, które były w pracy od rana, poprosiła dyrekcję przychodni, aby mogły pojechać karetką do domu w Ursusie. Tłumaczyły, że boją się iść obok tłumu strajkujących, który znajdował się na palcu między budynkiem dyrekcyjnym a torami i przed przychodnią. Kierowniczka przychodni oczywiście wyraziła na to zgodę, ponieważ było spokojnie. Wsiadły do tej sanitarki i pojechały. Ale że tłum miał już wtedy informację, że karetką jeździ również SB, zaczęto podnosić tę karetkę do góry. Panie narażiły krzyku, więc opuszczono pojazd i one wysiadły. Jeden z robotników klepnął taką dorodną kobietę w pośladek i powiedział: „A dzisiaj pani magister piechotą pójdzie do domu”.

Tłum zaczął się rozchodzić po ogłoszeniu odwołania podwyżki. Ja również poczułem się zwolniony z dyżuru, tym bardziej że stały dyżurant zostawał na noc. W czasie mojego pobytu w przychodni, mimo że trwał strajk, przyjąłem trzynaście osób – wydałem lub przedłużyłem kilka zwolnień lekarskich. Pomaszerowałem znowu do Włoch,





tą samą drogą, którą dotarłem do Ursusa w południe. Pod wiaduktem widziałem jakieś elementy, którymi zastawiono wjazd – teraz już nikt tego nie pilnował. Kiedy przechodziłem w pobliżu torów, jacyś ludzie biegali w drugim końcu pociągu – chyba goniła ich milicja, słychać było tłuczone szyby. Z relacji moich pacjentów wiem, że jacyś młodzi ludzie wybijali te szyby w pociągu oraz w sklepach w pobliżu stacji, ale raczej była to prowokacja, bo strajk się skończył, ludzie się rozchodzili. Pacjenci mówili mi też, że w sklepach spożywczych i w budynku stacji PKP również były powybijane szyby. Wtedy zapewne wprowadzone zostały siły milicyjne. Z tego co opowiadano, to wyglądało to tak, że szła tyraliera z długimi pałami i tymi pałami bito każdego, kogo napotkano. Bez żadnych tłumaczeń. Był u mnie taki pacjent, który został pobity, choć nie brał udziału w strajku, bo był w kadrze partyjnej albo zarządzającej. Mówił mi, że też szedł z tymi milicjantami. Po co? Nie wiem. Ale kiedy tak szedł, to ktoś go zaczepił. Zatrzymał się, a tyraliera poszła dalej, natomiast kolejna pobiła pałkami obu rozmówców zanim zdołali się wytłumaczyć. Ten pacjent był tak bardzo pobity, że kiedy przyszedł, skóra na jego plecach była prawie czarna. Zresztą następnego dnia i w kolejne przychodzili do mnie pacjenci z wyraźnymi śladami po pałkach na plecach, głowie, rękach czy nogach.

**Wiele osób aresztowano. Na posterunku MO w Ursusie pozamykano ludzi w piwnicy. Przychodzili do mnie po strajku również ludzie z sąsiadujących z posterunkiem domów. Słyszeli krzyki bitych ludzi, co spowodowało u nich rozstrój nerwów.**

W następne dni do rejestracji i lekarzy zaczęli przychodzić pracownicy SB z prośbą, aby pomóc im w identyfikacji osób widocznych na zdjęciach, które były wykonane z ukrycia. Z tego co wiem, pracownicy przychodni jakoś dziwnie nie umieli nikogo rozpoznać na tych zdjęciach. Niektórzy uczestnicy strajku przychodzili potem do przychodni po zwolnienia i pomoc lekarską. Pracownicy SB domagali się, aby dyrekcja udostępniła im dokumentację lekarską osób aresztowanych lub poszukiwanych, ale wtedy także nie spieszo się z pomaganiem im. Taka silna interwencja MO po strajku była dziwna, bo nieuzasadniona. Część osób przeskakiwała przez płot, który był tam, gdzie dziś jest stacja benzynowa przy ulicy Traktorzystów. Kto przeskoczył przez płot, ten nie został złapany przez MO, ale zdarzało się, że skreślił nogę. Takie osoby też do nas przychodziły. Wszystkim udzielaliśmy pomocy. Obu stronom, zgodnie z przysięgą Hipokratesa. Opowiadano mi też, że na początku strajku, kiedy do tłumu wyszedł dyrektor, to jego i towarzyszące mu osoby mocno potargano. Podobnie postąpiono z szefem związków zawodowych, który wewnątrz zakładów próbował nakłonić robotników do powrotu do pracy.

**W następnych dniach odbyły się zebrania na wydziałach ZM Ursus. Szukano prowodyrów strajku. Chciano ich ukarać, zwolnić. Rozeszło się nawet, że ma zostać zwolnione 30% załogi – takie były pierwsze przymiarki. Do tego na szczęście nie doszło. Kiedy zaczęto robić takie rozliczenia na wydziałach i szukano kozłów ofiarnych, to najczęściej przypisywano winę ludziom,**

**którzy byli mało zaradni, na przykład mieli jakieś życiowe problemy.**

Kilka dni po strajku, kiedy miałem dyżur w przychodni, przywieziono mi z jednego z wydziałów pacjentkę, która opowiadała, że została wyrzucona z partii. Mówiła, że ona „bez tej partii żyć nie może”, że ona „popełni samobójstwo, bo ma truciznę jeszcze z wojny”. Z pochodzenia była Rosjanką, a w momentach zdenerwowania ten język rosyjski mocno u niej dźwięczał. Moje rozmowy z nią do niczego nie prowadziły – podtrzymywała, że się zabije. Wysłałem ją karetką do Pruszkowa. Zanim tam dojechała, w momencie mijania swojego domu, wysadziła z karetki sanitariusza, pielęgniarkę i kierowcę. Wrócili do przychodni, a pacjentce trzeba było założyć kaftanik. Znów pojechała do Pruszkowa. Nie minęły dwie godziny, a karetka już wracała razem z nią. Usłyszałem: „Pacjentka została wyleczona”. Pytam: „Jak?”. Ponoć psychiatra zapytał: „Mówi pani, że w tej partii są sami złodzieje i tym podobne. A pani chce do takiej partii należeć?!”. Podobno to wystarczyło, aby się uspokoiła. Takich osób poszkodowanych było dużo. Przychodzili też do mnie ludzie z różnymi problemami zdrowotnymi, które w momencie sytuacji stresowej zawsze się zaostrzają. Zawałów czy udarów na szczęście nie było, tylko reakcje stresowe. Wiem, że nawet koledzy dermatolodzy mieli po strajku interwencje. To był mój pierwszy strajk, ale potem tych strajków w Ursusie obejrzałem wiele. Dyżurowałem podczas ich trwania. Ten pierwszy został mi w pamięci. O ile z tego czerwcowego nie zrobiłem specjalnych relacji, to z następnych napisałem i wydałem publikację w formie

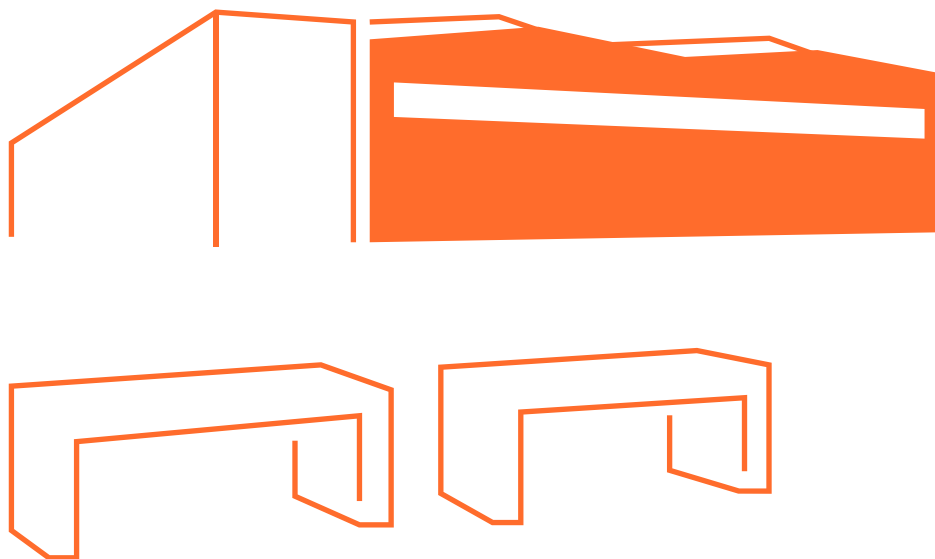
poetyckiej. Przestałem pracować w przychodni przyzakładowej w 1989 roku.

A dlaczego upadły ZM Ursus? Mam na ten temat swoją teorię. Po prostu, kiedy przyszły przemiany, zabrakło intelektualnego przygotowania. Po strajkach i stanie wojennym zwolniono bardzo wiele osób, które prezentowały wyższy poziom wykształcenia technicznego. Po 1989 roku nie było na stanowiskach kierowniczych i technicznych ani jednego dyrektora i kierownika technicznego, który skończyłby normalne studia kierunkowe. Stanowiska te zajmowali ludzie po tak zwanych Sorbonach partyjnych. Nie rozumieli zaleceń, jakie wydawali lekarze, przyjmując do pracy osoby z ograniczeniami zdrowotnymi. Mówili, albo odpisywali, że zakład to nie sanatorium.

Kiedy przyszły reformy Balcerowicza, spytałem jednego z dyrektorów ekonomicznych Ursusa, co on będzie tutaj zmieniał. A on szczerze odpowiedział: „Nic”. Obstawiał, że rządów Balcerowicza będzie pół roku, więc on tymi reformami nie ma się co przejmować. Zakład nie potrafił przystosować się intelektualnie do przemian powodowanych reformami ekonomicznymi. Były różne propozycje rozwoju zakładów. Nie ukrywam, że sam składałem jedną, by produkowano inne rzeczy niż tylko traktory. Ale nikt nie opracował i nie wdrożył prawdziwej reformy, więc zakłady zbankrutowały. Liczono chyba na to, że jakoś to będzie.

# Dzieci fabrycznej dzielnicy

Antek  
Grzegorz  
Mikołaj  
Roman  
Agata



## Antek

Mam na imię Antoni, urodziłem się w roku 1992.

Początek wakacji. Pośród opuszczonych hal fabrycznych, zapiaszczonych ulic szerszych od Alei Jerozolimskich, zarosniętych babką lancetowatą technicznych torowisk, które sprawiały wrażenie jakby zaraz po którymś przejechać miał tramwaj z umarłymi pasażerami (już widzieliśmy ich brody i włosy oplatające zardzewiałe siedzenia), mieściła się strefa naszej autonomii, enklawa przygód i wolności. Warszawa z jej Pałacem Kultury i Łazienkami była daleką krainą, do której jeździło się parę razy w roku z wycieczkami szkolnymi. Tamtego czerwcowego popołudnia Maciek zaprowadził nas do jednej z wielkich, opuszczonych hal fabrycznych stojących przy samych torach. Była to na poły dogorywająca hurtownia sprayów, gdzie dwóch smutnych pracowników zdawało się istnieć poza czasem. Pięćdziesięcioletni mężczyzna w niebieskim, poplamionym farbami drelichu i jego trochę starszy od nas, krótko ostrzyżony, ubrany na sportowo syn sprzedawali wybrakowane towary. Ten może w połowie zmienić kolor, tego jest jakaś jedna trzecia – jednak wypełnione po brzegi brudnymi puszkami pomieszczenie większe od sali gimnastycznej nie mogło pozostać nam obojętne. Sprzedawane po dwa pięćdziesiąt czy trzy złote puszki kupowaliśmy za pieniądze dane przez rodziców na lukrowane bułki, chipsy i Coca-Colę ze szkolnego sklepiku. Solidarnie pobudzaliśmy popyt wewnętrzny ukochanej ojczyzny w czasach bolesnych, ale koniecznych przemian.

Z zakupionymi towarami niezwłocznie udaliśmy się całą piątką kilka hal obok. Atmosfera nielegalnych działań była, jak sądzę, główną motywacją. Nie wiedzieliśmy, czy najpierw napisać Legia, anarchia, czy Peja – słowa te nie miały zresztą żadnych silniejszych konotacji, były zasłyszonymi, pewnie od czyjegoś starszego brata, hasłami. Nie pamiętam już, na czym stanęło. Nie sądzę, żebyśmy byli w stanie przyjąć jakieś generalne wytyczne w tej kwestii. Ja napisałem, tak jak powinno się to słowo pisać, Legia zielonym sprayem. Dla zachowania pluralizmu, końcówce „a” wzięłem zdaje się w kółko. Szybko opuściliśmy halę. Choć nie istniało żadne realne zagrożenie, że ktoś nakryje nas na tych czynnościach, to w piątej klasie nie byliśmy tego do końca świadomi. Serce pukało do gardła. Emocje były tym większe, że nawzajem syciliśmy się opowieściami o bezdomnych narkomanach, skinheadach i tonach zarażonych strzykawek leżących na podłogach opuszczonych hal. Uciekaliśmy co sił w nogach, a potem wsiedliśmy na zostawione na skraju zakładów rowery i ulicą Gierdziejewskiego pognaliśmy w różne strony.

Zostałem z Maćkiem – zmierzaliśmy w tym samym kierunku. Powiedział: „Choć, pojedziemy do Pawła do nowego mieszkania”. Pojechaliśmy. Kilka minut hal fabrycznych szybko zmieniło się w ciąg wczesno gomułkowskiego, odrobinę klasycyzującego modernizmu – tego kanonu regularności, który pozostawał jedyną opoką piękna w dzieciństwie przełomu tysiącleci. Stary Ursus był dla nas niczym gotycka katedra wśród średniowiecznych chałup, niczym jedyna murowana budowla pośród naprędce budowanego

miasteczka. Tu, na zdobionych parterach, mieściły się odwieczne zakłady rzemieślnicze, które już niedługo zabrzmią równie egzotycznie, jak patefon czy monokl – szewc, kapełusznik, repasacja pończoch. Rodząc się na transformujących się, robotniczych przedmieściach, dziecko nie posiada kanonów dostojności i piękna. W ogóle żadnej wizji tego, jak świat powinien wyglądać. Lepi je na własną rękę. Ze strzępków, z byle czego, z podręcznikowego obrazka miasta skonstruowanego wokół wąskich ulic i spójnych pierzei, wizji jeśli nie średniowiecznej, to co najmniej hausmannowskiej, radykalnie dalekiej od otaczającego je ubożego modernizmu. Bylejakość przypadkowych prac rodziców zakleja się z różną skutecznością kombinacjami quasi całościowych narracji, ochłapów „Władcy Pierścieni” i mglistych wyobrażeń gotyckich kamienic okraszonych wpajaną przez siostrę na religii ikoną Marii Panny, nieudolnie łącając pustkę pozostawioną przez najbliższą rzeczywistość.

**Za piętnaście lat pojawi się moda na przemysłowe dziedzictwo i powojenny modernizm. Na razie nikt o tym nie wie. Na razie jedziemy na rowerach ulicą Bohaterów Warszawy, mijając przedwojenne wille oblepione reklamami tak, że ani o willowość, ani o przedwojenność nikt by ich nie podejrzewał. Starzy ludzie i ich niezmieniony od lat sześćdziesiątych Ursus. Ich świat, który ani nas zbytnio nie interesuje, ani go nie znamy, a właściwie po prostu nie zwracamy na niego uwagi.**

Przejeżdżamy przez socjalistyczny plac Tysiąclecia, oś starej części dzielnicy. A tuż obok, na końcu Bohaterów Warszawy, zaczyna się nowa rzeczywistość. Bloki



czteropiętrowe zmieniają się w jedenastopiętrowe, wszystko tu jest sterylnie nowe i czyste, modernistyczny minimalizm zmienia się w transformacyjne wyobrażenie o mieszczańskich fasadach, w późno nowoczesny barok. Ulice zamiast asfaltem wyłożone są kostką Bauma, a sklepy – sklepy są zupełnie inne. Towary dotychczas nam nieznane, szczelnie zapakowane w folię – niczego nie kupi się na wagę. Pracujące w nich panie są średnio czterdzieści lat młodsze niż w sklepach starej części. Waniliowa Coca-Cola – pierwszy raz w życiu ją widzimy. Wszystko wydaje się być czyste, jasne i proste w tym oblanym słońcem baroku. Gdzieś jeszcze ulica niewyłożona kostką, gdzieś jeszcze błotniste kałuże, ale nie zaburza to istotnie obrazu łydki tryumfującej, nowoczesności niby to wyrrywającej z okowów *gemeinschaft*, obrazu tak silnie oddziałyującego na piątoklasistów. Ludzie tutaj nie wiedzą, gdzie są, a właściwie były zakłady, choć mieszkają parę ulic od nich. Nie wiedzą, skąd wzięła się nazwa miasteczka, potem dzielnicy. Wstydzą się mówić znajomym z Żoliborza i Mokotowa, gdzie mieszkają. Rano rodzice jeżdżą samochodami przez zatkane Aleje Jerozolimskie do niebieskich, oszklonych biurowców Ochoty i Mokotowa, a ich dzieci wsiadają w autobus numer 517 kursujący do Śródmieścia, do wielkiej Warszawy, gdzie rozpełzają przed ósmą w różne jego licea i uczelnie. Do Warszawy, która dla nas zaistnieje dopiero za kilka lat.

Na razie cały nasz świat zaczyna się i kończy tutaj, a właściwie, pomijając dzisiejszy wypad do Pawła, kończy się parę ulic wcześniej wraz z ostatnim blokiem z lat

sześćdziesiątych. Dzwonimy domofonem. Paweł schodzi do nas, bierze rower z podziemnego parkingu, instytucji zupełnie nam dotychczas nieznaney. Rowery trzymało się na balkonach, w ogródkach, na klatkach schodowych, a często po prostu w jednym z pokojów.

Tutaj, na jego nowym osiedlu, nie było co robić. Włączyć się po sterylnych ulicach? Zabawiać się w dwunastoletnich flanerów świetlistych witryn? „Jedziemy w trójkę na zakłady” – zdecydowaliśmy szybko. Zbliżała się siedemnasta. Po drodze wpadliśmy do Maćka – mieszkał na skraju zakładów. W ogródku za jego rodzinnym domem zamieszkanym przez rodziców i piątkę rodzeństwa trwał akurat podwieczorek. W altance siedzieli państwo szewcowie i ich znajomi, czterdziestoletni wikariusz pobliskiej parafii i postawny, wąsaty znajomy koło pięćdziesiątki. Ten drugi opowiadał:

– Wtedy, jak rozwieszaliśmy tę gazetkę, to kazali ją nam następnego dnia zdjąć. Przyszedł kierownik Wydziału Maszyn i powiedział, że tamten naczelnik z zarządu kazał zdjąć. Ja mówię: „Niech naczelnik sam tu przyjdzie nam to powie”. To mnie Wiesiek od razu szturchnął, bo chyba za dużo powiedziałem. To się jeszcze jakimiś karami dla całej załogi, co tą gazetkę rozwieszała, mogło skończyć.

– O, Maciek, chłopcy, chodźcie tu, ciasta wam dam – powiedziała zatroskana mama Maćka.

Usiedliśmy obok, nie zakłócając przestrzeni dorosłych, nie chcąc też szczerze powiedziawszy do końca w niej uczestniczyć. Przejęci nieco obecnością księdza zajadaliśmy się obfitującym w poncz makowcem.





– Janek, ja to pamiętam! Wtedy w elektrowni tylko pracowałem, no ale chłopaki wtedy też mówiły, że jest jakaś akcja na torach, zaraz przy basenie, tam na wysokości dyrekcji. Podeszliśmy, ale już po robocie, to całe tory były zablokowane. Chłopaki stały, ognisko rozpalili – ciągnął temat ojciec Maćka.

– I wtedy – to był koniec czerwca, o, coś jak tak teraz – nam zdjęli tę gazetkę. Ale to już i tak wszystko poszło, wszyscy przeczytali. Wiedzieli, o co tam chodzi. To wtedy były te podwyżki. To znaczy oni nie mówili na to podwyżki, ale jak chłopaki od nas wyszły na te tory, to pociąg, chyba z Łodzi albo z Krakowa, do torów przyspawali. Taka akcja wtedy była. Ale to pałować w końcu zaczęli i skończyło się. To znaczy potem jeszcze siedzieli ci od nas – ciągnął pan Janek.

– Aaa! – roześmiał się ojciec Maćka. – Pamiętam, jak Kuroń z tym, z Macierewiczem z Warszawy przyjeżdżali tu do nas. Jakies biuletyny rozdawali, pogadanki prowadzili, to pamiętam. A ty wiesz, pamiętasz, jak tego Andrzeja, tego co jego żona w mięsny na placu pracowała, to wiesz, że on tam na to pałowanie trafił, na te „ścieżki zdrowia”? – usłyszałem specyficzny ton ojca Maćka, więc spytałem:

– Jak to, ale co oni im robili?

– No normalnie – zaśmiał się znowu. – Dzieciaki, nie wiecie, co to jest? Normalnie, ustawiała się milicja w korytarz i lali, lali pałami. Trzeba było parę metrów ładnych między nimi przejść.

– Ale oni to przeżywali?

– A pewnie, jak mieli nie przeżyć! Trochę siniaków było, może któremuś tam rękę złamali. Ale to chyba nawet nie,

choć nie wiem, wszystkiego też się wtedy nie wiedziało.

– Ale za co im to robili? – W tym czasie Paweł i Maciek zaczęli się podśmiechiwać z mojego naiwnego dopytywania. Zrobiło mi się trochę głupio.

– No za co, za strajki! Normalnie przecież.

– Acha – przytaknąłem nieśmiało, nie wiedząc, co to strajki, nie znając logiki wydarzeń, nie mając najmniejszej świadomości, po co można przyspawać pociąg do torów, dlaczego za podwyżki cen żywności należało mścić się na dyrekcji zakładów produkujących traktory, ani po co bić robotników.

– Choć na chwilę, pójdziemy do mnie do pokoju – powiedział konspiracyjnym tonem Maciek. Poszliśmy w trójkę. Paweł wyjął z plecaka świeżo skserowane karty postaci do Neuroshimy.

– O, zaje... – powiedziałem. – A macie kostki?

– No, ja mam jedną – odpowiedział Maciek. – Chyba że brat mi zabrał.

Zabraliśmy się do tworzenia postaci, niemal wyrrywając sobie co chwilę ołówki z rąk.

– O, ja chcę k... być zabójcą mutantów! Zobacz, jakie ma zaje... to działa – krzyknął Paweł.

– Chłopcy, jak wy się wyrażacie? – zza drzwi dosłyszała nas mama Maćka. – Idźcie jeszcze pojeździć na rowerach, puki słońce świeci. Idźcie na rower na zakłady, tam nie ma samochodów.

– O! – zaśmiał się Maciek półgębkiem. – A ty – wskazał na mnie – będziesz szczurem. Zobacz, jak on wygląda. Postapokaliptyczny bezdomny.

Roześmialiśmy się wszyscy.

Jechaliśmy ulicą Posag Siedmiu Panien. Siedmiu przemysłowców, niczym w „Ziemi obiecanej” plus czterech, założyło tę fabrykę w XIX wieku na Woli. Ulicę nazwano zaś tak na cześć ich siedmiu córek. Zafascynowani dziełem pierwszego polskiego noblisty, zmienili rychło, już na początku XX wieku, nazwę na Ursus, co symbolizować miało siłę i prawość chrześcijańskiego gladiatora. W latach dwudziestych zakłady przeniesiono pod Warszawę. Lepszej lokalizacji nie było. Tu łączą się linie kolejowe z Łodzi i ze Śląska. W latach dwudziestych fabrykę otwierał tutaj sam prezydent Mościcki. Nie mamy na ten temat pojęcia, ani nawet żadnych skojarzeń.

Za kilkanaście lat pojawi się moda na robotnicze dzielnice, powojenny modernizm i poprzemysłowe dziedzictwo. Nie wiemy tego. Czerwcowy wiatr w naszych włosach, rozpędzenie się do trzydziestu kilometrów na godzinę na pustej, szerokiej drodze, resztki sprayu leżące w plecaku któregoś z nas – to było w tamtej chwili istotniejsze.

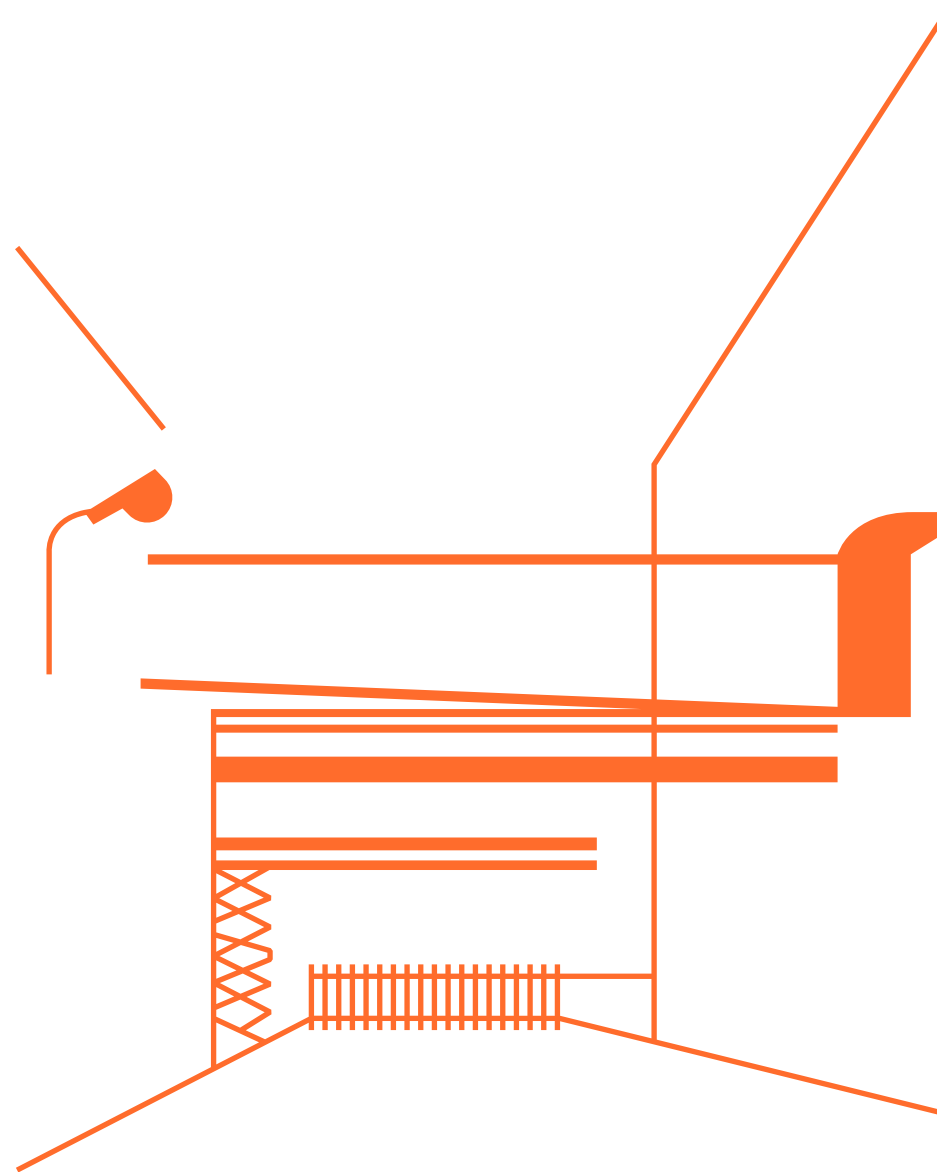
– A ty, jak sobie właściwie wyobrażasz tę Neuroshimę? – spytał Paweł, nie wiadomo właściwie, którego z nas.

– No właśnie, chyba tak jak tutaj, co nie? Te hale, te puste drogi, piach. To chyba właśnie tak jakoś wygląda, co nie? – Odpowiedział Maciek.

– Ale bardziej jak Los Angeles, czy jak Detroit?

– Nie wiem w sumie, jak co bardziej, k... – rzucił, jak to w tym wieku, nieco na siłę. – Ale tylko tu mutantów brakuje, co nie.

**Tekst Antoniego pierwszy raz ukazał się w hałarcie (numer 49).**





**Grzegorz**

Swojej babci niestety nigdy nie poznałem. Zmarła rok przed moimi narodzinami, czyli w roku 1991. Babcia do emerytury pracowała w zakładach i czuła się z nimi bardzo związana. Pierwszą pracą mojego ojca, czyli jej najmłodszego syna, również była praca w zakładach, a konkretnie na modelarni. Modelarnia znajdowała się dużym budynku z czerwonej cegły widocznym po prawej stronie Cierlickiej, kiedy jedzie się tunelem pod torami od strony Starego Ursusa. Z czasu pracy ojca na modelarni mamy kilka pamiątek. Najważniejszą z nich jest żeliwny odlew Ostatniej Wieczery wykonany na maszynie, na której pracował. Odlew jest bardzo duży, formatu A4 i teraz nigdzie nie wisi. Kiedy pogniecie mi się jakiś dokument, przykrywam go tym odlewem i dokument przyjmuje znów swoją formę. To jest coś, co przypomina nam o rodzinnych związkach z zakładami.

W zakładach pracował też mój wujek. Jako inżynier uruchamiając dwie hale produkcyjne w nowo otwartej części fabryki. To były czasy, kiedy zakłady były, w opowieściach moich rodziców, zawsze żywe. Podczas różnych spotkań rodzinnych i na grillach u nas na podwórku pojawiał się w kółko ten temat, na nowo odświeżany i wałkowany. Wspominanie zakładów i dyskusje o tym, dlaczego je rozkradziono.

Życie rodziny koncentrowało się wokół środowiska starych znajomych z dzieciństwa mojego ojca, później z czasów przemian. To były czasy, kiedy zakłady prężnie działały, pracowało tam tysiące ludzi. To były zakłady, które miały tak zwanego Pika (od Wilhelma Piecka,

niemieckiego działacza socjalistycznego) – szkołę, która miała kierunki techniczne ściśle pod pracę w zakładach, na przykład odlewnictwo. Ludzie, którzy się tam kształcili, zostawali potem pracownikami zakładów. Ta szkoła miała internat, więc ludzie z prowincji mieszkali tam i uczyli się do zawodu. Jednym z nich był, późniejszy znany piłkarz i trener, Roman Kosecki. Mieszkał w akademiku i jednocześnie trenował w naszym klubie, RKS-ie Ursus. Piłkarze zamiast „jedyńki” – pensji pierwszego poziomu, jaką otrzymywali młodzi pracownicy – dostawali od razu „trójkę”, czyli pensję trzeciego poziomu, i pracowali przez trzy dni na maszynie, a przez cztery dni mieli treningi. To były czasy, kiedy RKS posiadał zaplecze ludzi, zaplecze finansowe i grał bardzo wysoko – w drugiej lidze. Choć jeszcze rok temu RKS zaszedł wysoko w Pucharze Polski. Graliśmy z Widzewem Łódź i z Górnikami Łęczna – z Górnikami wygraliśmy jeden do zera, to był duży sukces, że udało nam się wtedy awansować. W losowaniu zostały tylko kluby z Ekstraklasy, mogliśmy trafić na Legię, trafiliśmy na Widzew i przegraliśmy jeden do zera. Na mecz poszliśmy z tatą – stadion był pełen, ojciec przybijał piątki ze swoimi znajomymi. Wokół RKS-u wciąż zbiera się stara społeczność dzielnicy, ludzie, którym to nie jest obojętne, dla których to jest część życia, ich wychowanie. Wszystkie ważniejsze wydarzenia sportowe związane z RKS-em są u nas tematem rozmów.

**Przez długi czas miałem kompleks, bo po gimnazjum tutaj w Ursusie poszedłem do liceum na Ochocie. Tutaj chłopaki ze Śródmieścia, z Ochoty – zarówno**

**z dalszej, jak i tej bardziej śródmiejskiej części, bliżej placu Narutowicza – a ja byłem z Ursusa. Bardzo długo miałem wrażenie, że to jest takie małe miejskie. Myślałem tak aż do momentu, kiedy zobaczyłem, jaka wspaniała jest tożsamość tego miejsca. W pewnym momencie zacząłem być dumny z tego, że nie jestem kimś anonimowym, jakim zazwyczaj się jest w Śródmieściu, tylko jestem z dzielnicy fabrycznej, że Ursus daje mi tożsamość.**

Mieszkam bardzo blisko zakładów. Z okna widzę jeden z dawnych zakładowych budynków, ale on jest wyburzany – teraz ten teren należy do Energetyki. Mam widok na wyburzone – zostały dwa piętra, sam narożnik z pogiętymi kawałkami konstrukcji.

Zakłady zawsze były dla nas taką ogromną, dziką przestrzenią. Zawsze czuliśmy duży respekt do tego miejsca. Jak zakłady były świeżo po upadku, to ten teren był ogrodzony. Pamiętam, jak moja ulica była zakończona ogrodzeniem, całkowicie szczelnym. Od razu za ulicą, pierwszy budynek po prawej, to był opuszczony budynek kanalizacji, który należał do kompleksu budynków kanalizacyjnych zakładów. Obszar tego budynku stał się dla nas terenem raczej dzikim, celem zakazanych wypraw. Spotykaliśmy się z wszystkimi dziećmi z ulicy, braliśmy kije jako coś do obrony, przechodziliśmy przez dziurę w ogrodzeniu i tam odkrywaliśmy przestrzenie zakładów – były to nasze pierwsze zakazane wyprawy. Później okolice opuszczonego budynku kanalizacji nazwaliśmy Zbaraż. I to był nasz Zbaraż – urządzaliśmy tam walki na miecze, to znaczy na udające miecze kije. Później

walczyliśmy z pomocą karabinów na kulki. Dwa zespoły, jeden szturmuje budynek, drugi wchodzi innym wejściem...

Potem, kiedy byliśmy już troszkę starsi, już łączyliśmy się w grupy. I ja miałem taką swoją grupę. Wtedy też zaczęło się słuchać hip-hopu i po hiphopowemu ubierać. Spotykaliśmy się zawsze na czwórce – była zbiórka na czwórce i czasami latem padało hasło: „Idziemy na zakłady”. Całą bandą szliśmy na zakłady. Pamiętam taką wyprawę z jednym chłopakiem, który robił taki trochę parkour, który teraz nie wydaje mi się być niczym szczególnym, no bo jaki parkour może robić trzynastoletni chłopiec, ale to już był jakiś parkour. Poszliśmy na zakłady i tam były dwie hale, które stały bardzo blisko siebie. On się pomiędzy nimi zakleszczał i wchodził na górę. Było to dla nas coś niezwykle. Później poszliśmy na kładkę nad torami – ona miała taką gibającą się siatkę. I on na tej kładce robił stójkę na rękach, a ona się tak gibała – szalony, szalony był.

Oczywiście, to były czasy, kiedy zakłady były trochę zakazane, więc gdzie nie szedłeś, to za chwilę słyszałeś: „Ej, co tam robicie?!”. Najgorzej było w okolicach elektrowni, bo tam zawsze ktoś był, ale mieliśmy swoje tajne przejście. Chodziliśmy tam najczęściej latem. Zbieraliśmy się wszyscy na Zbarażu i ustalaliśmy na przykład, że idziemy do Tesco. Szliśmy na Połczyńską do Tesco przez zakłady. Tam się szło i szło. Ja miałem dwa złote, ktoś miał trzy i szliśmy cztery godziny do Tesco. Ale to była wyprawa! Wchodziliśmy do tego Tesco i oglądaliśmy ogromne regały z klockami Lego. To było dla nas duże przeżycie. Później wracaliśmy i tak nam mijał cały dzień. Pamiętam taką wyprawę,

że kiedy mijaliśmy elektrownię, ktoś nagle krzyknął na nas: „Ej, gdzie idziecie?”. Złapali nas ochroniarze i mówimy im: „Idziemy do Tesco”. A oni: „Jak to do Tesco, ile macie pieniędzy?”. „No ja mam dwa złote”. A oni: „To idziecie do Tesco?!”. „Tak, idziemy do Tesco”. Zupełnie się to nie trzymało kupy, ale my szliśmy do tego Tesco.

W pewnym momencie niektóre miejsca stały się dla nas bardzo dobrze znane. Na przykład hale przy Czerwonej Drodze – to wejście na dach znaliśmy już na pamięć. Wchodziliśmy na tył i później drabiną. Ten dach był świetny. Chodziliśmy tam na wagary i kiedy wyszliśmy na górę, nikt już nie był w stanie nas złapać. Były ciepłe, letnie dni, więc siedzieliśmy sobie na tym dachu, który miał ogromną powierzchnię, porównywalną do boiska, i był poprzedzielany takimi szklanymi konstrukcjami, które wpuszczały światło na halę. I tam byliśmy po prostu incognito, nikt o nas nie wiedział, nikt się nas nie czepiał.

Pamiętam, że widzieliśmy różne rzeczy, które działały się po drugiej stronie muru, czyli na zakładach. Widzieliśmy, że to było rozkradane. Wiedzieliśmy, że kradziono kable, że tam było bardzo dużo ćpunów, bardzo dużo strzykawek. Po upadku zakładów koczowała tam masa ćpunów. Palili ogniska, zbierali kable. I jeden dziadek nam mówił: „Słuchajcie, jak znajdziecie torbę kabli, to daję wam czekoladę”. No i później, latem, szukaliśmy tych toreb z kablami – oni gdzieś tam to zbierali, gdzieś sobie zanosili, chowali. I kiedyś znaleźliśmy torby koło Zbarażu, w tym opuszczonym budynku kanalizacji. Przynieśliśmy te pierwsze torby kabli i dostaliśmy upragnioną czekoladę.

I pamiętam też, jak kiedyś z kolegami z gimnazjum weszliśmy na takie wieże strażnicze, które były na końcu zakładów – było takie duże rozwidlenie torów kolejowych, żeby na przykład mogło stanąć kilka takich taborów kolejowych. Tam były takie ogromne wieże, stalowe konstrukcje z płaszczyzną do obserwacji na górze – niczym na statku pirackim – gdzie były kiedyś reflektory, które oświetlały ten teren. To była taka duża konstrukcja. Bardzo dobrze pamiętam, jak ją zdobywaliśmy. Tam trzeba było trochę podskoczyć, żeby się złapać drabinki. Pamiętam wejście, to było niesamowite, bo ta konstrukcja miała jakiś swój promień odchylenia, ze dwa metry. Jak tam wszedłem, to nagle zawiął wiatr, a ona bardzo mocno się zachwiała. Miałem wrażenie, że leci, nie mogłem się utrzymać. Ślimaczym ruchem spelzłem na tę drabinkę i zszedłem jak najszybciej. Piekielnie się bałem, bo ona tak wchodziła w koryto, miała bardzo duże odchylenie, to było straszne. Dzisiaj tego już nie ma.

Pamiętam, jak na końcu zakładów, czyli tam, gdzie były te wieżyczki, była jeszcze masa traktorów. Tam były ze trzy hale – nie wiem, czy produkowano tam części zamienne czy składano te traktory, w każdym razie pamiętam jeszcze ostatnie działające hale. Pamiętam również krótki epizod, kiedy w jednej czy w dwóch halach w Ursusie składano już tylko części produkowane w różnych rejonach Polski. To był chyba ostatni moment, kiedy jeszcze trwało coś z dawnej historii ursuskich zakładów.

Pamiętam też małe samochodziki, które jeździły po zakładach – mam wrażenie, że jeszcze niedawno. Melexy, małe, jakby zabawkowe pickupy. Pamiętam też szerokie

ulice. I wszystkie te historie z naszymi wypadami. Ta historia jako całość jest niepokładana, to jest wrywek mojej tożsamości, która jest związana z zakładami.

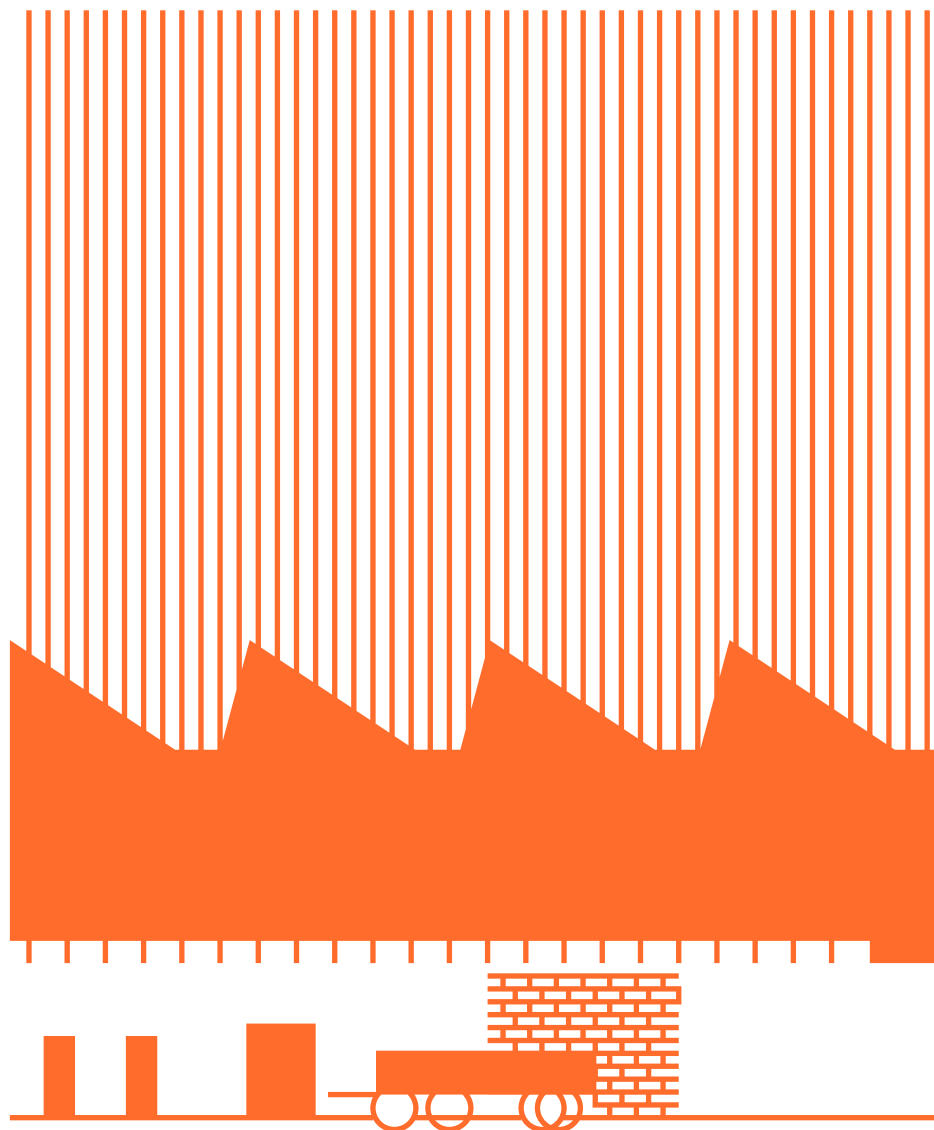
### Mikołaj

Mam na imię Mikołaj, urodziłem się w roku 1993. Pamiętam, jak w dzieciństwie co weekend wracaliśmy wieczorem od babci z Woli, przejeżdżając obok Ośrodka Kultury Arsus. Rodzice zawsze zwracali nam uwagę, żebyśmy patrzyli na, jeszcze istniejący wtedy, neon traktora, któremu kręciły się kółka. Właściwie co tydzień sprawiało to nam ogromną frajdę. Rodzice robili to oczywiście tylko po to, żebyśmy nie zasnęli przed dojechaniem do domu, ale to jest chyba jeden z najmocniej związanych dla mnie obrazów z Ursusem.

### Romek

Mam na imię Romek, urodziłem się w 1993 roku. Mieszkam w Gołąbkach od szesnastu lat i większość wspomnień, jakie mam z dzieciństwa, są związane z Gołąbkami i z zakładami Ursusa. Zakłady w mojej chronologii życia cały czas niszczą. W związku z tym, że mieszkam tak niedaleko – bo wystarczy, że przejdę dwie ulice, by dotrzeć do początku terenu zakładów – to czuję się związany z tymi terenami i są mi bardzo bliskie. Po prostu spędziłem tam dużo czasu.

Pierwsze wspomnienie. Wyobraźmy sobie, że stoimy na placu, przez który kiedyś przetaczały się tysiące, setki tysięcy ciągników. Teraz ten plac jest pusty, albo zawalony jakimiś śmieciami. Widzimy tylko cztery wieżyczki,

















cztery stalowe wieżyczki z małymi pokładami na szczytach. Na przełomie gimnazjum i liceum przesiadywaliśmy tam z kolegami, wspinając się na górę, wskakując po prętach. Każdy z czterema piwami w plecaku albo z czymś takim i po prostu siedzieliśmy tam długie godziny, oglądaliśmy zachód, a czasem nawet wschód słońca. Na dwie z tych wieżyczek udało mi się wspiąć. Teraz drabina jest podcięta, więc to jest bardzo trudne, ale dalej się da. Pamiętam to charakterystyczne uczucie strachu, kiedy się było już w połowie drogi, a był mocny wiatr i ta wieżyczka już zaczynała się chwiać. I wtedy był moment decyzyjny, czy wchodzić na górę, czy zrezygnuję, schodzę i mówię, że nie dam rady, bo jest zbyt niebezpiecznie i po prostu źle się czuję.

Wspomnienie numer dwa. Jesteśmy obok lub w środku hali, którą pamiętam tylko zniszczoną – w przeciwieństwie do wieżyczek, w pobliżu których tętniło jeszcze życie fabryki Ursusa. A tę halę poznałem dość późno, bo jest oddalona od mojego domu i dlatego pamiętam ją od zawsze zniszczoną. Tutaj z kolegą, który studiował operatorkę w Warszawskiej Szkole Filmowej, kręciliśmy jego film „Pościg” z grubym gliniarzem, który z kawą i pączkami w ręku wyrzucił się na słupie podczas pościgu za jakimś typem. Oprócz tego pamiętam jakieś pijackie noce i przesiadywania w straszonym klimacie. Wyobraźcie sobie, jak to wygląda w nocy.

Wspomnienie numer trzy. Teraz jesteśmy w pobliżu miejsca, w którym znajduje się zbiór eksponatów – głównie rzeczy, urządzeń, maszyn, które zostały wyprodukowane w fabryce, nawet od początków jej istnienia. Ale muzeum to jest tylko jedno, może mniejsze wspomnienie związane

z tym miejscem. A drugie, które kojarzy mi się bardzo radośnie, z takimi fajnymi emocjami, to było kiedy dwa albo trzy razy w życiu robiłem tutaj kulig z całym rodzeństwem, którego mam piątkę, z mamą i kilkoma innymi osobami. To mi się kojarzy z fantastyczną zabawą z rodzeństwem, z rodziną i ze spadaniem z sanek na śnieg przy dwudziestu kilometrach na godzinę. Nasuwa mi się takie jedno charakterystyczne wspomnienie momentu, kiedy miałem może czteroletnią siostrę między nogami, obejmowałem ją ramionami i miałem jeszcze puchową kurtkę, więc ona była całkowicie opatulona. I raz spadliśmy przy zakręcie, bo bardzo szybko mijaliśmy zakręt. Spadliśmy z sanek i zacząłem się turlać. Ja byłem cały poobijany, a ona wpadła w najlepszy śmiech, bo jej się nic nie stało – cały ją ochroniłem przed jakimikolwiek obrażeniami i ona się czuła tak, jakby była na karuzeli i cieszyła się. Taki super kontrast był między nami.

Czwarte wspomnienie to miejsce, teren, ulica, która zawiera literkę „s” w połowie swojej długości. Tam uczyłem się jeździć samochodem, a później też motocyklem. I to mi się dobrze kojarzy, bo bardzo lubię jeździć samochodem i motocyklem i aktualnie bardzo za tym tęsknię.

Piąte wspomnienie, to jest kawałek ulicy Gierdziejewskiego między Czerwoną Drogą a Leszczyńskiego. Tutaj kiedyś może nawet kilka razy w tygodniu, rozbrzmiewały ryki takich mocnych silników. Ja tego nigdy nie widziałem, ponieważ byłem bardzo młody – to jeszcze nie był okres w moim życiu, kiedy mogłem włączyć się sam po nocy. Gdy taki okres nastał, to już wyścigi – bo to były wyścigi

na jedną czwartą mili – zostały sprzątnięte przez policję, prawdopodobnie była tam jakaś akcja. Ale pamiętam bardzo wyraźnie w mojej głowie odgłos tych ryczących silników. Co noc, to znaczy tak mi się kojarzy, bo może to było raz w miesiącu. Ale dla mnie jako dziecka to było takie intensywne, tak się wryło w pamięć. Wyścigi odbywały się późno, leżałem w łóżku, często już zasypiałem i zamiast myśleć o liczeniu baranów, ja słyszałem takie wrrr, wrrr. To jest więc takie wspomnienie tylko słuchowe.

A miejsce numer sześć to jest konsorcjum stali, też niedaleko Elektrociepłowni. Tam kiedyś, w gimnazjum chyba albo jeszcze w podstawówce, z kolegami wspięliśmy się na dach i tak skacząc z hali na halę doszliśmy z dwieście metrów dalej, tak mi się wydaje. I pamiętam, że miałem wtedy nowe spodnie i mi się rozdarły na tyłku. Ale bardzo się cieszyłem z tej wyprawy.

### Agata

Mam na imię Agata, urodziłam się w 1992 roku. W zasadzie moje życie od samego początku jest związane z zakładami, bo od urodzenia mieszkam w Ursusie. Moi rodzice, kiedy się urodziłam, pracowali w zakładach Ursus. Tam też się poznali. Ja już od dzieciństwa mam wspomnienia związane z zakładami. Pamiętam, że rodzice często zamieniali się zmianami, więc zabierali wózek ze mną i sobie mnie przekazywali. Tata pracował na pierwszą zmianę, mama na drugą, albo na odwrót. Pamiętam, że w tych czasach zakłady były oddzielone i oni spotykali się pod portiernią – żeby przez nią przejść, trzeba było posiadać przepustkę,

to nie był teren dostępny dla wszystkich, tak jak jest teraz. Jak miałam około pięciu, sześciu lat, to wszyscy dorośli dookoła mówili, że zakłady upadają, że są masowe zwolnienia. Do końca nie wiedziałam, o co chodzi, ale pamiętam, że wszyscy o tym mówili, w sklepach i tak dalej. W ciągu kilku lat od tych wydarzeń zakłady zaczęły się tak właśnie otwierać, portiernia i ogrodzenie zostały zlikwidowane. Pamiętam, że wtedy, jakoś tak jak byłam w gimnazjum albo w liceum, rozpoczęliśmy ze znajomymi pierwsze wycieczki na tereny zakładów. Chodziliśmy po tych opuszczonych halach. Pamiętam nawet, że kiedyś spotkaliśmy tam ochroniarzy, którzy chcieli zadzwonić po policję, bo stwierdzili, że weszliśmy na teren zakładów zupełnie nielegalnie. Ja myślę, że mieli rację, ale te zakłady zawsze były dla mnie bardzo inspirującym miejscem i nie potrafiłam się oprzeć. Chodziłam tam robić zdjęcia – ten klimat był dla mnie niezwykły i nie znałam nigdy drugiego takiego miejsca. Jak byłam już trochę starsza, to zaczęłam sobie zdawać sprawę z tego, że to miejsce jest tak naprawdę bardzo historyczne i że wiąże się z nim wiele ważnych, też w kontekście całej powojennej historii Polski, wydarzeń. O tym też świadczy ten pomnik Czerwca '76, który jest niedaleko Factory.

Jest też taka ciekawa historia o tym, jak moi rodzice się poznali. To mi opowiadała mama. Moi rodzice poznali się w nocy z 13 na 14 grudnia 1981 roku. Oczywiście, był to dzień wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. To wyglądało tak, że oni tam wtedy pracowali, byli właśnie na drugiej zmianie, która miała się skończyć o dwudziestej drugiej, ale trzecia zmiana nie przybyła, więc oni musieli

zostać dłużej w pracy. Wtedy się jeszcze zupełnie nie znali, a mój tata, co należało do jego codziennych obowiązków, wraz z dwoma innymi kolegami, udał się po jedzenie do budynku stołówki, który znajdował się tam, gdzie teraz jest Urząd Gminy Ursus. Bardzo długo nie wracali – już było tak około północy, padał śnieg i było bardzo zimno, ciemno i trochę niebezpiecznie, więc moja mama zaczęła się niepokoić, chociaż nie znała jeszcze wtedy mojego taty, nie wiem jak z tymi pozostałymi pracownikami. Zachowała się trochę bohatersko, bo stwierdziła, że ich poszuka. I wybrała się na poszukiwania. Wyszli razem z takim starszym pracownikiem i okazało się, że na terenie zakładów stoją jednostki ZOMO, że jest ich bardzo dużo, że zajęły całe skrzyżowanie i że pośrodku skrzyżowania stoi taka więźniarka, na której jest reflektor i ten reflektor oświetla budynek, który zajmują działacze „Solidarności”. ZOMO wyprowadzało tych działaczy siłą, oni nie chcieli stamtąd wyjść. Wyprowadzali ich i tylko mówili, kto z nich idzie za bramę, a kto jest pakowany do więźniarki i wywożony. Moja mama zobaczyła tę sytuację, podeszła do dowódcy i zapytała, czy nie widział może pracowników, którzy wyszli po jedzenie. On się obrócił, rozejrzał i mówi, że tam stoją – zostali zatrzymani przez to ZOMO, nie chciano ich przepuścić. Ale wtedy, po rozmowie z moją mamą, ten dowódca powiedział, że dobrze, że mogą przejść. I udało im się razem wrócić do zakładu – obydwójce pracowali na terenie Elektrociepłowni. I tak rozpoczęła się ich znajomość, to była pierwsza okazja do rozmowy. Później zaczęli się spotykać w kawiarniach i tak dalej.

Bardzo zabawne jest to, że dokładnie w czwartą rocznicę tego wydarzenia, 13 grudnia 1985 roku, urodzili się moi bracia bliźniacy. W zasadzie to gdyby nie zakłady, to mnie też nie byłoby na świecie, więc bardzo kocham to miejsce i jest ono dla mnie bardzo ważne. Chciałabym, żeby ten przemysłowy charakter zakładów został zachowany i żeby można było to miejsce identyfikować tak, jak się powinno, identyfikować historycznie, jako Zakłady Mechaniczne Ursus.

# Murale jako jedno z popularnych narzędzi w upamiętnianiu historii

Agnieszka Gorzkowska



189 Murale jako jedno z popularnych narzędzi w upamiętnianiu historii

Murale stały się w ostatnich latach popularną formą upamiętnienia ważnych wydarzeń historycznych, nie tylko w Polsce. Wielkoformatowe grafiki pojawiły się w wielu polskich miastach z inicjatywy różnych osób i instytucji. W dzielnicy Ursus na razie jest zaledwie kilka form malarstwa monumentalnego, jednak czerwcowe strajki z 1976 roku doczekały się właśnie takiego przedstawienia.

W dzielnicy Ursus mamy niewiele przykładów murali. Żaden nie powstał w ramach festiwalu związanego ze sztuką uliczną, żaden nie został też stworzony przez znanego artystę związanego z nurtem street artu. Dominują malowidła kibicowskie, w przeważającej liczbie na osiedlu Niedźwiadek. Ciekawie prezentuje się mural, powstały jeszcze w czasach PRL-u, reklamujący Zakłady Mechaniczne Ursus. Ze względu na walory estetyczne uwagę przyciąga mural reklamowy jednej z siłowni czy artystycznie pomalowany mur przy ulicy Zakątek. Poniżej skupię się na pracach upamiętniających wydarzenia historyczne.

## Mural efemeryda

3 października 2015 zupełnie przypadkowo natrafiłam na kilka młodych osób, które po godzinie 17 pracowały aż do wieczora nad nowym, niewielkim murałem nawiązującym do wydarzeń Czerwca '76. Swoje dzieło malowali w legalnym miejscu, specjalnie wyznaczonym przez Zarząd Dróg Miejskich (na ścianie pod wiaduktem kolejowym przy ulicy Cierlickiej). Autorzy – prosili o nazwanie siebie po prostu „patriotami” – pozostawili na murze upamiętnienie bohaterów Czerwca '76. Jak tłumaczyli, na malunku znalazł się robotnik versus milicjant, a w tle widoczna była też kartka z kalendarza z datą „25 czerwca 1976,



piątek”. Praca wykonana została sprayami bez użycia szablonów. Autorzy żalowali, że nie urzeczywistnili swojego pomysłu w rocznicę strajków, a dopiero cztery miesiące później. Mural okazał się efemerydą – po niedługim czasie, nie przekraczającym nawet pół roku, nastąpiła jego naturalna śmierć – został zamalowany przez następne graffiti. Pozostały po nim jedynie fotografie.

### „Czerwiec '76. Gdyby nie Ursus...”

Do dziś natomiast, w równie widocznym i bardzo uczęszczanym miejscu (na ścianie garażu przy stacji PKP Ursus Niedźwiadek) można podziwiać czerwono-czarny mural „Czerwiec '76. Gdyby nie Ursus...”. Praca zachwyca wielu mieszkańców i gości odwiedzających Ursus. Powstała wcześniej niż nieistniejący już mural pod wiaduktem – w okolicach czerwca 2014 roku, dzięki inicjatywie osób skupionych wokół tak zwanego „Legijnego Ursusa”, czyli kibiców Legii Warszawa z Ursusa. Mimo że mural nie był wykonywany na zamówienie, na przykład Urzędu Dzielnicy, również powstał w legalnym miejscu i trzeba przyznać, że nie szpeci przestrzeni publicznej – wręcz przeciwnie, jest estetyczny i ciekawie zaprojektowany. Wpisuje się „w osobne zjawisko murali kibicowskich – odrzucane” – zdaniem dr Katarzyny Niziołek – „przez środowisko streetartowe, ale w przestrzeni miejskiej liczebnie dominujące i, czemu trudno zaprzeczyć, mocno zakorzenione lokalnie”<sup>1</sup>.

1. Wyborcza.pl (Białystok), „Nie taki mural ładny... Kilka obserwacji o sztuce w przestrzeni publicznej” [online], ostatnia aktualizacja 12.12.2015 [dostęp 13 marca 2016], dostępny w [www: http://bialystok.wyborcza.pl/bialystok/1,35241,19334510,nie-taki-mural-ladny-kilka-obszwacji-o-sztuce-w-przestrzeni.html#ixzz42o1EygSU](http://bialystok.wyborcza.pl/bialystok/1,35241,19334510,nie-taki-mural-ladny-kilka-obszwacji-o-sztuce-w-przestrzeni.html#ixzz42o1EygSU)

### Mural na 40. rocznicę?

„Ze względu na powszechną dostępność murale traktować można jako synonim sztuki naprawdę demokratycznej, która daje możliwość bezpośredniego oddziaływania na przypadkowego przechodnia”<sup>2</sup>. „Wykorzystując miejsca publiczne, bierze się pod uwagę różnorodne konteksty – uwarunkowania geograficzno-urbanistyczne, zaszczości historyczne, naznaczenia społeczne i odwołania kulturowe”<sup>3</sup>. Widać te prawidłowości na naszym rodzinnym, ursuskim podwórku – jeśli upamiętnienie robotników z Ursusa, to najbardziej właściwym miejscem jest nasza warszawska dzielnica. Gdzie indziej owa treść przyjęłaby się lepiej?

### Historyczne strajki na murach

A skupiając się na kontekście historycznym i geograficznym, można wymienić inne przykłady o bardzo zbliżonej tematyce, choćby namalowany w 2011 roku w Poznaniu mural ku czci ofiar Czerwca '56 – dokładnie w 55. rocznicę zrywu robotników (pomysłodawcą i wykonawcą był jeden z kibiców Lecha Poznań). Z kolei w Radomiu na 40. rocznicę strajków w czerwcu 1976 roku, w sąsiedztwie pomnika upamiętniającego protest robotniczy, odsłonięto mural „Zaczęło się w Czerwcu”. Wybrany w ramach konkursu (ogłoszonego przez Prezydenta Radomia) wielkoformatowy obraz zdobi

2. Bieczyński Mat Maria, „Oswajanie sztuki ulicy”, *Arteon* 2011, nr 7 (135), s. 14-16
3. Ryczek Justyna, „Społeczne murale i refleksyjne billboardy”, *Arteon* 2011, nr 7(135), s. 17-19

Warszawa, okolice stacji kolejowej PKP Ursus-Niedźwiadek.  
Mural upamiętniający strajki Czerwca 1976 roku.  
Autorzy muralu: „Legijny Ursus”. Fot. Agnieszka Gorzowska



**GZEWNIOS 76**  
*Gdyby nie Ursus...*

**URSUS**







dwie ściany wieżowca tuż przy skrzyżowaniu ulic 25 Czerwca i Żeromskiego. „W pierwszej części malowidła zobaczymy polskiego robotnika, wpatzonego w przyszłość Polski. Druga część muralu przedstawia splecione ręce symbolizujące międzyludzką solidarność”<sup>4</sup>. Autorami muralu są Sebastian Skarżyński i Przemysław Wójciak – zespół Donut Planet z Wrocławia.

### Ważne miejsce

Wychodząc poza tematykę strajków, ale wciąż mając na uwadze kontekst historyczno-geograficzny, można przytoczyć przykład serii murali o tematyce Powstania Warszawskiego, które znajdują się w stolicy – malowane były przez kibiców Legii Warszawa skupionych w grupie Warsaw FanaticS. Przykład ich pracy znajdziemy w Ursusie w sąsiedztwie stacji PKP Ursus Niedźwiadek. Na uwagę zasługuje również pikselowy obraz Lecha Wałęsy na bloku przy ulicy Pilotów 17d na gdańskim osiedlu Zaspą (właśnie tam wraz z rodziną mieszkał przywódca „Solidarności”), czy, namalowany również na Zaspie, przepiękny symboliką mural Pirstelisa nawiązujący do historii Gdańska i pracujących tam stoczniowców.<sup>5</sup>

4. Radom.pl, „Konkurs na mural rozstrzygnięty” [online], ostatnia aktualizacja 19.02.2016 [dostęp 8 lipca 2016], dostępny w WWW: <http://www.radom.pl/page/4,aktualnosci.html?id=8233>

5. Murale Gdańsk Zaspą, Kolekcja [online], ostatnia aktualizacja 2016 [dostęp 13 marca 2016], dostępny w WWW: <http://mural-gdanskzasp.pl/kolekcja/>



Warszawa, okolice stacji kolejowej PKP Ursus-Niedźwiadek.  
Mural upamiętniający Powstanie Warszawskie.  
Autorzy muralu: "Warsaw FanaticS". Fot. Agnieszka Gorzowska

Warto wymienić też mural powstały w miejscowości Wizna na cześć bohaterskiej obrony tego miejsca we wrześniu 1939 roku, czy murale malowane w Łodzi w ramach trwającego od kilku lat projektu „Dzieci Bałut – murale pamięci”, które mają za zadanie między innymi rozpowszechnić wiedzę z zakresu doświadczeń narodu polskiego, żydowskiego i romskiego w okresie II wojny światowej na terenie Łodzi.<sup>6</sup> Podobną tematykę osadzoną w kontekście miejsca i historii propaguje mural autorstwa Anny Kołbiel i Adama Walasa – przedstawienie przy warszawskiej ulicy Nowolipie sześciu kobiet pochodzenia żydowskiego związanych z dzielnicą Muranów.<sup>7</sup>

Jak mówi Dariusz Paczkowski, ikona street artu zaangażowanego społecznie: „ulica to duża, ogólnodostępna galeria, gdzie nie trzeba kupować biletu”.<sup>8</sup> Ważne, by powstawały malowidła szanujące miejsce i otaczającą architekturę, „a nie spadochrony, czyli bezrefleksyjne prace, które mogłyby równie dobrze powstać gdziekolwiek

6. Dzieci Bałut, O projekcie [online], ostatnia aktualizacja 2016 [dostęp 13 marca 2016], dostępny w WWW: <http://dziecibalut.pl>

7. Wirtualny Sztetl, „Kobiety z Muranowa” [online], ostatnia aktualizacja 3.09.2013 [dostęp 13 marca 2016], dostępny w WWW: <http://www.sztetl.org.pl/pl/cms/aktualnosci/3614,kobiety-z-muranowa/>

8. Jabłonowska-Ratajska Zofia, „Co miasto wyraża”, Artoon 2013, nr 8 (160), s.18-19

Warszawa, ul. Zakątek. Ciekawy artystycznie mural.  
Fot. Agnieszka Gorzowska











MSZEWIC

GMINA WARSZAWA URSUS

BNK M  
MSL L  
SAL T  
Z 1916

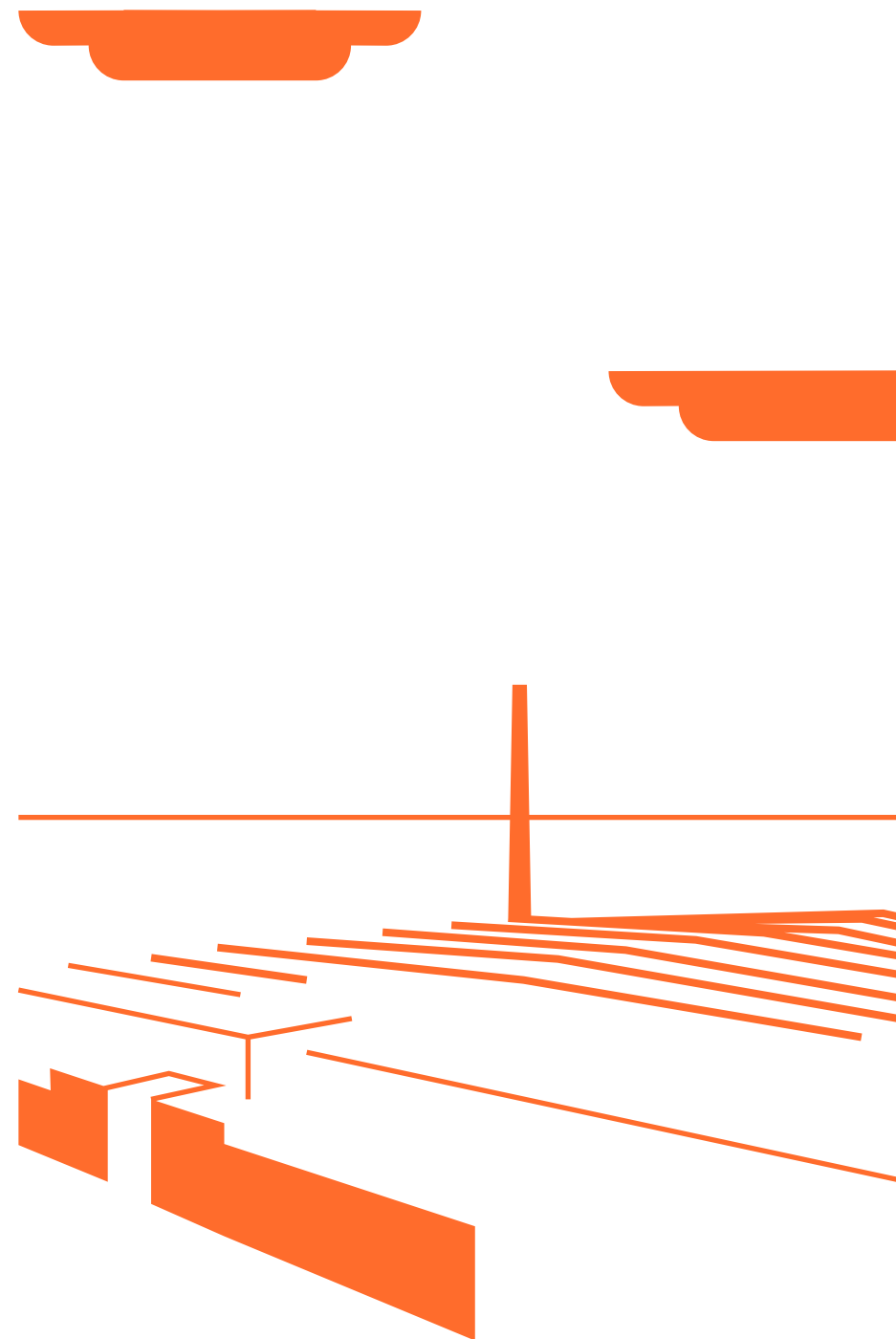
POKROWEK ROZDZINY  
PIZZA  
603 360 070

indziej”<sup>9</sup> – zwraca uwagę Sławomir „ZBIOK” Czajkowski, jeden z najbardziej znanych i cenionych polskich artystów pracujących na pograniczach street artu.

9. Dwutygodnik.com, „Odpusty i murale. Rozmowa ze Zbiokiem” [online], ostatnia aktualizacja listopad 2013 [dostęp 13 marca 2016], dostępny w WWW: <http://www.dwutygodnik.com/artukul/4878-odpusty-i-murale.html>



Warszawa, okolice ul. Cierlickiej.  
Mural reklamowy Zakładów Mechanicznych „Ursus” z czasów PRL.  
Fot. Agnieszka Gorzowska



# Ursus – „Krajobrazy pamięci”

Karolina Izdebska



## Malowane kontrastami

W czarno-białych obrazach eseju filmowego „Ursus” przeszłość i terażniejszość mieszają się ze sobą. Paradoksalnie to przeszłość jest żywa, a terażniejszość martwa. Taka gra kontrastów. Przeszłość: tłum ludzi, głównie mężczyzn, podąża w kierunku głównej bramy fabryki Ursus. W kolejnym kadrze widać tłumy wypełniające wielką halę. Wszystko ujęte w ruchu, maszyny hałasują, ludzie pracują. Na PRL-owskich filmach propagandowych masowa produkcja odbywa się pełną parą. Pięknie prezentują się nowe traktory. Mnóstwo traktorów. A terażniejszość? Cisza i pustka. Straszą zaniedbane i zniszczone hale, dziury w oknach w dachu. Zamiast tłumy ludzi, pojedyncze zdziczałe drzewka, gruz, śmieci i nieudolne graffiti. Jedyne ruch wywołany jest przez wiatr i przelatującego ptaka. Okres wolności po niemieckiej okupacji to złote lata fabryki. Wolność od systemu socjalistycznego paradoksalnie przyniosła jej upadek.

„Tutaj wszystko się dla mnie zaczęło” – zaczyna swoją opowieść o Ursusie Jaśmina Wójcik i zapowiada, że wspólnie z mieszkańcami, sąsiadami i przyjaciółmi zajmie się „mentalnym ocalaniem czegoś, co funkcjonowało przez wiele lat”.

**Artystka staje się tym samym ważnym aktorem w refleksji nad pamięcią upadłego zakładu. W swoich kolejnych akcjach wciela się w rozmaite role społeczne (badacza, słuchacza, mediatora, terapeuty, rzecznika, swoistego „koła napędowego”) i z milczenia wydobywa głosy uobecniające przeszłość fabryki. Nie**



### **zamyka się w pracowni, tylko uaktywnia ludzi związanych z ZPC Ursus.**

Tworząc sztukę zaangażowaną wykorzystuje fakt, że artysta ma większy margines swobody jeśli chodzi o różne działania, szczególnie w miejscach, które nie są kojarzone z kulturą. Artysta jest w odbiorze społecznym uważany za niegroźnego i nieszkodliwego, więc jego działania nie budzą większego sprzeciwu. Artyści coraz częściej przyjmują odpowiedzialność za określone obszary miasta, wnoszą swój wkład w dyskusję na temat konkretnych miejsc i zajmujących je społeczności. Kreowanie i podtrzymywanie przy życiu zagrożonych przestrzeni miejskich skłania twórców do współpracy z innymi aktorami zajmującymi tę przestrzeń i działającymi w niej (Por. Izdebska 2012).

### **Transformacja ustrojowa i „śmiertelność” zakładów przemysłowych**

W 1989 roku w Polsce rozpoczęła się radykalna przemiana systemu społeczno-politycznego. Szczególnie dotkliwie odczuli ją robotnicy przemysłowi, którzy pełnili wiodącą rolę w poprzednim systemie. Władza komunistyczna podkreślała, że wszelkie jej działania mają na celu wyłącznie dobro klasy robotniczej, a co za tym idzie, całego społeczeństwa. Powodowało to, że robotnicy mieli poczucie wyjątkowości na tle innych klas i warstw społecznych. System socjalistyczny w zderzeniu ze światowym wolnym rynkiem okazał się jednak niewydolny. Po 1989 roku pracownicy ZPC Ursus zetknęli się z bardzo podobnymi problemami jak większość zatrudnionych w różnorodnych

zakładach przemysłowych w całej Polsce. Wiele analogii można dostrzec na przykład między Ursusem i Stoczną Szczecińską (Por. Kozłowska 2008).

**Jednym ze zwracających uwagę podobieństw jest ogólne zadowolenie z pracy w tych zakładach. Byli pracownicy Ursusa podkreślają wiele kwestii, które miały na nie wpływ: stałe zarobki, zabezpieczenia socjalne, współpraca między pracownikami, miła atmosfera i tym podobne. Również w Stoczni Szczecińskiej, jak wykazują badania, poziom zadowolenia z pracy był (przynajmniej do 2001 roku) niezmiernie wysoki (Kozłowska 2008: 75). Obok satysfakcjonujących zarobków na zadowolenie z pracy wpływały w tym przypadku czynniki społeczne, takie jak wzajemna pomoc i współpraca, koleżeńska atmosfera w zakładzie, zawarte w nim przyjaźnie, poczucie wspólnoty i tym podobne.**

Aktywność życiową człowieka w istotnym stopniu wypełniają obowiązki zawodowe. Stosunki między współpracownikami i ogólna atmosfera w zakładzie wpływają bezpośrednio na komfort pracy. Dla stoczniowców istotne były między innymi życzliwa postawa innych pracowników, solidarność w konfliktach z przełożonymi, a także poczucie wspólnoty zakładowej (Kozłowska 2008: 109). Podobne wartości podkreślały osoby pracujące w Ursusie. Łączy ich również zadowolenie z miejsca zamieszkania. Zarówno w przypadku Zakładów Ursus, jak i Stoczni Szczecińskiej wyraźny jest związek przedsiębiorstwa z otoczeniem, z miastem (dzielnica), w którym funkcjonują. Przez lata

i fabryka Ursus i Stocznia Szczecińska odgrywały ważną rolę w kształtowaniu lokalnej tożsamości.

Początkowo w nowym systemie oba zakłady na tle wielu innych były raczej w dobrej kondycji, ale w zmieniających się warunkach również one zaczęły mieć kłopoty. Upadłość Stoczni Szczecińskiej SA ogłoszono w 2002 roku mimo faktu, że była wysoko notowana zarówno w kraju, jak i za granicą. Ciągniki produkowane przez fabrykę Ursus są rozpoznawalne i cenione na całym świecie. Wygrywały na wielu międzynarodowych targach. Mimo to zakłady pogrążyły się w kryzysie. Zarówno pracownicy Ursusa, jak i stocznioicy próbują znaleźć winnych zaistniałej sytuacji, których posądzają o brak lojalności w stosunku do zakładów, niewłaściwe sposoby prywatyzacji, złe zarządzanie i tym podobne. Ich zdaniem to nie abstrakcyjna ręka wolnego rynku zabrała im ważny element codziennego życia – pracę, ale właśnie konkretni ludzie poprzez swoje błędne decyzje. „Zachodzące przemiany w klasie robotniczej wywierają duży wpływ na świadomość i opinie panujące wśród robotników. Wielu z nich jest niechętnych wobec reform społecznych. Z jednej strony akceptują rozwiązania gospodarki rynkowej, na przykład konkurencję czy samodzielność przedsiębiorstw, pod warunkiem jednak, że nie godzi to w ich sytuację materialno-bytową. Robotnicy chcą stabilizacji, która im zapewni miejsca pracy. Przed rokiem 1989 chcieli zmiany społecznej i gospodarczej, nowa rzeczywistość okazała się jednak odmienna od tej, której oczekiwali. Wymusza na nich dokonywanie wyborów, do których nie są przygotowani. Wielu z nich trudno pogodzić

się z myślą, że ich pozycja życiowa zależy od nich samych. Trudno im przywyknąć, że ich przedsiębiorstwa stały się śmiertelne” – pisze Urszula Kozłowska (2008: 165).

**Znamienne są słowa jednego ze stoczniovców szczecińskich na temat zaszłych zmian wypowiedziane w 2001 roku (jeszcze przed ogłoszeniem upadłości stoczni): „Wspominając lata poprzednie, to muszę powiedzieć, że były to lata dobre dla nas robotników, bynajmniej ja tak to odczułem i koledzy również, bo nieraz rozmawiamy jak było, oprócz stania w kolejkach to było nieźle – dostawaliśmy mieszkania, premie, nagrody i inne. Koledzy też w tamtych czasach byli trochę inni – bardziej serdeczni. Lata 90. zmieniły profil stoczni bardzo, był to nasz świadomy wybór. Dużo kolegów musiało odejść, dużo zwolniono. Nie jestem wcale rozżalony, bo wiadomo, że kiedyś to musiało nastąpić – teraz mamy demokrację i o to nam chodziło, chociaż stocznia to już nie ta sama stocznia co kiedyś” (Kozłowska 2008: 172). Podobne w swej wymowie są wypowiedzi zebrane przez Jaśminę Wójcik w Ursusie.**

Obydwa zakłady zapisały się również w historii polskich strajków robotniczych. Stocznioicy szczecińscy zainicjowali wystąpienia robotnicze i demonstracje w roku 1970 w związku z regulacją cen towarów i ich podwyżką na artykuły żywnościowe. Również w sierpniowych strajkach w roku 1980 stocznia stała się centrum wydarzeń zachodzących w Szczecinie. Dla Ursusa pod tym względem ważny był rok 1976 i strajk w proteście przeciwko podwyżkom cen żywności. Ten fakt również wskazuje, że są to ważne

miejsca dla lokalnej historii i tożsamości. Cenne dla funkcjonowania zbiorowej pamięci.

Wreszcie oba miejsca, jak wiele obszarów postindustrialnych, inspirują artystów swoimi budynkami, halami, ale też przeszłością, historią pracujących tam ludzi (w nieczynnej stoczni odbyła się między innymi prezentacja instalacji Ludomira Franczaka „Odzyskane”). Nad pustymi wnętrzami unosi się genius loci (duch miejsca).

### Ursus i duch miejsca

W wykreowanej przez artystkę sytuacji pamięć staje się działaniem komunikacyjnym (Por. Assman i Czaplicka 1995) i przybiera formę wymiany narracji o przeszłości. Skrzętnie zebrane opowieści ludzi z Ursusa tworzą specyficzny i dość spójny obraz miejsca. Obraz utkany z osobistych doświadczeń, wrażeń, wspomnień. Ujawnia się w nim szereg aspektów dotyczących relacji z konkretnym miejscem (fabryką), z którym to bohaterowie działania artystycznego są związani i do którego w danym momencie po latach wracają. Miejsce to ma kilka wymiarów. Składają się na nie inni ludzie (współpracownicy, współmieszkańcy, bliscy, przyjaciele i tym podobne), atmosfera społeczna oraz otoczenie materialne w postaci starych budynków, maszyn, traktorów.

**Z jednej strony doświadczenia i wspomnienia z nimi związane mają charakter subiektywny. Z drugiej – odwołują się one do przestrzeni uwarunkowanej kulturowo, która jest też częścią obiektywnej rzeczywistości społecznej. W związku z tym, że podmiotem tej pamięci**

**jest określona zbiorowość, odtwarzane przez artystkę jednostkowe pamięci składają się na tak zwaną pamięć kolektywną (Por. Olick 1999). Dotyczy ona ludzi, którzy pracowali w jednym miejscu i mieli podobne doświadczenia. Pamięć zbiorowa nie tyle odnosi się do indywidualnych doświadczeń biograficznych, ile właśnie bazuje na istniejącym w danej zbiorowości zespole wyobrażeń o przeszłości (Szacka 2006: 44).**

Jaśmina Wójcik przyznaje, że początkowo budynki upadłej fabryki Ursus urzekły ją pod względem estetycznym jako obiekty fotograficzne. Imponująca przestrzeń postindustrialna, stare konstrukcje z czerwonej cegły – takie miejsca mają swoją tożsamość w postaci ducha miejsca, a zatem i potencjał artystyczny. Dopiero reakcja jej ojca na pokazane zdjęcia, jego smutek za przeszłością i wspomnienia kontrastujące ze stanem obecnym, w pełni uświadomiły jej, że przestrzeń fabryki to jednak coś więcej niż tylko piękno starych budynków, ale nikt o tym głośno nie mówi. W związku z tym należało pamiętać o tym dawnym Ursusie obudzić, a co za tym idzie ocalić wspomnienia, zanim na miejscu zrujnowanych fabrycznych hal powstanie nowe osiedle.

### Zapominanie, przypominanie

Przyczyną społecznego zapomnienia staje się między innymi zwykle fizyczne zniszczenie, które zazwyczaj jest rezultatem wychodzenia danych obiektów (na przykład budynków, maszyn) z użycia, czyli zaniku ich pierwotnych funkcji, tak jak to się dzieje w przypadku Ursusa. Dopóki



społeczność odnosiła bezpośredni pożytek z fabryki, podtrzymywała jego istnienie. Kiedy jednak nie potrafiła już przypisać jej użytkowych czy symbolicznych funkcji (bo nikt już tam nie pracuje, nie produkuje), obiekt został skazany na destrukcję, również fizyczną (Por. Golka 2009).

Jednakże żadne miejsce nie istnieje w próżni społecznej. Każde posiada swą pamięć. „Przeszłość odzwierciedla się (...) praktycznie w każdym przedmiocie i zjawisku, które trwa do dziś. W konsekwencji, nośnikiem pamięci o przeszłości, przynajmniej potencjalnej, jest dosłownie wszystko” – pisze Marcin Kula (2002: 7). Wystarczy wysłuchać wspomnień byłych pracowników fabryki, którzy po latach spacerowali po opuszczonych budynkach. Dokładnie odtworzali oni topografię, wskazywali swoje miejsca pracy. „Moja hala jest doszczętnie zniszczona” – ze smutkiem stwierdza jedna z pracownic. Z każdym miejscem wiązały się określone wydarzenia, które potrafiły obudzić zmysły i uczucia (np. zapachy, radość, smutek). Pamięć społeczna ma naturę palimpsestu – tkwi w artefaktach niezależnie od tego, czy powstały po to, aby coś utrwalić, czy z przyczyn czysto instrumentalnych. Warstwa po warstwie odkłada się ona w przestrzeni. Artyści mają świadomość roli tego rodzaju obiektów dla podtrzymania pamięci społecznej, dlatego gromadzą te artefakty, przypisują im nowe funkcje, zwykle symboliczne i w ten sposób starają się ocalić je od zapomnienia.

**Dla pamięci istotnym zagrożeniem jest upływ czasu, który niszczy obiekty i tę pamięć, którą mają wpisane w swoje struktury. Niszczy też pamięć społeczną,**

**której najważniejszym nośnikiem jest zbiorowość. To oczywiste, że szanse na trwanie pamięci społecznej maleją wraz ze starzeniem się i odchodzeniem poszczególnych członków danej zbiorowości.**

Czas zabiera ludzi wraz z ich pamięcią. Parafrazując słowa Jana Twardowskiego można byłoby powiedzieć: „Spieszmy się słuchać ludzi, tak szybko odchodzą”. Jednakże znikanie pamięci komunikacyjnej wraz z odejściem pokolenia, które jest jej nośnikiem, nie oznacza wcale jej ostatecznego zniknięcia ze świadomości kolejnych generacji. Czas sprzyja jednocześnie budowaniu skojarzeń miejsca z wydarzeniami z biografii własnej i osób najbliższych. Pamięć zebrana i zdokumentowana ma szansę na utrwalanie i przekazywanie dalej w przestrzeni społecznej.

**Pamięć miejsca ma zatem podwójne znaczenie. Jest związana z cechą miejsca, bo miejsce przecież „pamięta”. I jest związana z ludźmi, użytkownikami miejsca, którzy o nim pamiętają. Oba rodzaje pamięci są ściśle ze sobą powiązane (Lewicka 2012: 427). I oba przenikają się, wspierają i dopełniają w działaniu Jaśminy Wójcik.**

Pofabryczne budynki Ursusa to typowy przykład środowiska pamięci, o którym pisał Pierre Nora, czy też Conrertonowskiej pamięci typu locus. „Istnieje rodzaj doświadczenia, który może stać się udziałem tylko tych, którzy przebywali w budynku (...) Tylko oni nimi żyli. «żyć» artefaktem to znaczy zawłaszczyć go, uczynić swoim” (Conrerton 2009: 32). Celem artystki stało się więc przede wszystkim uświadomienie ludziom, że ta fabryka to przecież „ich”

miejsce i mają prawo się o nie ubiegać. Nie w sensie prawnym, ale mentalnym. Zresztą w wielu wypowiedziach pojawiają się określenia wskazujące na poczucie takiej mentalnej własności (na przykład: „moja hala”, „mój zakład”).

Z punktu widzenia pamięci zbiorowej pamięć typu umiejscowienie (locus) jest ważniejsza od upamiętnienia, bo jest pamięcią sui generis. Ślady typu locus jest też o wiele trudniej usunąć niż ślady upamiętnienia. Pamięć locus jest pamięcią ucieleśnioną, pamięcią silnie związaną z doznaniem sensorycznymi, zapachami, wrażeniami kinestetycznymi (Por. Lewicka 2012). Reakcje byłych pracowników, którzy wracali do miejsca, w którym w niejednym przypadku spędzili większą część swojego życia są bardzo osobiste i emocjonalne: „Jak patrzę, to aż mi serce pęka! Pęka mi serce, kiedy patrzę na to, co się tam dzieje”, „I to jest ból serca dla człowieka, który to przeżył i widział to, co tu było”, „Boleję nad tym, co się stało. Bardzo boleję!”, „(...) ale chyba najtrudniejszym dla mnie momentem był taki, kiedy oglądałam z bliska zakład, halę, która kiedyś bardzo dobrze pracowała, a obecnie niszczeje. Naprawdę serce się kraje, jak się na to wszystko patrzy!”, „Bardzo kochałam pracę w zakładach. (...) Pracowałam w zakładach przez przeszło dwadzieścia lat. Powiesić tego, co to zmarnował!”, „Szkoda, że to padło. Tu miało zatrudnienie mnóstwo ludzi. Później było żal, jak to wszystko upadło i człowiek mógł wejść, przejść wzdłuż i wszerz i patrzył, jak się robi ruina. (...) Gdy ojciec przeszedł na emeryturę, to go tam ciągnęło, wciąż chodził. Kiedy zakład upadł, to ojciec bardzo to przeżywał, pamiętam”.

Są i tacy, dla których wejście na zrujnowane zakłady jest zbyt wielkim przeżyciem i wolą tego nie robić („Dzisiaj żona w ogóle nie chce tam iść, bo łyzy jej się cisną. (...) Wszystko diabli wzięli”). Żal jest tym większy, że czas spędzony w zakładach jest wspominany pozytywnie. Artystka początkowo myślała, że ci, z którymi rozmawia, koloryzują przeszłość, bo przecież „praca w fabryce nie była sielanką”. Należy jednak wziąć pod uwagę to, że rozmówcom Ursus, stanowiący istotną część ich życia, kojarzy się zazwyczaj z pierwszą pracą, więc również z młodością, z miłością, która narodziła się wśród hal i maszyn fabrycznych, ze zdobywaniem pierwszych zawodowych doświadczeń, z przyjemną koleżeńską atmosferą, z życzliwymi ludźmi i zawartymi tam przyjaźniami. I to właśnie panująca w zakładzie atmosfera i więzi międzyludzkie są w wypowiedziach szczególnie podkreślane. Nie trud pracy, ale relacje między pracownikami. Społeczność Ursusa porównywana jest do rodziny („wiele osób tak wspomina”). Do pracy szło się z zadowoleniem, bo praca „to była przyjemność”. Na porządku dziennym istniała wzajemna pomoc, zrozumienie i szacunek. Starsi stażem wprowadzali w tajniki zawodu młodszych. Cementowaniu więzi sprzyjały wspólne wycieczki, wczasy, grzybobrania. Zakład, jak wiele w tamtym okresie, dysponował bardzo dobrym zapleczem socjalnym, co wpływało znacząco na komfort pracy i codziennego życia („Ta opieka socjalna była naprawdę pełna, a praca w zakładzie gwarantowała normalne, spokojne życie”). Ursus zapewniał pracownikom mieszkania, dzieci odprowadzało się do przyzakładowego przedszkola, na święta były paczki

pod choinkę, a w Dzień Kobiet zawsze kwiaty i rajstopy (które były przecież towarem deficytowym). Obiady jadło się w zakładowej stołówce, o której tak mówi pani Mariana: „Stołówkę mieliśmy przepiękną, to była stołówka nad stołówki”. Prawie nikt nie narzekał wówczas na zarobki. Nie były to nie wiadomo jakie pieniądze, ale w tamtym czasie dawały poczucie stabilizacji. Poza tym „zawsze można było wziąć pożyczkę”. „Dbano o człowieka, każdy otrzymywał posiłki i wypłaty były bieżące, nigdy nie było jakichś uchybień, zawsze płacono w terminie, zawsze było i na wszystko było. Wszyscy byli szanowani, jakoś tak inaczej to wyglądało.” – wspomina jedna z pracownic, porównując warunki panujące w dawnym Ursusie do pracy we współczesnych firmach. Wówczas sytuacja zakładów była stabilna. Nie trzeba było martwić się, że z dnia na dzień zostanie się bez pracy i środków do życia. Nie było też napięć, które dziś wywołuje w wielu firmach wzajemna konkurencja i tak zwany wyścig szczurów.

**Można zauważyć, że zebrane wspomnienia kontrastują z potocznym wyobrażeniem pracy w fabryce jako ciężkiej, monotonnej, mechanicznej, nie dającej satysfakcji.**

Przypominają one wręcz modelowy przykład przedsiębiorstwa przemysłowego w ustroju socjalistycznym: „Przedsiębiorstwo przemysłowe w ustroju socjalistycznym, zamiast systemu walki i sprzeczności antagonistycznych tworzy układ współdziałania i współzależności (...) – pisał Franciszek Krzykała we „Wprowadzeniu do socjologii socjalistycznego przedsiębiorstwa przemysłowego” (1975: 43). Autorzy opowieści nie mówią jednak o formalnej organizacji

zakładu, ale raczej o więziach nieformalnych. Dla nich to, co składa się na fabrykę, to przede wszystkim ludzie i ogólna atmosfera. Nie jest to nic zaskakującego, bowiem w badaniach dotyczących przywiązania do miejsca dla niektórych bardziej istotne stają się cechy ludzi niż miejsc, czyli wspomniane czynniki społeczne, na przykład siatka lokalnych relacji/więzi społecznych (Por. Lewicka 2012: 232).

**Relacje między pracownikami to specyficzny rodzaj kapitału społecznego, a przywiązanie do społeczności to jednocześnie doświadczanie wspólnotowości i doświadczanie miejsca. Wiele zawiązanych w Ursusie więzi przetrwało zresztą do dziś. W trakcie procesu tworzenia się zbiorowości społecznej zakładu wytworzyła się swoista zasada odrębności, wyrażająca się w poczuciu „my”. Ukształtował się też określony wzór moralny związany z realizacją wyznaczonych ról i funkcji społecznych oraz normy zbiorowego współżycia. Stosunki międzyludzkie, w przeciwieństwie do stosunków społecznych, mają za swoją podstawę warunki subiektywne, to znaczy kształtowane są przez członków określonych grup społecznych występujących na przykład w zakładzie pracy.**

Obok ukształtowanych więzi o przywiązaniu do miejsca świadczy czas przebywania w danym miejscu. Zakład pracy to przede wszystkim ludzie. Ich zasługą jest wizerunek zakładu, jego pozycja, wpływ na region, w którym funkcjonuje. Niektórzy z ursusowskich bohaterów przepracowali w zakładzie kilkadziesiąt lat. Przez zakład przewinęło się kilka pokoleń pracowników. Całe życie codzienne pracowników



związane jest z dzielnicą Ursus, która jest integralnie połączona z fabryką. Fabryka stanowiła jej serce, a zabudowania powstawały stopniowo „jak słoje wokół fabryki, każdy etap rozwoju fabryki dodawał nowe elementy w budownictwie tego osiedla” – opowiada Jerzy Domżański. Terytorium jest ważnym narzędziem organizującym przeszłość. Procesy kształtowania się wspólnoty oraz jej wielopokoleniowe trwanie sprawiają, że przestrzeń geograficzna staje się przestrzenią symboliczną wypełnioną znaczeniami osobistymi i zbiorowymi oraz wspomnieniami. Utrwalają one związek wspólnoty z terytorium wspólnego zamieszkiwania. Wpływają na kształtowanie się tak zwanego „krajobrazu pamięci”. Terytorium tego rodzaju jest przez członków grupy uznawane za wspólne dobro i za „domenę symboliczną”, obszar, nad którym chcą oni panować w wymiarze symbolicznym (Nijakowski, za: Kwiatkowski 2012: 90).

### **Pokoleniowe „krajobrazy pamięci”**

W odniesieniu do ursusowskich zakładów nakładają się na siebie krajobrazy pamięci kilku mieszkających tam pokoleń. Ursusowska tożsamość najstarszego, średniego i najmłodszego pokolenia odzwierciedla się we wspomnieniach o działającej, upadającej i upadłej fabryce.

Byli pracownicy utożsamiają się z fabryką. Mówią o niej z dumą i podkreślają jej ówczesną potęgę. Praca w Ursusie dawała prestiż, ludzie się o nią ubiegali. Jedna z pracownic opowiada jak zdeterminowana napisała bezpośredni list z prośbą o przyjęcie do pracy, choć wiedziała, że nie ma nowych miejsc do obsadzenia. I tę pracę dostała. Inna

podkreśla: „Ursus to znaczy niedźwiedź, niedźwiedź to znaczy Quo Vadis, to znaczy Sienkiewicz. Ursus, ten wielki siłacz, mocarz z Quo Vadis – stąd się wzięła nazwa Ursus, innego wytłumaczenia nie ma. Ten, kto nigdy nie pracował w zakładzie przemysłowym, nie wie, że to jest magia”. Mówi się o estymie, szacunku do kierowników i inżynierów. Niektórzy podkreślają, że dla nich praca w Ursusie była związana z rodzinną tradycją (bo pracowały tu kolejne pokolenia: najpierw dziadek, potem ojciec, ciocia i tym podobne). O swojej pracy opowiadają z pasją, jak na przykład pani Marianna, dla której dzienny przerzut siedmiu i pół tony to była „pestka” („Bardzo kochałam pracę w zakładach”). Dumni są też z wyprodukowanych w Ursusie i sprzedawanych na cały świat ciągników, które na targach zdobywały nagrody: „Nasze ciągniki były wprost cudowne”.

**W fabryce Ursus, obok codzienności, miały również miejsce zdarzenia, które zapisały się w wielkiej historii. Chodzi o rok 1976 i słynne strajki w proteście przeciwko podwyżkom cen żywności. Wspomnienia pracowników Ursusa dotyczące tych wydarzeń stanowią reprezentację potocznej pamięci o przeszłości. W wielu miejscach są chaotyczne, fragmentaryczne, nasycone emocjami. Nie są to opisy analityczne, usystematyzowane i krytyczne, które charakterystyczne są dla profesjonalnej historii, ale oddają one atmosferę tych dni. Ludzie pamiętają takie szczegóły, jak pogoda, strach, że nie zdąży się odebrać dziecka z przedszkola, że ktoś rzucał jajkami, że słycać było nienaturalną w tym miejscu ciszę, bo maszyny stanęły.**

Pojawia się też żal do niektórych liderów „Solidarności”, że mimo obietnic nie uchronili fabryki od upadku.

Młodzież urodzona w początkach lat 90. pamięta wszechobecne rozmowy dorosłych o upadku zakładów i masowych zwolnieniach. Tak naprawdę dopiero dzisiaj próbują odtworzyć ich sens. Mają też w głowach opowieści rodziców o miłościach i przyjaźniach, które narodziły się w zakładach, o przyzakładowym przedszkolu, wczasach, strajkach i ich konsekwencjach. O tym, jak kolejno pracowali tam dziadkowie, rodzice, wujkowie, ciotki. Opowiadają o przechowywanych w domach pamiątkach związanych z Ursusem: „Babcia do emerytury pracowała w zakładach i czuła się z nimi bardzo związana. Pierwszą pracą mojego ojca, czyli jej najmłodszego syna, również była praca w zakładach, a konkretnie na modelarni. (...) Z czasu pracy ojca na modelarni mamy kilka pamiątek. Najważniejszą z nich jest żeliwny odlew Ostatniej Wieczery wykonany na maszynie, na której pracował”.

Kiedy mieli po kilkanaście lat, upadłe zakłady stały się dla nich obszarem eksploracji, zabaw, inicjacji nikotynowo-alkoholowych, przygody i wolności. Z jednej strony było to miejsce zakazane, szczególnie „dzika przestrzeń”, w której przebywanie jest nielegalne, napawa dreszczykiem emocji i w której trzeba uważać, aby nie zostać nakrytym: „Zakłady zawsze były dla nas taką ogromną, dziką przestrzenią. Zawsze czuliśmy duży respekt do tego miejsca”. Z drugiej stanowiła przestrzeń wolności, „strefę autonomii”, świetną na wagary. Przestrzeń, gdzie przez dziurę w płocie przechodziło się w inny świat. Gdzie zapominało się o rodzicach,

o szkole, gdzie pozostawało się niezauważonym: „I tam byliśmy po prostu incognito, nikt o nas nie wiedział, nikt się nas nie czepiał”. Wielkie opuszczone hale rozbudzały wyobraźnię. Stawały się „Zbarażem”, scenerią filmową, obiektem fotograficznym, terenem młodocianych graffiściarzy, ryzykownych wspinaczek po stalowych konstrukcjach. Mit miejsca wzmacniały krążące opowieści o mieszkających tam bezdomnych, łowcach fabrycznych skarbów (na przykład kabli, złomu) i snujących się narkomanach.

Młodzi szczerze wyznają, że był czas, kiedy wstydzieli się przyznawać, że pochodzą z Ursusa i tam mieszkają. Szczególnie kiedy zaczęli dojeżdżać do szkół do centrum Warszawy i konfrontować się z młodymi z innych dzielnic: „Tutaj chłopaki ze Śródmieścia, z Ochoty, (...) a ja byłem z Ursusa. Bardzo długo miałem wrażenie, że to jest takie mało miejskie”. Nie obchodził ich też wówczas świat starszych, który toczył się wokół wspomnień z lat świetności zakładów. Ursus, choć jest dzielnicą Warszawy, wydawał im się prowincjonalny. „Wielka Warszawa” była gdzie indziej. Odczuwali różnice nawet w porównaniu z napływowymi mieszkańcami nowych ursusowskich osiedli, którzy często nie wiedzą gdzie właściwie były zakłady, skąd się wzięła nazwa Ursus i w zasadzie traktują dzielnicę wyłącznie jako sypialnię.

**Młode pokolenie dopiero z czasem zaczęło utożsamiać się z pofabryczną dzielnicą. Po części związane jest to z narastającą modą na industrializm, po części z pojawiającą się potrzebą zakorzenienia, rozwijania poczucia tożsamości. Dziś twierdzą, że są dumni z tego, że stąd pochodzą. Czują, że od urodzenia wpisani są w to**

miejsce. Miejsce, które jest „jakieś”, jest szczególne, ma swoją historię. Zaczynają rozumieć, że ich dzieciństwo i wczesna młodość są ściśle związane z Ursusem i z jego dawnym sercem – fabryką. Kochają je i chcieliby, aby zachowało ono swoje przemysłowe dziedzictwo.

### Odtwarzanie codzienności

Nie jest możliwe utrwalenie całej pamięci, ale możemy z różnych elementów stworzyć w miarę spójny obraz przeszłości.

**Uobecnianie przeszłości przez bezpośrednich świadków umożliwia jej autentyczne, zmysłowe doświadczanie. Poprzez sam akt wspominania ludzie odzyskują świadomość minionych wydarzeń. Innymi słowy, mają doświadczenie przeszłości. Warstwy pamięci przechowywane przez kolejne pokolenia nakładają się na siebie. Odbiorca „Spaceru akustycznego” Jaśminy Wójcik, wchodząc za nią na teren byłych ZPC Ursus, wchodzi w określoną sytuację, w inną przestrzeń, odseparowuje się od codzienności. Staje się słuchaczem i odkrywcą ducha miejsca. W teraźniejszości przeżywa przeszłość i przetwarza przestrzeń na potrzeby swojej pamięci, bo on przecież też zapamięta Ursus w określony sposób, gdyż współtworzy wszelkie przeżycia i znaczenia, które generuje dane zdarzenie. W tym przypadku tradycyjnie rozumiana rola publiczności zmienia się od biernych działań związanych z dekodowaniem nadawanych treści do czynnego wejścia w kontekst, gdzie znaczenia nie tyle się komunikuje, co tworzy, kwestionuje i negocjuje (Carlson 2007: 308).**

Wspomnienia byłych pracowników Ursusa związane są przede wszystkim z okresem PRL-u. Jak zauważa Kaja Kaźmierska (2012), wciąż jeszcze brakuje w dyskursie prywatnym i publicznym narracji z tego okresu. Wskazuje ona kilka zasadniczych przyczyn tego stanu rzeczy. Jedną z nich jest fakt, że pokolenie urodzone w latach 1945-1955 (biograficzny nośnik tego czasu) dopiero wchodzi w fazę cyklu życia, w której pojawia się konieczność budowania wspomnień o przeszłości. Drugiej przyczyny Kaźmierska upatruje w braku kulturowego wzorca budowania narracji o czasie PRL-u. Po trzecie wreszcie, jest to doświadczenie rozciągnięte w czasie, oswojone i zdefiniowane jako normalne życie, które nie jest łatwym tematem do narracji. Ludziom wydaje się, że w ich codzienności nie ma nic interesującego, brakuje niezwykłych zdarzeń budzących emocje.

Prawdopodobnie w najbliższym czasie pamięć o PRL-u będzie się dynamizować. Zebrane wspomnienia ludzi z Ursusa wydają się być swoistym preludium tego procesu.

### Bibliografia

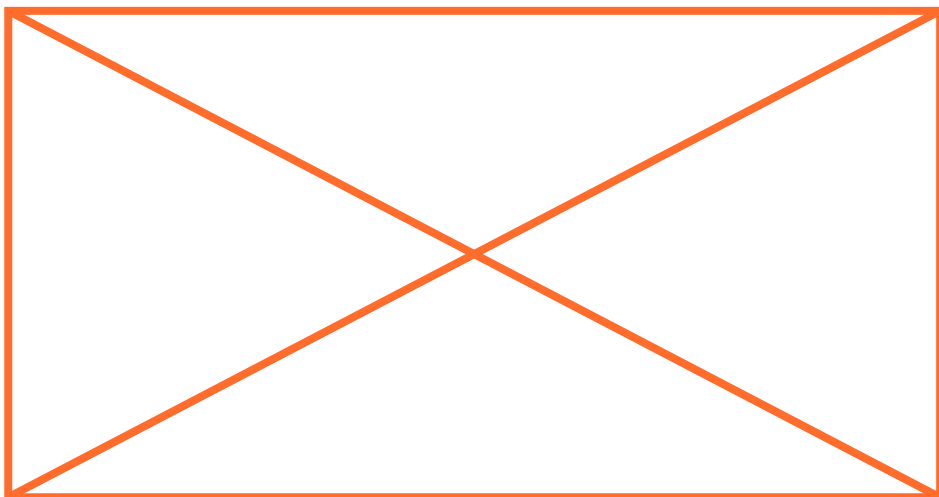
- Assman J., Czaplicka J., „Collective memory and cultural identity”, „New German Critique” 65/1995, s. 125-133;
- Carlson M., „Performans”, PWN, Warszawa 2007;
- Connerton P., „How Modernity Forgets”, Cambridge University Press, Cambridge 2009;
- Golka M., „Pamięć społeczna i jej implanty”, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2009;

- Hirszel K., „Robotnicy i inżynierowie. Postawy wobec pracy i wybranych wartości społecznych”, Książka i Wiedza, Warszawa 1983;
- Izdebska K., „Po wstędze Moebiusa. Miejskie działania artystyczne jako próba recyklingu przestrzeni publicznych”, „Opuscula Sociologica” nr 2/2012, s. 45-59;
- Kaźmierska K., „Współczesna pamięć komunikacyjna kulturowa. Refleksja inspirowana koncepcją Jana Assmanna”, w: „Kultura jako pamięć. Posttradycyjalne znaczenia przeszłości”, Hałas E. (red.), Wydawnictwo Nomos, Kraków 2012;
- Kozłowska U., „Stoczniowcy Szczecina w procesie zmian społecznych. Studium socjologiczne Stoczni Szczecińskiej SA”, Wydawnictwo Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 2008;
- Krzykała F., „Wprowadzenie do socjologii socjalistycznego przedsiębiorstwa przemysłowego”, PWN, Warszawa 1975;
- Kula M., „Nośniki pamięci historycznej”, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2002;
- Kulpińska J. (red.), „Socjologia przemysłu. Wybór tekstów”, PWE, Warszawa 1974;
- Kwiatkowski P. T., „Kategoria przeszłości w potocznej pamięci zbiorowej”, (w:) Hałas E. (red), „Kultura jako pamięć. Posttradycyjalne znaczenia przeszłości”, Wydawnictwo Nomos, Kraków 2012;
- Lewicka M., „Psychologia miejsca”, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2012;
- Melchior M., „Śladami lokalnej przeszłości – pamięć jako przedmiot animacji kultury”, w: „Kultura jako

- pamięć. Posttradycyjalne znaczenia przeszłości”, Hałas E. (red.), Wydawnictwo Nomos, Kraków 2012;
- Olick J. K., „Collective memory: The two cultures”, „Sociological Theory” 14/1999, s. 333-348;
- Szacka B., „Czas przeszły, pamięć, mit”, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2006;
- Szpociński A., „Formy przeszłości a komunikacja społeczna”, (w:) Szpociński A., Kwiatkowski P. T., „Przeszłość jako przedmiot przekazu”, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2006;
- Trzeciak M., „Stosunki środowiskowe przedsiębiorstwa przemysłowego”, PWN, Warszawa 1973.



## Spis fotografii



str. 12–13, 14–15, 18–19, 20–21:

Fabryka „Ursus” w Czechowicach (lata 1921–1939). Narodowe Archiwum Cyfrowe;

str. 38–39:

Warszawa, 24–30.05.1977. Głodówka członków i współpracowników KOR-u (Komitetu Obrony Robotników) w kościele św. Marcina w Warszawie w proteście przeciwko przetrzymywaniu w areszcie pięciu robotników z Radomia i Ursusa oraz członków i sympatyków KOR-u. Na zdjęciu uczestnicy głodówki; od lewej w dolnym rzędzie: Jerzy Geresz, Henryk Wujec, o. Aleksander Hauke-Ligowski, Tadeusz Mazowiecki (rzecznik głodujących), Lucyna Chomicka, Stanisław Barańczak; w górnym rzędzie: Ozjasz Szechter, Joanna Szczęsna, Bogusława Blajfer, Zenon Pałka, Eugeniusz Kloc, Kazimierz Ćwitoń, Barbara Toruńczyk, Bohdan Cywiński, Danuta Chomicka. Zbiory Ośrodka KARTA (z archiwum Eugeniusza Kłoca, przekazał Jan Strękowski);

str. 54–55, 56–57:

Zdjęcia wykonane przez Służbę Bezpieczeństwa PRL w czasie protestu w Ursusie. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej;

str. 64–65:

List gończy Milicji Obywatelskiej. Archiwum prywatne Zbigniewa Janasa;

str. 76–77, 78–79:

Zdjęcia wykonane przez Służbę Bezpieczeństwa PRL w czasie protestu w Ursusie. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej;

str. 84–85:

Warszawa, 1.05.1987. Pochód pierwszomajowy na placu Zwycięstwa (obecnie plac Piłsudskiego), na zdjęciu maszerują

pracownicy Zakładów Mechanicznych Ursus. Fot. Edward Grochowicz, zbiory Ośrodka KARTA;

**str. 120–121:**

Wezwanie do zapłacenia grzywny. Archiwum prywatne Tadeusza Dominika;

**str. 122–123:**

Zaświadczenie z Zakładu Metalurgicznego ZM „Ursus”. Archiwum prywatne Tadeusza Dominika;

**str. 124–125:**

Wezwanie do odbycia kary aresztu. Archiwum prywatne Tadeusza Dominika;

**str. 158–159:**

Zdjęcia z archiwum prywatnego Romana Kawęczyńskiego;

**str. 172–173, 174–175, 176–177, 178–179:**

Zimowe zabawy na terenach byłej fabryki Ursus. Zdjęcia z archiwum prywatnego Romana Kawęczyńskiego;

**str. 190–191:**

Warszawa, okolice stacji kolejowej PKP Ursus-Niedźwiadek. Mural upamiętniający strajki Czerwca 1976 roku. Autorzy muralu: „Legijny Ursus”. Fot. Agnieszka Gorzkowska;

**str. 192–193:**

Warszawa, okolice stacji kolejowej PKP Ursus-Niedźwiadek. Mural upamiętniający Powstanie Warszawskie. Autorzy muralu: „Warsaw FanaticS”. Fot. Agnieszka Gorzkowska;

**str. 196–197:**

Warszawa, ul. Zakątek. Ciekawy artystycznie mural. Fot. Agnieszka Gorzkowska;

**str. 198–199:**

Warszawa, okolice ul. Cierlickiej. Mural reklamowy Zakładów

Mechanicznych „Ursus” z czasów PRL. Fot. Agnieszka Gorzkowska.

### Podziękowania dla:

Pawła Barańskiego, Mikołaja Bendyka, Edwarda Chmielaka, Kazimierzy i Tadeusza Dominików, Jerzego Domżańskiego, Tadeusza Fidowicza, Agnieszki Gorzkowskiej, Jerzego Gorzkowskiego, Antoniego Grzeńczyka, Karoliny Izdebskiej, Łukasza Izerta, Zbigniewa Janasa, Izabeli Jasińskiej, Romana Kawęczyńskiego, Pat Kulki, Wandy Kołodziejskiej, Maryli Kupryńskiej, Leszka Marka Krześniaka, Grażyny Lechowskiej, Kuby Marii Mazurkiewicz, Zygmunta Olszewskiego, Grzegorza Papiernika, Szymona Polaka, Agaty Polkowskiej, Jana Staszewskiego, Marianny Staszewskiej, Igora Stokfiszewskiego, Marka Szarka, Henryka Wujca, Andrzeja Wysockiego, Agnieszki Ziobro oraz wszystkich „ursusiaków”, dzięki którym i z myślą o których powstała ta publikacja.

Opinie zawarte w publikacji są prywatnymi stanowiskami bohaterów znajdujących się w niej wywiadów, autorów wspomnień i innych zamieszczonych tekstów.





ISBN 978-83-941307-4-9



9 788394 130749 >

ISBN 978-83-944683-0-9



9 788394 468309 >